

261.101.163

Z DAWNYCH DZIEJÓW

i wspomnień

NASZEGO STULECIA

napisał

K. Wł. WÓJCICKI

CZŁONEK AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE,
TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUK POZNAŃSKIEGO I B. KOMISYI
ARCHEOLOGICZNEJ W WILNIE.

Cena 2 Zlr w. a.

Księgarnia
163 V. 103

W KRAKOWIE.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KSIĘGARNI J. M. HIMMELBLAUA.

1875.

ARCHIWUM
BIBLIOTEK

KEDUTY
N... 1506



WYDAJNO 2 DROBLETY
Biblioteki Narodowej



35706 II



W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
pod zarządem Ignacego Stelcła.

1073.1).56

Do Mojego Przyjaciela.

Kiedy rzucę okiem i puszczę myśl w czasy mojej młodości a porównam z dzisiejszemi, smutek i boleść przepęlnia duszę moję. Nie dlatego, że zwykle ci, co dawne lata pamiętają, dni wiosny swojej, i świat, jaki je okalał, stawiają za wzór i przykład dla obecnej doby, widzą w swjej przeszłości wszystko pięknem, szlachetnem i dobrém, a potyrani wiekiem, nie umieją dopatrzeć, co przepływ lat i postęp zdziałał w młodej społeczności. Nie! zdobycze nowe wiedzy ludzkiej umiem cenić, uznaję konieczność zmian, jakie przyjąć zmusiła potrzeba, ale zwracam głównie uwagę na coraz większą odmianę charakteru narodowego. To przepęlnia duszę goryczą, bo

wybitne jego rysy, były naszą zbroją, którą pokryci, wytrzymywaliśmy zdrowo wszystkie ciosy i szli śmiało przez warstwy wiekowe w doli i niedoli. A tak zahartowane pokolenie po pokoleniu, połączone z sobą złotymi ogniwami tradycji ojcowskiej, przeszłość z terażniejszością wiązało z uczuciem serdecznej miłości, i w przyszłość mogli spokojnie spoglądać.

Nie powiem wżgarda, ale lekceważenie, niepamięć jakby z umysłu narodowej przeszłości, coraz więcej umysły ogarnia, jakby stała na zawadzie rozwojowi postępu społeczności naszej. Porwano te złote ogniwa, które już dziś nie stanowią jednolitej całości.

Jeżeli wina spada na rodzinne ogniska, że nie umiały ojczystego Znicza starannie dochować i przelać w serca młodego pokolenia, niemniejszym powodem są okoliczności i świat, jaki od kolebki je otacza. Dla tego, gdy znajduję człowieka, co nieporwany prądem nowój atmosfery, zachowuje rysy czyste owych świętych postaci, któreśmy w latach pacholących znali, i tulili się na ich łono z całą miłością i zaufaniem pełnym wiary, z chęcią pochylam szronem ubieloną głowę i cześć mu oddaję. Wy nim jesteście, czcigodny mój przyjacielu, Wam składam w ofercie niniejszą pracę moją, owoc długoletnich badań i w patrzenia zarówno w zamierzchłą

jak i jeszcze nie tak dawną przeszłość naszą, w której przeżyliście młode lata.

Przyjmcie to, bo czém chata bogata, tém i rada. Kilka zarysów przeszłości, którą tak umiesz szanować, znasz jęj całą wartość i oceniasz pożywność tęg strawy duchowęg dla żyjąceg społecznosci. Daleki od rozgłosu, nie szukasz w nięj chluby i zadowolenia miłości wlasnej, ale idziesz po tęg drodze, którą Ci wskazuje cnota prawdziwego obywatela staręj daty. Przyjdzie czas, że wdzięczna potomność otoczy twoje imie rzewném wspomnieniem.

D. 12 Maja 1869 r.

K. Wł. Wójcicki.

STANISŁAW i JANUSZ

Książęta Mazowieccy

1518 — 1526.

ostatnia karta z dziejów udzielnego Mazowsza.



320740 W. 2007

in front of

...

I.

Konrad III, książę Mazowiecki na Czersku i Warszawie, w pierwszych dniach Października 1503 r. przybył w ulubione miejsce swoje na łowy, do wsi *Osieczka* za Wisłą w Czerskiej ziemi położonej, gdzie wielka knieja pełna grubego zwierzła wabiła, gdzie był dwór i zwierzyniec książąt.

Zapalony myśliwiec, rok rocznie, od pierwszych dni jesieni do mroźnej zimy z dworem swoim ochotczo na łowach przepędzał. Ale w tych czasach coraz smutniejszy był dworzec; książę wesoło zaczawszy ulubioną rozrywkę, nagle od połowy Października zaniemógł. Umilkły myśliwskie rogi i gwar łowców z radosnym dla nich ganiem gończych. Konrad zaległ łożu, z którego nie powstał. Przeczuwając zgon blizki, wezwał małżonkę swoją i panów Mazowieckich. Wieść o chorobie księcia trwogą przejęła Mazurów, tymbardziej że dwaj synowie

byli małoletni; starszy Stanisław liczył lat trzy, młodszy Janusz niemowlę rok tylko jeden, i to były ostatnie wątle gałązki bujnego niegdyś Piastowego rodu.

Konrad czuł z każdą chwilą uciekające życie. Łoże jego otaczali osmutniali panowie i dworzanie; przy nim księżna Anna, która z rozpaczą w sercu patrzyła na coraz bledniejące oblicze ukochanego małżonka.

Było to dnia 28 Października. Książę zebrawszy ostatki sił życia, polecił zebranych panom swe dzieci, zaklinając, aby im wierności dotrzymali, i obcych władzców nie szukali, póki starczy Piastowego pokolenia, którego łaskawego panowania przez tyle wieków używali. Opiekę nad pozostałymi sierotami żonie swęj poruczywszy, opatrzony świętymi sakramentami, z przytomnością i spokojem zakończył dni swoje ¹⁾.

Pozostała wdowa w kwiecie wieku, bo w 27 roku życia, Anna, była córką Mikołaja IIgo Radziwiłła ²⁾ i Zofii Anny Monwidównęj, księżniczki Słonimskiej, matrony wielce pobożnej i hojnej dla ubogich. Wychowana starannie, oddała rękę Konradowi w 20 roku życia (1496 r.): a przeżywszy z nim lat siedem, pozostała z czworgiem osieroconych dzieci ³⁾.

¹⁾ Topographia Masoviae. Świącicki.

Kownacki: Dzieje w księstwie Mazowieckiem (Pamiętnik Warszawski z r. 1820 T. XVII). F. Kozłowski: Dzieje Mazowsza za panowania książąt. Warszawa. 1858 r.

²⁾ Radziwiłł ten miał przydomek *Stary* (priscus): żona jego była wdową po Pacu. Córka ich księżna Mazowiecka Anna urodziła się w r. 1476 (Galeryja Nieświeżska portretów Radziwiłłowskich Edwarda Kotłubaja. Wilno 1857. str. 28).

³⁾ Z synów starszy Stanisław urodził się w r. 1500; młodszy Janusz w r. 1502. (Rodowody książąt i królów Polskich

Podług układu króla Jana Alberta, z samym Konradem w roku 1493 podpisanego, synowie jego ziemie tylko Czerską jako lenność zostawioną posiadać mieli; inne zaś ziemie Mazowieckie jako dożywotnie dzierżawy Konrada po śmierci jego do Rzeczypospolitej przyłączone być winny.

Księżna Anna, zwoławszy radę panów Mazowieckich, na czele której stał *Jan Okuń*, kasztelan Czerski z *Pawłem Noskowskim*, Archidyjkonem Warszawskim, postanowiła oprzeć się wykonaniu tej umowy. Właśnie po śmierci brata swego król Aleksander zasiadł na tronie. Spór w tej rzeczy wniesiony przez opiekunkę małoletnich książąt, odłożył król do sejmu Piotrkowskiego, który się zaczął w r. 1504.

Cała sprawa wytoczona przed sąd tak poważny zyskała silne poparcie ze strony posłów, którzy wysoce cenili obok Jagiellonów drogi szczepek dla siebie Piastów. Król Węgierski Władysław popierał nadto silnie sprawę księżnej Anny i jej synów nieletnich ⁴⁾.

Sejm stanął po stronie wdowy Konrada. Król Aleksander nadał książętom i ich po mieczu potomkom ziemie: Warszawską, Ciechanowską, Łomżyńską i Nowogrodzką lennem prawem, z warunkiem, że po wygaśnięciu męskiej płci tego rodu, wszystkie te ziemie, wraz z ziemią Czerską do korony Polskiej powrócą; siostry zaś książąt, przyzwoicie do swego stanu wyposażone przez króla Polskiego zostaną. Posag i oprawa księżnej wdowy zabezpieczona; książęta zobowiązani zostali do po-

oraz Wielkich książąt Litewskich, ułożone przez Henryka Steckiego. Petersburg 1861 r.)

⁴⁾ Czacki. Rozprawa o Mazowieckich prawach.

magania królowi przeciwko wszelkim nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej, i doszedłszy pełnoletności, hołd złożył monarsze dla przyznania im lenności; wreszcie księżna Anna z panami Mazowieckimi obowiązali się królowi Aleksandrowi trzydzieści tysięcy złotych węgierskich zapłacić. Księżna, nie mając gotowych w skarbie swym pieniędzy, dla wypełnienia umowy, zapewniającą synom obszerniejsze dzierżawy księstwa Mazowieckiego, klejnoty swoje wyprawne zastawiła.

Ziemie Wizką, w tém nadaniu nie wymienioną i do korony, a głównie do Wielkopolski wcieloną, później dopiero otrzymała.

Niedługo zakończył życie król Aleksander; po nim nastąpił na tron Zygmunt I. Księżna Anna wraz z synami przybyła na sejm do Piotrkowa w r. 1511. Tu młodzi książęta powitawszy nowego króla piękną mową łacinską, otrzymali od niego nietylko potwierdzenie praw nadanych im od Aleksandra, ale nadto darował im Zygmunt I wzmiankowaną ziemię Wizką ⁵⁾. Uspokojona zapewnieniem dla synów posiadłości ich ojca, jako rejentka księstwa, przybrawszy tytuł: *Ducissa et Tutrix Masoviae, Russiae*, sprawowała rządy z mężką energiją i rozumem. Święcicki, blizki tych czasów dziejopisarz, piękny obraz jej rządów stawia:

„Dopełniała tak obowiązków panującego (mówi), że nie znać prawie było, że Pana brakowało; gdyby niespokojnego narodu nieugłaskane umysły powolnością raczej i łagodnością niżeli ostrém i surowém panowaniem prowadzone być mogły.“

⁵⁾ W tej darowiznie dozwolił Zygmunt I dobra w niej zastawione przez poprzedników swoich wykupić.

Mazury, jak wszyscy Lechici, nie lubili nigdy rządów niewieścich, i mieli sobie za ujmę zostawać pod ich władzą. Dawną przypowieść:

„*U białych głów długie włosy, ale rozum krótki*“ i do księżnej Anny stósowali, jakkolwiek niesłusznie. Złe języki szarpały sławę tej najcnotliwszej. jak się wyraża Świącicki, niewiasty ⁶⁾. Patrząc na jej młode lata, na jej wdzięki i urodę, nikczemnym oszczercom łatwo było rzucać potwarze, i znajdowali wiarę u tej gwiazdy, która wierzyć nie chciała, aby piękność ciała dobrze się godziła z cnotą nieposzlakowaną. Zapomniano, że wychowanie odebrała w domu zacnym rodziców, że jej matka wszczepiła w jej serce gruntowne zasady religijne i moralne.

⁶⁾ Szanowne jego dzieło pod napisem: *Topographia sive Masoviae descriptio, auctore Andrea Świącicki, Notario territorii Nurensis, cum licentia superiorum. Varsaviae ap. viduam Joan. Russowski S. R. M. typ. 1634 w 4ce siedem arkuszy.* Pracę swoją A. Świącicki pozostawił w rękopiśmie, którą syn jego Zygmunt wydał i Stanisławowi Łubieńskiemu, biskupowi Płockiemu, przypisał. Nasz autor napisał także po łacinie *Życie Jędrzeja Noskowskiego* (wydane przcz syna Zygmunta w Krakowie 1637 r. w 4ce) jako wuja swego; rodził się bowiem z jego siostry Barbary Noskowskiej: sam ożeniony był z Ciołkówną. Herb ich był Jastrzębiec, a pisali się z *Wielkich Świącic* jako gniazda rodowego. Stanowisko Jędrzeja Świącickiego, jego stosunki w Mazowszu i mała odległość lat od wypadków, o których piszemy, nadają tym większe prawo do polegania na jego bezstronném świadectwie. Opis Mazowsza, dający dokładny obraz w tych czasach tej części Rzeczypospolitej, przedrukował Mieler w swym zbiorze historyków polskich w Tomie I od stron. 477—497: z dodaniem ważnych przypisów.



Długo szukano i śledzono na dworze książąt, koby można wystawić na cel potwarczych pocisków razem z młodą księżną. Wkrótce znaleziono przedmiot w osobie Andrzeja Zaliwskiego. Był on marszałkiem młodych książąt, rodem z Zaliwia, wsi w ziemi Liwskiej, gdzie brat jego starszy Michał był dawniej kasztelanem a młodszy *Krzysko* i *Piotr* starostami. Andrzej, młodzieniec w kwiecie wieku, powabny rumianem licem i zapuszczonemi kędziorami kruczych włosów służył urodą pomiędzy Mazowieckimi panami. Kiedy go księżna Anna mianowała kasztelanem Wizkim, zawiść wybuchła tym większa, że równie jak bracia jego obchodził się ostro ze szlachtą Mazowiecką. Wyniesienie jego przy nienawiści ku rodowi Zaliwskich tłumaczono z ujmą dobrej sławy księżnej, wskazując go jako jej ulubienca i kochanka.

Oszczercstwo to poddmuchiwał pomiędzy szlachtą Jan Mrokowski, Archidyjakon Warszawski, obrażony na księżnę, że go usunęła z dworu swego, na którym będąc chlubił się sam szczególniemi jej względami. Wrzała długo ta niechęć, aż wybuchła następnie groźnym powstaniem.

Król Zygmunt I wiele cenił i szanował księżnę Annę; często do niej pisywał, to donosząc jej o swoich zwycięztwach, to w rzeczach dotyczących samego księztwa Mazowieckiego. Opiekując się szczerze tak nią jako i jej rodziną, a przystając na żądanie księżnej rozgraniczenia Mazowsza od ziemi Łukowskiej i Radomskiej, publicznie na sejmie oświadczył, że nie chce w niczem naciskać, ani swęj władzy królewskiej dolegliwie dać uczuwać księżnie, z powodu lennych stosunków Mazowsza do korony.

Kiedy król Zygmunt zenił się z Barbarą Zapolską, Anna zaproszoną została wraz z synami na wesele w r. 1512.

Posądzono księżnę, że robiła staranie, żeby ją król Zygmunt I poślubił, by tym sposobem ród Piastów wrócił na tron polski. Zamiary te godne też były niewiasty tak rozumnej, a troskliwej opiekunki osieroconych synów: gorzki zawód swych nadziei umiała pokryć przybyciem na wesele królewskie do Krakowa, ale równocześnie zamierzała dojść do zupełnej niezawisłości Mazowsza. Zaczęła usilnie starać się naprzód, ażeby ustanowić osobne biskupstwo w Warszawie, żeby jęj księztwo nie zależało od hierarchii czysto-polskiej i biskupa Poznańskiego: z prośbą w tym celu wysłała posłów do Rzymu. Król Zygmunt I, wyrozumiały i cierpliwy, nie zrywał przecież dobrych stosunków z księżną.

Tymczasem zabiegi niechętnych i obrażonych panów Mazowieckich nie były daremnemi: wybuchł przeciw księżnie rokosz otwarty.

Bernard Wapowski w kronice swęj tak go nam opisuje:

„Roku 1516 Mazowiecka szlachta przeciw Annie księżnie zburzyła się, a na przełożeniuświe dalej nie chcieli jęj mieć, iż skarbu pospolitego wiele zatracala, mieniać też to być za lekkość, iż je niewiasta rządziła, ale chcieli, aby starszy syn Stanisław ich przełożonym był, a gdy księżna nie chciała na to przyzwolić, rzucili się i gwałtem chcieli wzięść Stanisława na przełożenieświe. Oblegli księżnę w *Makowcu*, gdzie z dziećmi i Zaliwskim zamknawszy się, wzywała bozkiej i ludzkiej pomocy. Szlachta krzyczeli przeraźliwemi głósy: „nie lża, ażeby mężowie waleczni niewieście podlegali, a ksią-

żęta ich w komnacie białogłowskiej zamiast na czele narodu znajdowali się.“ W tém zamierzaniu gdy z obojjej strony strzelano, o mało przypadkiem jednego z książąt Stanisława, strzała nie przeszła ⁷⁾). Przecież za pośrednictwem panów uspokoił się rozruch: księżna zezwoliła przypuścić synów do rządu, aby tylko broń złożono i nie wymagano przymusem, co dobremi sposobami otrzymać można było.

Rozwiódł te burdy Jan z Łaska, Arcybiskup Gnieźnieński, zesłany od króla, i złożył im sejm w Warszawie ku postanowieniu tych rzeczy. „Gdy czas sejmu przypadł, nie dała księżna puszczać szlachty do miasta, jedno pany, które ona rozumiała być z swjej strony puszczano. Alić szlachta, wyłamawszy wrota i furtkę w murze, weszli gwałtem do miasta rano bez wiedzenia mieszczan; tam sejm odprawiwszy, wyszli spokojnie, nie gwałtownie nie poczynając.“ ⁸⁾

Wiadomość o tych na Mazowszu rozruchach doszła wkrótce do sejmu, który się odbywał w czasie niebytności króla bawiącego na Litwie. Sejm z grona swego wyznaczył *Stanisława Ostroroga*, kasztelana Kaliskiego,

⁷⁾ „Było w Mazowszu wzburzenie wielkie szlachty przeciw Annie księżnie Maowieckiej, bo im były rzady niewieście namięrznęły, i dlategoż do Makowca się zjechawszy, jej dwu synów Stanisława i Janusza, już dorosłych od niej odjąć i w lepszy rzął wstawić chcieli; ale gdy od twierdzy (zanku) je odstrzelano, gdzie niektórzy ranni, i niektórzy téż pobici byli, przeto nie nie sprawiwszy. a tylko się bardziej powaśniewszy, rozjechali się. Tamże ksiązę starszy Stanisław o włos nie był postrzelon strzałą, gdy oknem z twierdzo wyglądał.“ (M. Bielski. Kronika Polska — ks. V.)

⁸⁾ Kronika Bernarda Wapowskiego.

Prandotę z Złazny herbu Rawicz, wojewodę Rawskiego i innych panów, którzyby załagodzili te swary, księciu Stanisławowi już pełnoletniemu rządu oddali, z przydaniem potrzebnej rady, bacząc we wszystkim na dobro i pożytek Rzeczypospolitej.

Zjazd odbył się w Kaliszu: stanęła deputacja panów i szlachty Mazowieckiej. Układy spisane obie strony zrazu przyjęły, ale po odjeździe panów polskich wysadzonych z sejmu zamieszki z większą jeszcze siłą wybuchnęły.

Panowie i szlachta Mazowiecka obrażeni, że księżną Annę jako matkę i opiekunkę pozostawiono na czele rady, wystąpili przeciw tym układom.

Bernard Wapowski, kronikarz współczesny, który znał całą rodzinę Konrada i bywał w zamku książęcym tak u księżnej Anny, jak u jej synów, — pisze:

„Pojechała więc księżna z synami do króla w Wilnie bawiącego, skarżąc się na swe poddane i prosząc, ażeby do Krakowa jadąc, w dom jej wstąpił, co król obiecał; ale potem drudzy tę radę rozwiędli, i króla prosto do Krakowa mimo Mazowsza poprowadzili na wesele z Boną Sforzią ułożone.“

„Miała Anna prócz tego inne zamiary. Słyszając, że cesarz i król Węgierski wiedli króla Zygmunta ku wtóremu małżeństwu, starała się przez pewnych panów, ażeby córkę jej albo onę samą królowi radzono. Byli tacy, którym się bardziej podobało to małżeństwo domowe, z którym rychlej Mazowsze mogło do korony przyjść. Do tego dostała i listów cesarskich przyczynnych, lecz cesarz nie z serca to czynił, ale jako proszony.“⁹⁾ Łaski, arcybiskup Gnieźnieński, popierał je-

⁹⁾ Kronika Wapowskiego.



szcze tę myśl połączenia dwóch szczepów Jagiellońskiego z Piastowskim.

Cesarz Maksymilijan, ulegając prośbom brata księżnej Anny, wojewody Wileńskiego, listami zalecając królowi to małżeństwo, rał mu z drugiej strony Bonę Sforzią jedynaczkę, księcia Medyjolańskiego i Baru, Jana. Boner, żupnik Krakowski, bawiący we Włoszech, nadesłał jęj wizerunek. Zachwycony cudnemi wdziękami Bony, Zygmunt, rozkochany, pragnął corychlęj przyspieszyć związek małżeński, tymbardziej gdy wysłani posłowie do Medyjolanu w r. 1517 poświadczali zgodnie, że piękność jęj przewyższa nawet portret, który nie ukazuje uroku tego, jaki roztacza w każdym ruszeniu, chodzie, tańcu i dźwięku mowy.

Król zajęty przyspieszeniem małżeństwa, przytém pragnąc zwierzchnictwo swe ukazać nad Mazowszem, a zarazem serca szlachty tego udzielnego księztwa ku sobie skłonić i przez to ułatwić przyłączenie jego z czasem do korony, zaczął chętniej dawać ucho skargom i zażaleniom; pokilkakroć upominał księżnę Annę, aby poddannym swoim ściślej wymierzała sprawiedliwość.

Gdy z jednéj strony Zygmunt I usiłował coraz większy wywierać wpływ swój na Mazowsze, a z drugiejj Anna występowała energicznie za jego udzielnoscją, tymbardziej kiedy król księżniczkę Włoską poślubił: niechęć Zygmunta I ku księżnie podsycana podszeptami Bony, wzrastała coraz bardziej.

Księżna postanowiła pobieranie cła od soli koronnej, spławianej Wisłą do Gdańska z żup Ruskich i Krakowskich w tym czasie właśnie, gdy wielki Mistrz Krzyżacki zamknął granice swoje dla królestwa, a Mazowsze swobodnie prowadziło handel z Prusami, i z tęg

przyczyny przeprowadzano sól z korony przez ziemię Mazowiecką. Gdy na sejmie Piotrkowskim uchwalono składkę narodową na utrzymanie wojska zaciężnego na Podolu przeciw napadom Tatarów, polecono i księżnie Annie przez biskupa Płockiego, aby w księztwie Mazowieckim ściągnęła podobną składkę; księżna uchyliła się od tego okowiązku, odwołując się do zjazdu panów Mazowieckich ¹⁰⁾.

Zygmunt I rad był zanoszonym skargom przeciw księżnie, i w tymże samym roku 1517 wydał dekret, nakazujący, aby szlachcie ziemi Wizkiéj wszystkie przywileje i swobody przez króla Aleksandra po przyłączeniu jéj do korony za Alberta nadane, gdy ta ziemia ksiązętom Mazowieckim powróconą została, w całości były przez księżnę zachowane i w niczém nie naruszone ¹¹⁾.

Nie dosyć na tém, sejm koronny w Piotrkowie tegoż roku księżnę Annę od rządów Mazowsza odsądził, a synom, głównie Stanisławowi, objęcie ich zlecił, saméj zaś z córkami do dóbr swych oddalić się nakazał.

Niechętni panowie Mazowieccy, a z niemi i szlachta, pragnący pozbyć się corychléj rządów niewieścich, znaglili księżnę, że zdała rządy starszemu synowi Stanisławowi. Król Zygmunt I ustępstwo to dekretem swym z dnia 12 Maja 1518 r. zatwierdził, a pieczęć urzędowa Rejentki Mazowsza, połączona z godłami synów połamaną została z rozkazu tegoż króla *). Księ-

¹⁰⁾ Acta Tomicianiana, T. I p. 112, 147.

¹¹⁾ F. Kozłowski. Dzieje Mazowsza za panowania książąt. Warszawa. 1858 r.

*) T. Czacki.

zna Anna niedługo przeżyła w ustroni swojej; w sile wieku, bo w 46 roku życia zmarła, zgnębiona zgryzotami, że rozległych swych zamiarów do skutku doprowadzić nie mogła.

Koronacyja Bony i wpływ jęj na umysł Zygmunta I zapowiadały burze na Mazowsze, a głównie na potomstwo Piastowe, burze, które księżna przeczuwała dobrze.

Zakończyła dni swoje w Litwie dnia 16 Marca 1522 r., pochowana została w Warszawie w kościele księży Bernardynów, których kościół po spaleniu odbudowała w r. 1509. Nagrobek syn starszy Stanisław położył w języku Łacińskim, który zachował Szymon Starowski w dziele: *Monumenta Sarmatarum*.

Rządy księżnej Anny odznaczają się męzkim rozumem i bacznością. Stojąc na straży udzielnosci Mazowsza, całą powagą broniła doli uciśnionych kmieci.

Wznowiła dawne prawa, pozwalające każdemu włościaninowi swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce, a zarazem przypomniła szlachcie kary na tych, co je łamali. Pojmując ważność miast w państwie i ich znaczenie, ponadawała wielu korzystne dla ich wzrostu i rozwoju przywileje: jak *Garwolinowi* 1508 r., *Latowiczowi* r. 1509, *Zakroczymowi* r. 1511, *Piasecznu* r. 1513.

Dźwiganie to i opieka dawana dwom stanom: włościańskiemu i mieszczańskiemu, nie mogły być mied szlachcie, rozzuchwalonej przez panów Mazowieckich, która uważała w tém następowanie na jęj odwieczne prawa i swobody. Rzuca to nie mało światła badaczowi dziejów Mazowsza i objaśnia powody, dlaczego wiele zabytków, głównie rękopiśmiennych, które Czacki podaje, rzuciło taki cień na znakomitą postać księżnej Anny, matki ostatnich książąt Mazowieckich.

II.

Na mocy dekretu klóła Zygmunta I z d. 12 Maja 1518 r. Księżę Stanisław objął rządy Mazowsza ¹⁾. Świetnemi odznaczał się przymiotami: skromność łączył z znakomitemi zdolnościami umysłowemi i niezwyčajném mężstwem. Kiedy siostra jego Zofija poślubioną została *Aloizemu Pechri*, magnatowi Węgierskiemu, odprowadził ją z licznym pocztem panów Mazowieckich do Węgier. Poprzednio starał się o jój rękę *Bertold* hrabia z *Hennebergu*, spokrewniony z domem Brandenburskim. Za jego pośrednictwem rozpoczęły się układy, że księżę Stanisław miał pojąć w małżeństwo siostrę Wielkiego Mistrza Krzyżackiego Alberta, który gorąco życząc sobie tego związku dla ustalenia przyjaźni z domem panującym w Mazowszu, wysłał już nawet pełnomocników swoich do Warszawy.

Król Zygmunt I stawił tym zamiarom silny opór, obrażony na Wielkiego Mistrza, że mu hołdu złożyć nie chciał. Przyszło do wojny, w której książęta Mazowieccy musieli pomagać królowi.

¹⁾ Dzieje w księztwie Mazowieckim Hipolita Kownackiego. (Pamiętnik Warszawski 1820 r. T. XVII).— Kronika Bernarda Wapowskiego. — A. Święcickiego: Topographia Masoviae.— Acta Tomiciana.— Album Literackie. 1848 r.— F. Kozłowski: Dzieje Mazowsza za panowania książąt. Warszawa. 1858 roku.

Walka ta nierozważnie sprowadzona przez Mistrza Krzyżackiego Alberta, stała się powodem ciężkich klęsk dla ziemi Pruskiej.

Książę Stanisław na czele hufców dzielnych Mazurów gromił przeważnie chorągwie Krzyżackie i znakomite odniósł zwycięstwo nad rzeką *Pissą*, gdzie tysiąc jazdy w ciężkiej zbroi i tysiąc piechoty niemieckiej rozbił i pokonał. Zdobył zarazem trzy ich warowne grody nad granicą Mazowsza położone: *Nejdenburg*, *Licha* i *Kryski*.

Krzyżacy po dwakroć zemstą podnieceni, wpadli do księstwa Mazowieckiego: raz pod wodzą *Dietricha von Schlieben* i *Maurycego Knebel*: i dwa miasta i dwie wsie w części zrabowali, w części spalili; drugi raz napad drogo opłacili. Mazury bowiem pod dowództwem Mikołaja Goślickiego herbu Grzymała w pobliżu Płocka, pod *Proboszczewicami* rozbili najezdników chorągwie zadawszy im srogą klęskę.

Wielki Mistrz, zwyciężony na każdym polu bitwy, patrząc na straszne spustoszenie Prus Krzyżackich, jakie zrzędzili posiłkujący Polaków Tatarzy, którzy ogniem i mieczem znacząc ślady swego przejścia, w perzynę wszystko obrócili, uderzył w pokorę. W r. 1521 został zawarty rozejm między Wielkim Mistrzem Krzyżackim, a królem Zygmuntem i książętami Mazowieckimi Stanisławem i Januszem, na lat cztery — w roku 1525 pokojem utwierdzony.

Książę Stanisław w czasie krótkich swych rządów okazał wielką dbałość o pomyślność Mazowsza. Oceniając ważność miast, w r. 1523 w miejscu wsi *Cisek*, założył miasto, które od imienia swego nazwał Stanisławowem. Umarł dnia 8 Sierpnia 1524 r. w Warsza-

wie w 24 roku życia. „Skromny i obyczajny Pan (pisze Świącicki), niemniej rycerski i waleczny.“

Brata i następcy jego Janusza II krótko trwało panowanie, bo tylko osiemnaście miesięcy. Upamiętnił swe imię dwoma statutami surowemi, z których jeden przeciwko kacerzom, drugi przeciw mężobójcom.

Janusz lubo podobny do Stanisława, w sile ciała o wiele go przewyższał. „Nikt (pisze Świącicki) zręczniejszemu nie wyrzucał ogromnego koła lub kamienia, nikt łatwiej grubego sznura nie zrywał lub podkowy nie łamał, nikt silniejszemu łuku nie naciągnął. Powiadają, że miał podwójną kość pacierzową; piersi szerokie i barczyste na podobieństwo starożytnych bohaterów; twarzy przyjemnej, którą nieco nos zakrzywiony i spłaszczony szpecił.“

Umarł na suchoty w r. 1526, licząc lat 24 wieku, podobnie jak brat starszy Stanisław.

Bernard Wapowski, świadek współczesny, mówi; „Rozmaite przyczyny śmierci tych książąt powiadali być, jedni przez truciznę, drudzy przez opilstwo, a to podobniejsze k' temu, bom to swém okiem widział, będąc tam z *Jeronimem Okoniem* jednego czasu, gdy *Ojrzanowski*, biskup Miedzelecki, *Koziński* wojewodzie, ochotnie za zdrowie książęce trunek zmieszawszy z muszkatałą, kazali sobie lejem w gębę lać po wielkiej szklenicy aż do dna w Warszawie przed jego oczyma. Książę Janusz, aby im też tak wiele przyjaźni ukazał po sobie, takż sobie kazał uczynić. Nie doszło dwóch niedziel, aż wszyscy pomarli, okrom wojewodzica. Przetom to tu napisał (dodaje w końcu Wapowski), aby się tego przełożeni, którym to nie przystoi, chronili.“

Tak prędki zgon dwóch braci zgasłych w kwiecie wieku w rozżalonych Mazurach wzbudził silne podej-

rzenia, że śmierć ich musiała być tajną ręką przyspieszoną.

„Żaden naród (mówi Święcicki) z większą rozpaczą straty panów swoich nie żałował. Dziwna rzecz, że ciż sami, co niedawno Konradowi II, księżęciu doświadczonej roztropności, niechętnie podlegali, tyle miłowali synów jego. Zaprawdę, księżęta ci łagodnością, wielkomyślnością i ową przyjemnością, która serca ludu mocno ujmuje, przechodzili ojca swego, surowego z natury. Przydawało żalu sieroctwo narodu po stracie rodziny, która więcej niż cztery wieki panując w Mazowszu, wygasnęła zupełnie z wygaśnięciem płci męskiej.“

„Po śmierci Janusza (pisze B. Wapowski) szlachta Mazowiecka winowała panią Radziejowską, jakoby ona miała być przyczyną jego śmierci. Aby była nie w królestwie osiadła, pomściliby byli onę z tém, czego niewinna była, bo mu co w tém żaden winien nie był, jeno sam sobie pijąc bez miary. Upiekli potem piekarkę z Krakowa i *Kliczewską* ziemiankę: niebożęta! mękę okrutną na nie wymyślono. Przed Warszawą, na com patrzył, gdy wkopali w ziemię słupek, do którego obiedwie na łańcuszkach długich uwiązali, każdą na swoim łańcuszku nago, opak ręce związawszy, a około nich nakładwszy dREW, zapalili. Piekły się około onego ognia, jako pieczenie, na cztery godziny niżli pomarły, biegając około słupa, narzekając, kłusując zębami jedna drugą. Niesłychana męka! Potem téż i Jordanowskiego ścięto. Jakuba piwniczego na kościele u Bernardynów dobywano, i wiele innych ludzi potracono, a snadź niewinnie, dla tych książąt.“

Ważnym jest ustęp z Wapowskiego, któryśmy przywiedli jako naoczego świadka, że nie trucizna, ale

zbytek i nieumiarkowanie w życiu przyspieszyły zgon księciu Januszowi,— lubo i przeciwnych temu świadectw współczesnych nie braknie.

Winniśmy tu przytoczyć opowieść, jaka uchodziła za szczerą prawdę u współczesnych Mazurów, a która pobudzała ich do krwawej i okrutnej zemsty nad temi, co ściągnęli na siebie podejrzenie. Liczne były ofiary, jak żal był wielki całego Mazowsza.

W zbiorze rękopismów Adama Naruszewicza, przechowywanym dotąd w Archiwum Główném Metryk Koronnych, jest współczesny opis zgonu ostatnich książąt Mazowieckich.

Podamy go w treści.

Na dworze panującej księżnej Anny była Katarzyna Radziejowska, córka wojewody Rawskiego. Że była piękną i zalotną, pokochał ją książę Stanisław; ale matka jego Anna potrafiła ją ohydzić synowi.

Książę Janusz uległ władzy jej wdzięków i często nawiedzać ją począł w Radziejowicach, gdy z dworu Warszawskiego usuniętą została.

Katarzyna, przywabiwszy go do siebie czarami, a obawiając się wpływu przeważnego jego matki, poddała trucizną przyspieszyła zgon księżnie Annie. Pragnąc zostać księżną Mazowiecką, przemysliwała, jakoby otruć księcia Stanisława, lękając się, aby od niej nie odwiódł brata Janusza.

„Trafiło się (mówi rękopism), iż Janusz zaprosił Stanisława na wieczerzę do Błonia i tanr godując podochocili sobie, a wojewodzianka Katarzyna bawiła z uie-mi. Wszakże nie mogła swego zamiaru dokonać w czasie wieczornym; ale nazajutrz prosiła księcia, iżby spoczął, nimby wyjechał, mówiąc: „lepiej będzie odbywać

podróż Waszj Książęcej Mości podjadłszy cokolwiek, a ja sama kapłona upiekę własnymi rękami.“

„Książę Stanisław przystał na jój radę. Ta kazała kucharzowi swemu Piotrowi *Targonowskiemu* upieć kapłona; ale tak napoju jak i pieczystego nie zatrula, gdyż więcjby ofiar padło, a ona pragnęła samego Stanisława uśmiercić. Kazała więc innego kapłona upieć, a przyniosłszy i zastawiwszy przed Stanisławem, rzekła:

— Mój panie! naleję octu z małmazyi, aby Wam lepij smakował.“

I wyspała do niego trucizny.

„Książę Stanisław, nieochoczy do jadła, małą łyżkę zjadł; natychmiast zaczął chorować i udał się do Mazowsza. Doktorzy nie mogli w żaden go sposób wyleczyć i nie mogli rozpoznać przyczyny śmierci.“

Janusz coraz więcj miłując Katarzynę, na jój prośbę przyrzekł, że jój daruje miasto Błonie. Siostra Janusza, księżniczka Anna, dowiedziawszy się o tém, skorzystała z czasu, kiedy książę był w dobrym humorze i wraz z panami Mazowieckimi tyle prosiła, że jój Błonie podarował. Katarzyna rozgniewana na Janusza postanowiła trucizną go zgubić; w tym celu nasadziła dwóch łotrów, których swoim wpływem umieściła na na dworze książęcym. Jeden, *Piotr* był puszkarzem, drugi, *Maciój*, muzyk i doktor zarazem.

Ci poddali księciu truciznę, z którj umarł, za co przez Katarzynę wynagrodzeni zostali tylko dziesięcią kopami i dwoma bochenkami chleba. Obaj późniój straceni zostali *).

Cała ta opowieść zdrowj nie wytrzyma krytyki.

*) Album Literackie. Warszawa 1848 r. T. I.

Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że Katarzyna wojewodzianka Rawska wabiła obu młodych książąt do siebie i że obaj byli wielbicielami jej urody i zalotności, ale czarami, jakich używała, były jej wdzięki.

Lubo zostawała w podejrzeniu, że trucizną sprzątnęła obu książąt, współczesny Bernard Wapowski oczyścił ją z tego zarzutu, a o przyspieszeniu zgonu matce jej, księżnie Annie, żadne inne nie wspominają pomniki, jak tylko jeden ten rękopism.

Rozbolali Mazurzy wygaśnieniem tak drogiego szczerpu Piastów, a razem utratą niepodległości księstwa, chętne dawali posłuchy każdej wieści, która im objaśnić miała śmierć niespodzianą ukochanych książąt. Łatwo więc także uwierzono czarom.

Katarzyna byłaby padła ofiarą ich żalu i zemsty, gdyby nie obawa króla Zygmunta I, pod którego opieką jej ojciec i ziemia Rawska zostawała **).

Każń straszną ponieśli tylko dworscy i służba jej i książęca, w obronie których nikt stanąć nie chciał, a męki i tortury wyciskały z nich żądane przez sędziów zeznania. Pomieniony rękopism podaje nam ważną w tej mierze wiadomość. Jordanowski (inaczéj zwany Jażdnowski) do winy sobie zarzucanej przyznać się nie chciał, „dopóki nie widział przyniesionego miecza ze słomą.“

Ten widok narzędzi męczarni nakłonił go, że napisał wszystko, o co był pomawiany, mając pewność,

***) Po śmierci obu książąt poszła za mąż za Konrada Oborskiego. Znał ją osobiście Świącicki i nazywa ją (Topographia Masoviae) „dzisiejszą Konrada Oborskiego żoną, którą obwiniano, jakoby książętom jakową zalotniczą zaprawę zadała dla roznieciania miłości i trzymania ich w więzach swoich.“

że zginie od katowskiego miecza bez mąk poprzednich.

Zwłoki Janusza panowie Mazowieccy niepogrzebane trzymali, aż do przyjazdu Zygmunta I. Król ten z dworem swoim przybył z Gdańska do Warszawy dnia 25 Sierpnia 1526 roku i wspaniały im pogrzeb wyprawił.

Pomawiano Katarzynę Radziejowską, że dlatego trucizną obu książąt sprzątnęła, ażeby przez to haniebną usługę królowi uczynić, ułatwiając mu i przyspieszając połączenie Mazowsza z Koroną.

Oburzony takimi wieściami Święcicki, wymownie broni od tego zarzutu Zygmunta I.

„Cóż może być nedorzeczniejszego (pisze), jak mniemać, że Zygmunt, tak świątobliwy i sprawiedliwy Pan, który ofiarowane sobie obszerne królestwo Węgierskie, Czeskie i Duńskie z wielką sławą swojej skromności odrzucił, żeby na zgładzenie niewinnych książąt zezwolił dla zagarnienia niewielkiego dziedzictwa z wieczną dla siebie ohydą!“

We dwa lata, gdy wieści o zgładzeniu książąt trucizną nie umiły, król Zygmunt I wyrokiem swoim: „Z przyczyny pewnych zmyślań niektórej szlachty księstwa Mazowieckiego o życie książęce“ wydanym dnia 9 Lutego 1528 r. oznajmił: „że gdy Rada Mazowsza żadnego prawnego dowodu, ani nawet prawdopodobnego znaku okazać nie mogła, a następnie, że nie znaleziono żadnego śladu gwałtownej i sztucznej śmierci samego niegdyś Pana księcia Janusza, która rzeczywiście otwarcie nastąpiła i wyraźniejszą od światła południowego była, że rzeczony książę Janusz wszelkimi duchownymi sakramentami pobożnie opatrzony, śmiercią naturalną zszedł i umarł: albowiem jako za życia co do otru-

cia i sztucznej śmierci tegoż Pana księcia nic właściwie nie pokazało się, tak i w jego zmarłym ciele żadne bynajmniej nie pokazały się znaki zadanej sobie trucizny.“

Dla zasłonięcia zaś niewinnych ludzi i powstrzymania ciągłych prześladowań król w tymże dekreście wyraża:

„Dlatego ogłosiliśmy i niniejszym edyktem ogłaszamy, stanowimy i oznajmujemy, że wszystkie doniesienia, świadectwa o otruciu i śmierci sztucznej rzeźonego pana księcia, jakim bądź sposobem i gdziekolwiek uczynione, były i są próżne, niedołączne i żadnej siły ani wagi nie mają; jakiegokolwiek osobie lub osobom jakiegokolwiek płci, stanu i powołania będącym, czci i dobrej sławie szkodzić nie będą mogły, gdyż jak się wspomniało, widocznie okazało się, że pan książę nie sztuką ani sprawą ludzką, lecz z woli Pana Boga Wszechmogącego (w którego mocy rozrządzenie życia i śmierci) z tego zeszedł świata i umarł.“

Rzecz godna uwagi, że w całym dekreście królewskim nie ma wzmianki o podejrzeniach otrucia księcia Stanisława. Wyłącznie Zygmunt I zwraca uwagę na zgon Janusza, który w 18 miesięcy zgaśł po swym bracie. Zapewne już ucichły wieści o truciznie księciu Stanisławowi zadanej, kiedy król nie uczynił tu najlżejszego o nim wspomnienia.

Siostra Anna wystawiła zmarłym braciom w kościele katedralnym Świętego Jana w Warszawie okazały nagrobek, który dotąd oglądamy. Wykuci w całej postaci, w pełnych zbrojach, spoczywają jakby w objęciach braterskich. Poniżej czytamy następny napis w języku Łacińskim, którego dosłowny przekład podajemy:

„Stanisław i Janusz, Konrada księcia Mazowieckiego synowie, z dawnych królów Polskich i ostatni szczerp mężki książąt Mazowieckich, od sześciuset lat aż dotychczas szczęśliwie panujących, młodzieńcy obydwaj odznaczający się największą uczciwością i niewinnością, zgonem przedwczesnym i nieszczęsnym w niedługim przeciągu czasu po sobie, z wielkim wszystkich poddanych żalem rozstali się z tym światem: Stanisław roku zbawienia 1524, wieku swego 24, Janusz zaś r. 1526, wieku 24, po których zgonie dziedzictwo i rządy całego Mazowsza przeszły na królów Polskich. Anna księżniczka, zaszczytu dziewiczego i nieporównanej zacności, braciom rodzonym w gorzkiej boleści i smutku wystawiła.“

Nad wykutymi postaciami książąt wznosi się sarkofag na kolumnach z marmuru, pomiędzy którymi wyobrażenie Zbawiciela na krzyżu srebrne, na aksamicie czerwonym z ramami srebrnymi.

Nagrobek ten znajduje się po lewej stronie wielkiego ołtarza.

III.

Król Zygmunt I po pogrzebie Janusza ostatniego z książąt Mazowieckich, opuścił Warszawę i pojechał do Krakowa, zostawiwszy swoje załogi w Mazowszu. Ster rządów objęła księżniczka Anna, siostra zmarłych, z przybraną radą panów Mazowieckich, a głównie kasztelanów Warszawskiego, Wyszogrodzkiego, Ciechanow-

skiego, Zakroczymskiego, Liwskiego i Wizkiego, pod przewodnictwem wojewody Mazowieckiego. Ślad tego znajdujemy w przywileju, nadanym przez tęż księżniczkę miastu *Rożan* w r. 1526.

Znaczną część majątku swego przeznaczyła tak na wystawienie pomnika grobowego dla zmarłych braci, jako też na ozdobę samego kościoła Śgo Jana, gdzie snem wiecznym spoczęli. Jój nakładem wzniesiono wysoką wieżę i dano marmurową posadzkę.

Król dał jój uposażenie dostatnie w ziemiach, gotówce i opatrzeniu potrzeb stołowych i niedługo księżniczka Anna oddała rękę Stanisławowi Odrowążowi, kasztelanowi wówczas Lwowskiemu.

Starsza jój siostra Zofija, „panna najurodniejsza i wybornie wychowana,“ (jak się wyraża Bernard Wapowski), wydana za Alojzego Pechri, magnata Węgierskiego, oddawszy po owdowieniu rękę Stefanowi Batoremu, wojewodzie Siedmiogrodzkiemu, otrzymała w roku 1528 doposażenie, to jest dopełnienie dawnego posagu, od króla Zygmunta I za wstawieniem się Ludwika, króla Węgierskiego.

Stanisław ze Sprowy Odrowąż, znakomitego rodu, owdowiawszy młodo po śmierci małżonki, Katarzyny, córki Łukasza Górki, wojewody Poznańskiego, zaufany w łaskach królowej Bony, zwrócił oczy na księżniczkę Annę Mazowiecką, rojąc nadzieję, że z jój ręką może potrafi zyskać i dostojność udzielnego księcia na Mazowszu.

Właśnie była to chwila, kiedy Zygmunt I rządy téj krainy pozostawił w rękę Anny. Odrowąż do rodowitego majątku za przeważnym wpływem Bony trzymał zastawą od króla ojcu swemu wypuszczone, największe

w Rzeczypospolitej starostwo Samborskie; nie dosyć na tém, wyjednała mu jeszcze królowa województwo Podolskie i starostwo Lwowskie z dożywociem na obu starostwach. Księżniczka Anna, osierocona po śmierci własnej matki i dwóch braci, przyjęła chętnie swaty Odrowąża. Otrzymawszy jej rękę, zapragnął gorąco dójść do celu swych marzeń, tymbardziej że wielu panów Mazowieckich stanęło po jego stronie, pragnąc dawną niepodległość Mazowsza utrzymać.

Nie taili się Mazurowie (pisze Święcicki) z przychylnością dla Odrowąża, który wysokim urodzeniem i przymiotami celując, ożeniony z młodszą siostrą książąt, miał pozorne prawo dochodzenia dziedzictwa tego państwa. Przywykli do panowania własnych książąt, niechętnie przechodzili pod władzę monarchy nad możnemi narodami panującego; rozumieli albowiem, że nie mogąc się po pańsku utrzymywać, zostaną zaniechanemi i pogardzonemi.

Lecz król Zygmunt tyle miał od natury mądrości i umiarkowania, że postawą i mową wszystkich pociągał do siebie.

Nietylko ta uwaga robiła niechętnych Mazurów na przyłączenie księztwa do korony; wiedzieli, że prawa ich ulegną zmianie i zastosowaniu do praw Rzeczypospolitej, a w miejsce rozkazów udzielnych książąt będą musieli słuchać rozporządzeń urzędników królewskich.

Odrowąż w krótkim czasie zyskał tak przeważną liczbę stronników przychylnych jego zamiarom, że Zygmunt I chcąc przeprowadzić wcielenie Mazowsza do korony, przyspieszył podróż do Warszawy, gdzie przysięgę wierności od wszystkich Mazowszan odebrał.

Energiczne wzięcie się króla zniszczyło zamiary

Odrowąza.. Zygmunt I przeznaczone księżniczce Annie uposażenie odebrał, a w zamian tego przeznaczył jęj i wypłacił sto tysięcy czerwonych złotych.

Tak Anna jak i jęj siostra Zofija podpisały akt zrzeczenia się swych praw do Mazowsza na rzecz króla i jego następców.

Pomimo to Odrowąż, przybrawszy tytuł księcia Mazowieckiego, z dóbr swęj żony tak rychło nie ustąpił, jak sobie życzyła Bona, a nawet wymagał pewnych opłat za jęj dziedzictwa. Dobry i łagodny król, który zawsze w mowie, a nawet i w przywilejach osieroconą księżniczkę Annę nazywał *ukochaną córką*, puściłby w niepamięć ten wybryk młodego możnowładzcy; ale Bona, przychylnosc swoję do Odrowąza zmieniawszy na nienawiść, srodze poczęła go prześladować.

Stanisław Górski, sekretarz Piotra Tomickiego, biskupa Krakowskiego, a współczesny tym wypadkom, pisze: iż Bona całą złość zwróciła na małżonków Odrowążów, „pragnąc bezpotomnego zejścia Anny, ażeby posagu nie płacić i całe Mazowsze, złoto, srebro, klejnoty i skarbiec, który nader wysoko ceniono, zagarnąć mogła; albowiem królowa wszystkich umierających rozumiała się być dziedziczką.“

Pod hasłem przeto obrażonego majestatu rozpoczęła przeważny swój ucisk. Mimo zapewnionego dożywania podpisem ręki królewskiej Odrowąż utracił starostwa; znaleźli się bowiem na skinienie Bony prawnicy, którzy wykretnym tłumaczeniem podpisy owe za nieważne uznali.

Nadszedł sejm walny w Krakowie 1536 r. Przybył Odrowąż z małżonką, a w niedoli swęj oboje rzucili się do nóg króla i królowęj, żebrząc łaski i miłosierdzia.

Wielu senatorów i posłów wstawiało się za nieszczęśliwymi małżonkami. Zygmunt I byłby się ułagodził; ale zawzięta Bona, śpiesząc się już do Mazowsza, na którym otrzymała oprawę, nie dała się zmiękczyć ani ich prośbami, ani łzami.

Spłacono Odrowążowi sumnę zastawną z Sambora, której znaczną część wierzyciele jego na rozkaz królowej rozebrali; resztę zaś zatrzymaną pod pozorem jakoby na wynagrodzenie szkód włościanom Samborskim przez Odrowąża lub jego zastępców poczynionych, które wysoko oceniono, Bona zabrała i przywłaszczyła sobie *).

*) Autor życia Piotra Kmity opisuje nam tę sprawę szczegółowo. Dajemy tu wierny przekład tego ustępu:

„Odrowąż na krótki czas przed wyposażeniem królowej (Bony) mianowany został wojewodą Podolskim i starostą Lwowskim i Samborskim. Ożenił się z panną Anną, siostrą księżąt Mazowieckich bezpotomnie zmarłych, których rodzina mężka, od Piastów idąca, wygasła. Ta księżniczka, gdy Mazowsze, przez śmierć księżąt osieroczone, do Korony wcielone zostało, miała sobie na Mazowszu wyznaczone od króla niektóre posiadłości, dopóki za mąż nie poszła, nie na dziedzictwo wszakże, lecz tylko na swój użytek. Odrowąż, pojąwszy ją za małżonkę i odebrawszy posag jej od króla, naówczas już pana Mazowsza, jako młody i od nierozsądnych poddawiany, nie chciał wraz z żoną tych posiadłości ustąpić, dopóki król tychże od nich nie odkupił i zadość nie uczynił prawej successyi. Upominany łagodnie od króla po kilka razy tak listownie jako i przez posłów, ażeby z dóbr tych, które bezprawnie sobie przywłaszczył, ustąpił, wezwaniom tym nietylko zadosyć uczynić nie chciał, ale nadto tytuł księżęcy przybrał. Ścigany przeto pozwami kryminalnemi, wyrokiem sejmowym za obrazę majestatu osądzony i starostwa Lwowskiego pozbawiony. Starostwo Samborskie, które zastawą trzymał, wykupiła królowa; służyło jej bowiem prawo doży-

Tak niegodne postępowanie i surowość niesprawiedliwa sądu oburzyła cały naród. Imię Bony poszło w przekleństwo, a króla, dotąd niepokolane, w ohydę. Następnym był rokosz pode Lwowem. Wtedy wraz z innemi stanął Odrowąż.

Kiedy na pierwszym zjeździe po *Bojskami* ujrział szlachtę nieszczęściem swoim wzruszoną, nie żałującą pogrózek na króla, śmiało i szlachetnie wystąpił, ażeby dla sprawy jego nie zwłóczyli sprawę wojenną.

„Lubo nie wątpię (mówił), że nie z osobistych powodów, lecz roztrząsając tylko stan Rzeczypospolitej i moją też sprawę wtrąciliście; przekonany jestem, że nie zawziętością lub stronnictwem powodowani, lecz ostrzeżeni albo od przyjaciół litujących się nad moim losem, albo od saméjże Rzeczypospolitej, sprawę moją

wocia, które przedtém otrzymała. Płakał w tym sądzie Odrowąż, płakała żona jego, padłszy do nóg królowi i królowej, błagając o łaskę. Wtedy niektórzy z senatorów wstawiali się za obwinionemi, z których pierwszego wiek, drugą pięć i brak dobrej rady wymawiały dostatecznie od przezwinięcia. Litościwe było zaiste oblicze tego sądu. Król byłby się ulitował; lecz królowa nie dała się wzruszyć ani prośbami, ani łzami, tymbardziej że jęj o dobra Samborskie wielce chodziło. Ta srogość sądu nie tylko posłów ze stanu rycerskiego, już nieprzyjaznych królowi, lecz i wielu innych, całe nawet królestwo tak na króla i królowę rozjątrzyła, iż od tego czasu same tylko przekleństwa na nich miotano. I było wtedy niemałe między wszystkiemi zamięszanie; bo król ustawy, zapisy, dożywocia, przywileje, prawa i wolności państwa zgwałcił, przysięgi poddanym nie dotrzymał; królowa zaś tych, których jęj się podobało, z dóbr królewskich odzierała, urzędy państwa niegodnym rozdawała i na rozpustę wszystko trwoniła.“

pod swoją wzięliście opiekę. Lecz gdy was Rzeczpospolita wzywa, chciejcie mnie wypuścić ze swojej opieki, zapomnijcie mnie, a radźcie o sobie samych, czyli, co jest jedno, o Rzeczypospolitej. Co do mnie, los mój na wolą Bożką zdaję.“

Niedługo przeżył prześladowanie; umarł wojewodą Ruskim w r. 1546, pozostawiwszy wdowę i córkę Zofiję.

Anna w smutku i żałobie zajęta jęj wychowaniem, przeżyła lat 15, zamieszkując w Jarosławiu, dziedzictwie męża swego. Zmarła 1561 r. Nie doczekała tęg pociechy, żeby los swego dziecięcia ustalić; została je sierotą, nie marząc nawet o tém, że syn mściwej Bony, ostatni po mieczu Jagiellończyk, u nóg tęg wążtęj, a ostatnięj także latorośli rodu Piastowego, będzie składał swe hołdy i wabił koroną królowęj Polskiej.

Zofija, jedyna córka Odrowąża i Anny księżniczki Mazowieckiej, szczególny nam wzór niewiasty Polskiej przedstawia. Świadoma nieszczęśliwego losu dwóch swoich wujów, ostatnich książąt Mazowieckich i własnej matki, wykarmiona jęj łzami i żywém słowem podania o niedoli całego rodu, odebrawszy staranne i pobożne wychowanie, poślubioną została hrabi Tarnowskiemu, kasztelanowi Wojnickiemu, staroście Sandomierskiemu. Krótkie i bezpotomne były te związki, bo młody małżonek, dotknięty suchotami, zgasł w kwiecie wieku, nie mając lat trzydziestu życia, w r. 1567.

Młoda i urodna wdowa zwróciła oczy na siebie króla Zygmunta Augusta, który jęj rękę swoją i tron ofiarował.

Ale Zofija, czy zachowawszy w żywej pamięci nieszczęścia rodziny i prześladowania matki jęgo Bony,

czy unikając blasku korony, wymówiła się od tego zaszczytu.

Jan Kostka, wojewoda Sandomierski, rozpoczął starania o jej rękę; a musiał się wielką do niej miłością przywiązać, kiedy, widząc stały jej opór w powtórzeniu związków małżeńskich, użył aż powagi papieża, za którego radą i błogosławieństwem oddała mu dopiero rękę.

A był to mąż równie dzielny w boju, jak poważny w radzie. Jemu to po ucieczce Henryka Walezyjusza stan rycerski koronę Polską ofiarował, której nie przyjął, radząc wybranie na tron Stefana Batorego.

Sute pan bogaty wyprawił gody. Zofija dostatków swoich używała najszlachetniej. Wdową będąc po Tarnowskim, w r. 1571 ufundowawszy kolegium Jezuickie pod tytułem *Świętego Jana*, założyła obok szpital dla ubóstwa. Co Czwartek każdego tygodnia zwiedzała go troskliwie; sama pomagając do zgotowania potraw, wydawała je na porcyje, słabszych karmiła, a wszystkich wypytywała o ich potrzeby i te zaraz zaspakajała *).

Opływając w królewskie niemal dostatki, skazała się dobrowolnie na życie pokutnicze. O pół nocy zrywała się do modlitwy i siłą woli przemagała znurzenie senne. W kościele zaufana panna służebna w miejsce poduszki podkładała jej szczapę drewnianą, na której cały czas nabożeństwa przekłęczała. Co rok pieszo na

*) W tymże roku 1571 wydała przywilój dla miasta Jarosławia, którym zatwierdzając dawniejsze prawa, szczegółowo oznacza prawa sukcesyi w rodzinach mieszczan. Ustęp ten zasługuje na uwagę badaczy. (Fr. Siarczyński: Wiadomość historyczna i statystyczna o mieście Jarosławiu. Lwów 1826 r.)

Zysą-Górę, do kościoła księży Benedyktynów, wstawionego posiadaną częścią drzewa z krzyża Chrystusowego, na odpusty chodziła, mając na nogach trzewiki bez podeszew. Na tej skalistej drodze do krwi nogi raniła, a ból i cierpienie umiała dobrze w gronie otaczającym ukryć pod osłoną bogatych i modnych sukien, które nosiła.

Dziecię swoje po urodzeniu na sianie składać kazała, a nim przyszło na świat, kiedy tegoż samego dnia posługując ubogim w swoim szpitalu, zmęczona w komnacie swój odpoczywała, niepewna życia, te słowa skreśliła:

„Synu miły, albo też córko moja, posłuchaj pilnie tych słów moich i przyjmij je ode mnie, jako od miłującej cię matki, która napisałam to swoją ręką własną wtenczas, gdy cię porodzić na ten świat miała z łaski Bożej. Oznajmuję ci pobożną wolę moją i jako matka proszę cię o jej zupełne wypełnienie. Będąc ja wdową przez siedem lat, z prawego serca życzyłam sobie od Pana Boga tego, abym mu mogła służyć wiecznie w czystości, a dobra fortunne swoje na cześć i na chwałę Bożką prawie wszystkie, by to mogło być, obrócić. Do czego żem ja żadnym sposobem, choćem tego życzyła sobie, dla wielkich trudności moich przyjść nie mogła, ciebie potomka mego o to upominam i proszę, abyś ty w osobie swojej mógł to ziścić i chcieć. Do tego niech ci Bóg natchnienia swego i ratunku użyczy. Ślubami żadnymi nie obowiązałam cię, ale tylko żądza moja była, żebyś raczej w duchownym, pobożnym stanie Panu Bogu służył, obróciwszy na chwałę Bożą dobra ode mnie tobie zostawione. Wczém racz cię Panie

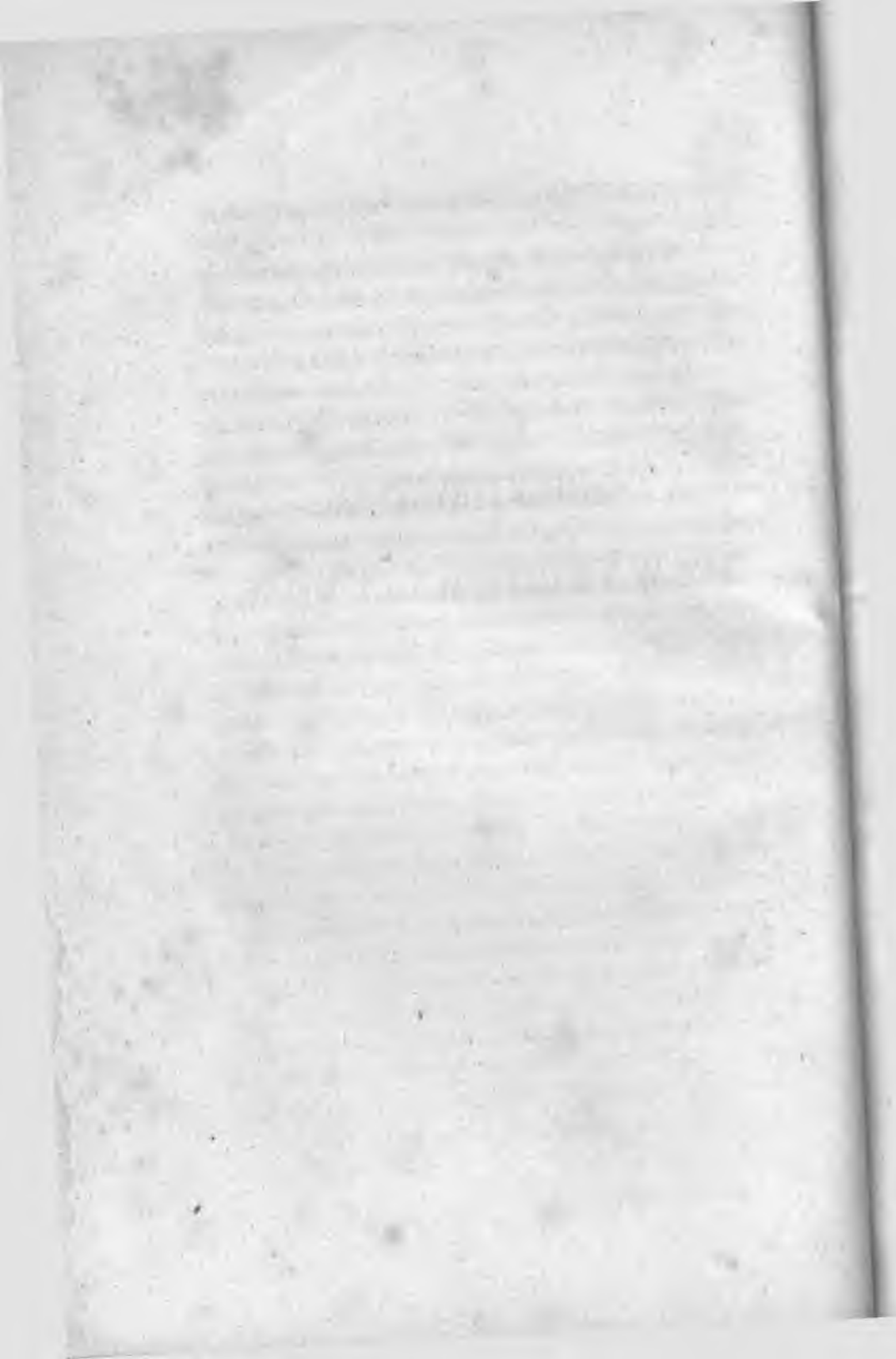
Boże ratować i sprawować według woli świętej swojej. Amen“ **).

Doglądając w zaraźliwej chorobie pasierbicę swą Kostkównę, padła ofiarą swego poświęcenia. Zmarła w r. 1580 w samej sile wieku, bo w 40 roku życia. Pochowana w Jarosławiu w kościele swojej fundacji.

Pisarze historyczni nasi, jak: Orzechowski, Sarnicki, Okólski, Nakielski i w. i. oddają jej zasłużone pochwały, stawiając ją jako wzór pań świątobliwych, tak wdowom jako i zamężnym matronom.

Mąż jej, Jan Kostka, rok tylko jeden niespełna przeżył tę stratę; w roku bowiem 1481 zakończył życie.

**) Niesiecki. Wyd. 1740 r. str. 412. T. 3.



CHARAKTERYSTYKA
DAWNYCH MAZURÓW.

CHARACTERISTICS

OF THE

Z dawnych to wieków pochodzi szyderskie przysłowie: „*Ślepy Mazur od ciemnej gwiazdy*“; bo wtedy, choć bratnie pokolenia, prześladowały się wzajemnie nietylko orężem, ale i językiem. Musieli być u ościennych braci *Polszczan* ¹⁾ krzywo widzeni Mazury, gdy ci (a co dotąd trwa jeszcze) utrzymywali, że każdy Mazur po urodzeniu jak szczenię do dziewięciu dni nie widzi. Ruś graniczna w Podlasiu chcącego, jak mówią, *oszwabić* nazywa „*mądrym Mazurem*.“ Oddawna Mazurowie byli w całej Polsce celem żartów, jak we Francji Gaskończykowie. Puszczano w obieg mnóstwo o nich śmiesznych dykteryjek, za które nieraz dzielne Mazury karbowali łysinę żartownisia lub przycinali szablą wąsa.

„Mazurek kiedy się przetrze (mówi książę Jabłonowski w swoim rękopiśmie), przyznać, że dobry żoł-

¹⁾ *Polszczany* według praw Mazowieckich.

nierz i prócz tego do wszystkiego są Mazurowie sposobni. Żartują z nich insze nasze województwa i powiadają, że się ślepo rodzą; ale ja i z *relacyj* starych i z własnego doznałem przekonania, że gdy „*Ślepy Mazur*“ przejrzy, głębiej patrzy pod czas niż Włoch albo Hiszpan. Powiadają i to o Mazurkach, że gdy go oddadzą do dworu, to pierwszego roku wszyscy drwią z niego, drugiego roku on drwi z drugich, a trzeciego i z samego pana. Co zaś do żołnierstwa, mają serce i ran i śmierci lekceważenie, bo się sami między sobą jak psy biją. Zły jarmark, kiedy tylko pięciu zabiją. Co zaś do ran i owych: „*Pęknij no mię*,“ to jest jak chleb z masłem. Ja ci to piszę (mówi Jabłonowski) na Rusi urodzony, ale mam sobie za honor, że *purissimus* Mazowita, z przodków moich na granicy Płockiej i ziemie Ciechanowskiej, kędy Jabłonów.“²⁾

Było to wyrażenie powszechnie w kłótni, gdy się jeden drugiemu nasuwał, a w groźnej stojąc postawie, czekał uderzenia, wołając zapalczywie „*Pęknij no mię*.“ To *pęknięcie* znaczyło uderzenie pięścią, szablą albo pałką. Dla tej odwagi, śmiałości i tej chęci skorzej do bójki zyskali chlubne wspomnienie w przysłowiu XV wieku, w którym te cztery rzeczy do wojny za najlepsze policzono:

„*Koń turek— chłop Mazurek, czapka magierka* ³⁾
szabla węgierka.“

²⁾ Rękopism księcia Jabłonowskiego, gdy siedział w fortecy Königstein osadzony przez Augusta II, zachowany w Bibliotece Szkoły Głównej Warszawskiej.

³⁾ Czapka właściwego kształtu, w wielkiej modzie będąca jeszcze za Zygmunta III. Nazwę wzięła i pochodzenie swe z Węgier czyli od Magyarów.

Święcicki opisuje Mazurów z XVI wieku: (*Topographia Mosoviae*).

„Lud wiejski hoży, wesoly i bitny. Strzelbę na „odpusty i jarmarki każdy z sobą nosi, ztąd wiele ka-
„lectw i zabójstwa się zdarzało.“

Jak ich określa Święcicki przed trzema wiekami, takimi są kmiecie i dzisiaj: odważni, skorzy do bójki; gdy strzelb nie mają, kij więc, albo pięść silna zastępuje jój miejsce. W uniesieniu i gniewie niewiele się Mazur namyśla, równie jak Sandomierzak: „w garść „plunie i palnie, aż się z czupryny zakurzy.“ Gdy się zabiera do bójki karczemnej, poruszenia jego są żywe i gwałtowne. Najprzód z czoła rozgarnia włosy, nasuwa czapkę na ucho i śmiało rzuca się na przeciwnika, który odważnie czekając, owo starodawne „*pęknij no mię*“ powtarza. Wtedy lewą ręką chwyta go pod gardło, a wzniesioną prawą uderza. Równe i w wesołości zachowuje poruszenia, lubo mniej gwałtowne: i do śpiewu głaszcze włosy i czapkę przekrzywia na ucho, ujmuje się pod boki i przy tupaniu mocnym swoje ulubione, a właściwe tylko śpiewkom Mazowieckim „*Dana moja dana!*“ pokrzykuje.

Ta skorość do bójki cechuje Mazowiecki charakter. Dla wstrzymania mężobójstwa tak częstego w Mazowszu książęta panujący surowymi statutami starali się je hamować.

Książę Janusz w statucie 1390 r. w Zakroczymie naznacza.

„Gdy *Władyka* szlachezca zabije, kary 50 kóp „groszy bez dwóch i *pokorę* tym sposobem uczyni. Opu-
„ściwszy po pas suknię z szablą w rękę, z dziesięcią „osobami prosić będzie stronę obrażoną na imię Bozkie

„o przebaczenie, „któren dla Boga powinien mu to „uczynić: a jeżeli dla ubóstwa nie może *główszczyzny* „zapłacić, musi gardło nadstawić, albo go z litości przy- „jaciele opłacić mogą.“

Artykuły księcia Bolesława, ziemiom Warszawskiej i Zakroczymskiej nadane 1482 r., zakazują, aby szlachta z obuchami i oszczepami (cum lanceis) nie chodziła na targ i do kościoła: podobnie i kmieciom i pospólstwu zakazuje z obuchami i oszczepami, szablami, strzelbą i w zbroi, aby nie wazyli się na żadném miejscu pokazywać, czy na targu lub do kościoła. Ślósarz, przekonany o robienie obuchów, utratą oczu karanym będzie. Konrad II statutem w Czersku 1496 r. zabrania szlachcie nietylko do sądów z bronią w ręku, ale i po mieście chodzić.

Pomiędzy *Czerwińskim* a *Wyszegrodem* przy wbiegu Bzury do Wisły na kępach *Drwalskiej* i *Nieznachowskiej* zamieszkiwało pokolenie Mazurów, zwane *Nieznachowie*.

Bili się codziennie niemal między sobą, ale na cudzego gotowali wspólne ręce. Ztąd Sebastyan Klonowicz radzi swemu *fłisowi* unikać ich ostrowiu, jeżeli chce zdrów odepchnąć szkutę swoją. Bo mówi:

„Chocia tam bębny, chocia słyszysz dudy,
Daj im tam pokój, radzęc fłisie chudy:
Bo choć się w rzeczy między sobą wadzą
O tobie radzą.

Nie siadaj w rząd, bo to źli robacy,
Nienazbyt pewni, a wszystko rodacy:
Bo na cię świeże, chociaż sobie łają,
Guzy chowają.“

Znana była pieśń sławna o Mazurach w XVI wieku, trwała ona jeszcze później dwa wieki; a w urywkach słyszeliśmy ją w naszych latach dziecińczych. I w tej pieśni narodowej Mazurskie bójki jaśnieją:

Mazurowie mili
 Gdzieście się popili?
 — W Warce na gorzałce:

W Czersku na złém piwsku.

Jechali przez pole,
 Złamali dwie kole.

*

Mazowiecki kaftan
 Zgoninami natkan:
 Co się Mazur ruszy,
 Z kaftana się kruszy:
 Więc wasy odyma,
 Rohatynę trzyma.

*

Mazurowie naszy
 Po jaglanej kaszy
 Słone wasy mają,
 Piwem je zmywają.
 Skoro se podpiją,
 Wnet chłopą zabiją.

*

Szarszan ⁴⁾ zardzewiały,
 Z poszew opadały,

⁴⁾ *Szarszan*, *szarszun*, broń sieczna.

Kijec ⁵⁾ granowity,
Harkabuz ⁶⁾ nabity.
 Tak jadą na *Roki* ⁷⁾,
 Podeprą swe boki.

*

Zstępuj mu z gościńca,
 Rzuci się do kijca:
 Potém z harkabuza
 Wnet poprawi guza.
 Chociaż w piasku brodzą,
 Lecz ostrożnie chodzą.

*

Znaj Polaku pany,
 Śmiałe Mazowszany;
 Gotowi do boju,
 W zwadzie i pokoju:
 A niewiele mierzą,
 Śmiejąc się, uderzą“ ⁸⁾.

W XVI wieku tak nam pomniki owoczesne Mazurów malują ⁹⁾.

Mazur witał drugiego temi wyrazy:

„*Pomaga Bóg.*“

⁵⁾ Pałka, gruby kij nabijany krzemieniami.

⁶⁾ *Harkabuz*, strzelba ręczna.

⁷⁾ *Roki*, tak zwano w terminie stałym odbywane sądy.

⁸⁾ *Kiermasz wieśniacki albo Rozgwara Kmosia z Bartoszem na Zawisłu*. Druk Gocki 4^o (Broszura z czasów Zygmunta Augusta).

⁹⁾ Podkanie Jannasa z Gregoriasem Klechą. 1598. 4^o. Druk Gocki. Przypowieści S. Rysińskiego 1580 r.

Na co odpowiadał powitany :

„*Bóg cię żegna*“ ¹⁰⁾.

Za pokarm używali mięsiwa świeżego i wędzonego *jajecnicę* (jajecznice), jagły warzone, *jątrznice* (kiszkę wieprzową, nadziewaną kaszą), kielbasy wieprzowe, *grzclce* pieczone. Mazur tylko pożywał smacznie chleb z kaszą razem albo z kluskami, ztąd przysłowie u ludu :

„*Smakuje jak ślepy Mazur chleb do kaszy albo klusków*.”

S. Rysiński przywodzi przysłowie :

„*Rozśmiał się by Mazur na zemle*“ ¹¹⁾, dlatego, że Mazury lubili chleb biały.

Muzyka ich składa się z *ligawki* i *bardonu*: na każdym weselu musiał być organista zwany, *jarganista* ¹¹⁾. W posagu za dziewczką dawali rodzice krowy, owce, skrzynię malowaną, piernaty, *podgłowice* (poduszki) i sprzęty rolnicze do zaczenia gospodarki potrzebne. W każdym domu był dostatek cyny, na której spożywali dar Boży.

Dziewki i niewiasty chodziły w *kicce*, *sarafaniku* z kitajki i *zupicy cerwonassy* (żupan barwy czerwonej). Izbę mieszkalną nazywali *kownatą*. Tak dziewczki jako i niewiasty były bardzo pracowite: słusznie o każdej powiedzieć można, co jeden Mazur o swiej *zywince* (żonie) wyrzekł:

¹⁰⁾ Zemla — bułka.

¹¹⁾ Organiści zastępować wtedy zaczęli dawnych Klechów.

„Tuć weselka nie żał snać, przytём mało chmielu,

„Trzebać wzdly jarganisty przy każdym weselu.

(*Kiermasz Wieśniacki*).

„Jek (jak) się uwijała
 „Koło domu, zakwitło; kiedy ona wstała,
 „Prawie na niej wisało wszystko gospodarstwo“ ¹²⁾.

Ochędóztwem domowém słyneły Mazurki.

„W Mazowszu białogłowy bardziej robotsze i pracowitsze niż w którym kącie Królestwa Polskiego, ba mogę rzec, świata wszystkiego. Trafiło mi się tedy — mówi to *Maurycyusz Trztyptycki* ¹³⁾ — w jednej gospodzie w Sochaczewie widzieć dziewczkę gospodarską, że stoły i ławy chędoząc, takiej zażywała pilności, iżby tam żadna i makuła nie zostawała. Mówiąc potem do niej:

— Toć się wzdy narobisz?

Na to ona powiedziała:

— Dał (prawi) Pan Bóg ręce i siłę, żeby robiły“.

Nasz poeta i wojownik Wespazyjan Kochowski miał żonę Mazurkę, jakżeż ją wychwał ¹⁴⁾:

„A jeśli żona dobra, żona poczciwa;
 Staraniem wspólném przybywa:
 Jako owa Mazurka, ma miła *duszka*,
 Nie piźmowana Francuzka:
 Z suchych drew każe prędko nakładać ognie,
 By się mąż rozgrzał wygodnie.
 Każe w skok do piwnice, przynieść *Madzaru*
 Lub Brzezińskiego nektaru ¹⁵⁾;

¹²⁾ Podkanie Jannasa 1598 r.

¹³⁾ *Co nowego abo dwór: z XVI wieku*, 4to, druk Gocki.

¹⁴⁾ Nie próżnujące próżnowanie 1674. Lyricorum księga I.

¹⁵⁾ Rozumié tu sławne wonzas piwo Brzezińskie. — *Madzar*, wystale wino Węgierskie.

Smaży, piecze nabyte w domu dostatki,
Nie posyłając *do jatki*.“

Prócz tego słyęły Mazurki, jako namiejętniejsze od innych Polek i krwi gorętszój ¹⁶⁾.

Co tu wspomniał o piwie Brzezińskim, to prawowiernych Mazurów najulubieński był napój.

Czerskie piwa w XVII jeszcze wieku słyęły ¹⁷⁾. Smakowali w piwie szlacheckim, a Danijel Bratkowski ¹⁸⁾ z czasów Jana III wyraża:

„Potężnie piją to piwo Mazury,“

i dodaje, że niem się upijali radzi. Na nieszczęście zasmakowali w gorzałce jeszcze pod panowaniem Zygmunta III, bo ówczesny pisarz mówi:

„A nie po włosku piją, zwłaszcza Mazowszanie.

Na *gorzałkę*, jak palił, gardła im dostanie“ ¹⁹⁾. Mazurzy już i dawniej przed upowszechnieniem wódki mieli sławę pijacką, a kronikarze nasi mówią, że owo sławne owych uczt wesołych przysłowie:

„*Albo pij albo się bij*“

od ochoczych Mazowszan bierze początek. Ale nie dziwny się temu; był to czas, gdzie wytrzymałość do puchara stanowiła niemalą chlębę. Bartosz Paprocki wspomina Mazura *Jarzynę* herbu *Trzaska*, męża sławnego, którego znał osobiście, a uchodził wnczas za

¹⁶⁾ *Co nowego abo dwór*. M. Trzytyckiego.

¹⁷⁾ *Jovialitates* Wacława Potockiego 1747. 4to.

¹⁸⁾ *Świat po części przejrany* 1697 r. 4to, druk Gocki.

¹⁹⁾ *Wódka albo gorzałka* 1614. 4to, druk Gocki.

osobliwość, że tylko wodę pijał i ztąd zwano go *Woda* ²⁰⁾.

Około roku 1630 a 1650 obok wódki upowszechniło się użycie tytoniu i tabaki na Mazowszu, równie jak w całej Polsce. Ztąd współczesny pisarz tak nam Mazura maluje.

„Nas też Mazur *obacył*, a Swed tabak pije ²¹⁾.
 „Z śmiechu zęby wysocyzy a pociąga syję.
 „Rzeczce: „Gdybyście mnie *też* chcieli *pocęstować*,
 „Mógłbym wam *też korcyskiem* grochu oddarować.“
 „Dał mu *szot* ²²⁾ knot tabaki, on pięć korcy grochu.
 „Dziękuję, Pan Bóg zapłać łaski panie Włochu.“
 „Spojrzysz, alić z Mazura już śmierdzi tabaka,
 „Perfumy nosem puszcza, dym już jak obłoka“ ²³⁾.

Kacper Miaskowski ²⁴⁾ w czasach Zygmunta IIIgo taki stawia nam obraz Mazurów.

„Kto tam bezpiecznie na ich siedzie ławie,
 Przy gospodarskiej za pasem buławie?
 Trąbą do swarni woła: tam z oszczepy
 Bieżą, porwawszy abo z kołka cepy.

Siermięga ubiór, a to więc mąż darski,
 Co ma u gęby miąższy wąż sitarski.

²⁰⁾ Herby Rycerstwa Pols. 1584.

²¹⁾ Pali fajkę.

²²⁾ Szkot.

²³⁾ Nauka jako o dobrym, także o złym używaniu proszku tabakowego, przytém żart piękny o Tabace dymnej. J. S. Roku M. DC. L. 4to druk Gocki.

²⁴⁾ Zbiór Rytmów 1622. 4to.

A rozrodzone szlacheckie ich plemię,
Jako szarańcza przykryła tam ziemię.

Widzieć tam (w Mazowszu) wzgórzę wywiedzione dwory
I pełne gumna i płodne obory:
Ale schłopiałój, (odpuść) szlachty więcój,
Że nie ma *orda* tak wiele tysięcy.“

— I w istocie, nie było ludniejszój w Polsce ziemi nad Mazowsze. Szymon Starowolski liczył na Mazurach 45,000 domów szlacheckich, z których niejedyn stu mężów zbrojnych wystawi. „Są to śmieli i śmiertią gardzą.“ Sam *trakt Prasnyski* za Zygmunta III „Siedem tysięcy domów szlacheckich ma w sobie, z których każdy rycerza zbrojnego dać może. Rodzina *Walczyjuszów*, *„najdawniejsza Rzymska“* ²⁵⁾ na 2,000 w sobie liczy, a „każdy tam chłop do piechoty zdalny; ziemia Łukowska „2000 dworów szlacheckich.“

Andrzej Świącicki ²⁶⁾ toż samo potwierdza: „Mazowsze (mówi) możniejsze jest od Rawskiego i Płockiego, bo liczy czterdzieści pięć tysięcy familij szlacheckich, pomiędzy któremi nie masz tak ubogiej, żeby przynajmniej jednego męża zbrojnego na koniu wyprawić nie była w stanie; inne po kilku takowych podług możności wyprawują, a niektóre całe chorągwie uzbrająją. Miasta i wsie piechoty dodawały. Ziemia Ciechanowska siedm tysięcy rodzin szlacheckich liczyła.“ Tak mnogiego rodu ziemia wyżywić nie mogła; szlachta przeto przy każdej sposobności czy to dla związków panują-

²⁵⁾ Własne słowa S. Starowolskiego.

²⁶⁾ *Andreas Świącicki Topographia Masoviae.*

cych książąt swoich z Litwą i Żmudzią, czy z Rusią gromadnie się w tamte przenosiła kraje. W Halickiej ziemi tak wiele rycerstwa Mazowieckiego osiadłego jeszcze w XIII wieku było, gdy księżęta Mazowieccy na Halickim panowali tronie, że Zygmunt August postanowił w Warszawie 1563 r. „przez zagęszczenie osiadłości rycerstwa,“ sejmik na wybieranie posła w Haliczu ²⁷⁾.

Poprzednio jeszcze, gdy Konrad I księżę Mazowiecki zwyciężał Prusaków, gdy później sprowadził Krzyżaków, w podbitej ziemi osiadło Mazurskie plemię. Do tam zostały ich ślady — i chociaż niektóre z nich zniemczyły, przecież aż po dziś dzień noszą nazwisko Mazurów. „Przez te snadź ślady (mówi W. A. Maciejowski) upowszechniły się tu obyczaje i prawa Polskie, doszedłszy aż do Kurlandyi“ *).

Kiedy wytępiono *Jadźwingów* (Jatwiezów) na Podlasiu, Łokietek wyzwoliwszy kilkadziesiąt tysięcy więźniów z Litwy przez zaślubiny syna Kazimierza z córką Gedymina, Anną, temi zaludnił Podlasie. Więźniowie ci byli to Mazurzy i Rusini, i od nich idą mieszane osady w Podlasiu.

Za wpływem to szlachty Mazowieckiej, w tylu stronach dawniej Polski rozsiedloniej, narzecze Mazowieckie znane z przysłowia

„*Zacinać Mazura*“

tak się upowszechniło szeroco.

Jój to winniśmy rozszerzenie wesołej ochoty do puchara przy ucztach.

²⁷⁾ Sarnicki Statuta 1595.

*) Polska T. 2. str. 56.— 1842.

„Najwięcej, mówi A. Gwagnin ²⁸⁾, znajduje się „takich w Mazowszu, którzy nagłą do picia, chociażby „to przeciw zdrowiu było, mówiąc: *albo pij albo się bij.*“

W strzemię Mazurów wstępowała szlachta Kujawska i Łęczycka. — Łęczycanów zwano *piskorzami*, nie tylko że między błotami zamieszkali, ale że i dobrze pili. Często też obrażeni na łbach żartownisiów wybijali tę nazwę. Przy ucztach to mniej wstrzemięźliwych często do bijatyki przychodziło, a na taką *wybitą* i *wypitą* były przysłowia:

„*Życ po Kujawsku.*“

* * *

„*Życ po Łęczycku.*“

Co jeszcze Łukasz Opaliński przywodzi ²⁹⁾:

„*Nie żyj po Kujawsku,*“

„Kędy trzeba testament gotowy zostawić w domu, „abo przy żenie, gdy na ucztę jedziesz“ ³⁰⁾.

Ulubione były dykteryjki w całej Polsce o poczytych Mazurach: przywiedziem je tutaj, jako ciekawe swoich czasów pomniki.

I.

Gonił Turczyn Mazura, bo ten bał się zawoju: gdy mu spadł i zobaczył łysinę, krzyknie Mazur: „O już

²⁸⁾ W Kronice.

²⁹⁾ Satyry 1650.

³⁰⁾ Bić się po djabelsku“, mówią po Francuzku, a Polacy: „Bić się po Łęczycku.“ (Troc.)

„dobra moja, nie ciebiem się bał *mydlku!* i przypadłszy, łeb mu szablą uciął.“ ³¹⁾

II.

Krzysztof Falibogowski ³²⁾ mówiąc o potrzebie młodym ludziom przejrzenia świata, tak prawi o Mazurku: „Co się doma nie małym dylągiem uchował i „wielkim mazgajem urósł. Ojciec widząc, że czysty dyląg, rzekł mu: „Ach! miły synu, jużby też czas ukazać się niędzy ludzie, szkoda doma leżeć, a to naszego warchoła syn u któregoś panka, cudna na nim sukmanka, co sobie wysłużył.“

— „Przyzwoliło moje panie, inaczej nie jedno do „Zymu (Rzymu) jechać. Pozwolił pan ojciec.

— „Jedź miły synku, boć słyszę, że tam miasteczko „czudniejsze niż nasza *Werszewka* (Warszawa). Osiodła „no mu konia, pani matka dała mu kilka *wiardunek* ³³⁾ „włożył też sobie kilka gomótek w zanadra, gleń chleba i pojechał. Ujechawszy z milę, uprzykrzykrzyło mu się; nadjedzie chłopca, pyta: „Bracie! daleko tu jeszcze do Zymu.“

— „Paniątko! jako żywochmy tu o nim nie słychali.“ I wrócił się; aż do domu przyjeżdża a wyżeł przeciwko niemu wybiegł, radując się, aż on do wyża.

³¹⁾ Maciej Strykowski o Woln. Korony Pols. 1587 r. 4to.

³²⁾ Discurs Marnotractwa i zbytku Korony Polskiej 1625 4to.

³³⁾ *Wiardunek*, czwarta część grzywny.

„Ej! poznałeś mię *Sachu*; co rozumiecie, żebym był da-
 „lój wyjechał, podobnym był i swego języka zapo-
 „mniał.“

III.

Radzi sąsiedzi Mazurów każdy ich rys charakteru wyszydzić, prawili, że będąc skoremi do kijca w domu, uciekali się *do prawa*, gdy im przyszło rozprawiać się na polu bitwy: i takie podawali dykteryjki.

„Wołał raz Mazur na Tatarzyna, gdy go począł *kieścieniem* ³⁴⁾ po grzbiecie smarować: „Słysz! a czemu „mię bijesz? Jeśli ja tobie co winiem, patrzże ty mnie „sobie *prawkiem*, a daj mi pokój“ ³⁵⁾.

Toż samo o wiek później powtórzył Danijel Bratkowski, ujmując w ramki wiersza obiegającą w ustach naszej braci dykteryjkę ³⁶⁾.

„Chłop jeden z Czerska, Mazowieckie plemię,
 Szedł na Ruś, (mówią oni) w *czudzą* ziemię.
 Orda ³⁷⁾ Mazura w drodze zaskoczyła,
 Natychmiast arkan na szyję włożyła.

³⁴⁾ *Kieścien*, broń tatarska na kształt toporu u wierzchu, a z nahajką z drugiej strony.

³⁵⁾ Gabryjela Leopolda kazania.

³⁶⁾ Świat po części przejrząmy 1697 r.

³⁷⁾ Orda — Tatarzy.

Porwie się Mazur do swojej kality,
 Tatarzynowi pokazuje kwity,
 Mówiąc: „Cóż ty kpisz, oto mam *kwitowce*,
 „Żem moję szyję okupił i głowę.“
 Wydrwił się Mazur kwitowem w tój mierze,
 Nie idzie pieszo, na konia go bierze.

IV.

Wiadomo, jak dzielni byli Mazury do boju, sły-
 nęli z odwagi i męztwa; przecież i wtém chciano ich
 wyśmiać. Opowiadano, jak Mazur jeden słysząc od ojca,
 że w każdój bitwie piechota ze strzelbą stoi za *koszem*,
 wezwany do *potrzeby*, wziął kosz z domu, aby miał go
 gotowy i mógł za nim stać bezpiecznie ³⁸). Drugi ru-
 sznicę nabitą i podsypaną schował w tłomok do pościeli,
 a gdy wystrzeliła, piérze wysadzone rozleciały się w po-
 wietrzu. Wtedy widząc sąsiedzi, jedni wołają, że się *pię-
 rzą anieli*: drudzy, że puszkarcz armatę piernatem na-
 bił ³⁹).

Mimo te żarty przecież w całej Polsce nie było
 zręczniejszych do palnój broni nad Mazurów. Jak celnie
 Mazury strzelali, dowodzi list sławnego *Reszki*, przyja-
 ciela S. Symonowicza, i do tegoż pisany ⁴⁰). ·

³⁸) *Kiermasz Wieśniacki* albo Rozgwara Kinosia z Bartoszem
 na Zawisłu. (in 4to bm. i v. signat. a2.— D3).

³⁹) *Kiermasz Wieśniacki*.

⁴⁰) H. Juszyński: *Dykc. Poet. Pols.* T. 2.

„Wiész zręczność, kiedy to nasze prawowierne „Mazury zwyczajnie się popisują, jak strzały bez obra-
 „zy pomiędzy palce przechodziły, albo przylepioną na
 „czole zapaloną gasiły świecę.“

V.

Mało—i Wielkopoleanie to puszczali w obieg szy-
 debne te dykteryjki o Mazurach, nazywając ich niezgra-
 bnymi i głupiem, to pijakami i zuchwalcami ⁴¹⁾).

Że lubili piwo, zaraz krzyknęli, iż wysłali do Rzy-
 mu z prośbą, aby dozwolono w obrzędach religijnych
 miasto wina go używać; że chcieli wyrobić sobie dyspensę
 na Wareckie piwo, słynne w one czasy ze swój dobroci
 i smaku ⁴²⁾).

Opowiadali o Mazurze, jak śmiało przyszedłszy do
 szynku, zapytał gospodarza: Jest wino?— Jest panie.—
 Macie *małmazuję*?— Mam.— A macie *Alakant*?— Mam
 i *Petersymon*.—Pójdzie dalej i pyta:— Macieź miód na
 przedaj?— Jest. — Lipca czy dostawić? Jest i Lipiec
 u mnie. — A piwo jakie dobre?— Jest, i to Wareckie.
 A *tasbir*? (podpiwek)— Jest ci i ten.— Dajcież mi tas-
 biru za szeląg, bo téż więcej nie znajdę w kieszeni ⁴³⁾,

⁴¹⁾ Klonowicz. — Bączalski przestrach śmiertelny. Broszura
 z czasów Zygmunta III.

⁴²⁾ Kiermasz Wieśniacki.

⁴³⁾ L. Opaliński. Satyry.

Jagodyński obok tego przywodzi gadkę Mazura wcale niegłupią ⁴⁴).

„Nadąwszy się, z palicą Mazur w karczmie siedział,
„A że za groszem wolność wszelka, tak powiedział,

„Kiedy mam gros,
Nadymam nos;
Nadnę i wąs,
Za grosem mąs.“ (mąż)

VI.

Wejdzmyż teraz do dworu szlachcica i przyjrzyjmy się jednej scenie, której powód dały te dykteryjki, a którą nam skreślił tak wybornie Pasek w epoce panowania Jana Kazimierza ⁴⁵).

„Jednego czasu przyjechali do mnie krewni matki mojej żony: pan Stanisław Szembek, burgrabia Krakowski i pan Franciszek Żelecki; przyprowadzili też z sobą jakiegoś Kardowskiego, swego krewnego, wielkiego pijaka. Byłem im rad; ale mi wielce gniewno było na owego pijusa, który ustawicznie przymawiał Mazurom, *jako się ślepo rodzą, jako ciemną gwiazdę mają* i t. d. Oni się też srodze delektowali i przyświadczali mu też, chcąc mię skonfudować i na to go też umyślnie zacią-

⁴⁴) Grosz S. S. Jagodyńskiego. in 4to 1620 r. druk Gocki.

⁴⁵) *Pamiętniki tegoż.*

gnęli. Przyniesiono na stół główkę cielęcą; powiedział na nią, że to *Mazowiecki papier*. Obaczył ciasto żółte, kładzione pod cielęcinę, że to *Mazowieckie komunikanty*: zgoła wielkie dawał okazyje. Ja widząc, że to na mnie te przymówki, mówię mu. „Panie Bracie! nie trzebaby „ku nocy Mazurów wspominać, żeby się zaś nie przy- „śnili, a do tego nie masz ich tu, alem ja jest Mazo- „wiecki sąsiad i będę musiał za nich odpowiedzieć.“ On po staremu prawił swoje. Po wieczery poszedł Szembek w taniec, Żelecki mówi: „pójdźno mu służyć.“ Odpowiem: „dobrze.“ — Tańczemy tedy; aż skoro już *wielkiego* poczeli tańczyć, ów stojący na trakcie, począł śpiewać“:

Mazurowie nasz
 Po jaglanój kaszy,
 Słone wąsy mają,
 W piwie je maczają.

„I tak ową piosnkę kilka razy powtarza; mnie też już gniewno się uczyniło: wezmę swego Żeleckiego na ręce, tak jako dzieci noszą, bo chłopiec był mały,— goście rozumieli, że ja to czynię z kochania— i idę z nim, a pomijając Kardowskiego, śpiewającego tę piosnkę, uderzę w piersi Żeleckim. Ten padł w znak, a że był chłop srogi jako dąb, dosiagnął jakoś ławy głową, uderzył się w tył i zemgłał; Żelecki też, bom nim o drugiego ze wszystkiój siły uderzył, nie mógł wstać. Potem do szabli; było ich tylko kilka czeladzi w izbie, bo drudzy pijani już po kątach spali: wyparowałem ich z izby. Wróciłem się do Szembeka, przyłożę mu szablę do tłustego brzucha. ten woła: „Stój! com ci winien? — a

owi dwaj na ziemi leżą. Dopiero mówię: „bodaj was „zabito! czy natoście przyjechali, żebyście mnie znie- „ważali? Już mi to przez tego pijaka cały dzień pod „nos kurzycie, a ja cierpiałem, dłużej téż znieść tego „nie mogę.“

„Skoczyły kobiety i wołają: Stój! stój! daliśmy so- bie pokój. Dopieroż dalej pana Żeleckiego podnosić z ziemi, pana Kardowskiego trzeźwić, wódki w nos lać, zęby rozdierać, a potem i po cyrulika biegać, bo so- bie głowę rozciął o ławę. Poszedł Szembek z Żeleckim spać, a ja piłem na fantazyją.“

VII.

Jak różnemi żarty wyszydzano Mazurów, tak ich język i wymowę. Do tego rodzaju satyr należy broszura pod napisem:

„*Podkanie Jannasa z Gregoriasem Klechą, przytém rozmowa Trznadla z Nictrzpielem o dobrym ożenieniu, w Krakowie w drukarni Łazarzowej R. P. 1598, wydana in 4to sygnat. A2. Fijj.* Po makaronizmowej rozmowie Jannasa z Klechą (od str. 43 do 48) w narzeczu Mazowieckim idzie ciąg dalszy i przywodzi słowa i wyrażenia właściwe Mazurom. Z tego się dowiadujemy, że kobiety nazywano *białby*; mężczyzn *otroki*; matka zwała się *mac*; siostra cioteczna, *siostra ululeona*; brat cioteczny, *sturcony brat*; *pobydleć*, wstąpić *na pobydlenie*

znaczyło na odpoczynek, na wywczas; *widacie*, widzicie; *hejda!* wykrzyknik, *a no!* ⁴⁶⁾).

Nawet w nieszczęsnych kolejach sztydono z Mazurów. Kiedy za Jana Kazimierza Rakoczy, księżę Siedmiogrodzki, wpadł na grabież Polski w r. 1657, do ciężarów karawany wołów używał; zaraz z tego utworzyli Małopolanie dykteryjkę, że ponieważ tych wołów było nad zamiar, Mazurowie rozumieli, że im na pomoc do orania Węgrzyni przyszedli. Jakoż, dodaje nasz ekonomista *Haur* ⁴⁷⁾, gdzie przeszli, wszystko w popiół poorali.

Pomimo tych wszystkich tak dotkliwych dykteryjek, tak *Mało*— jako i *Wielkopole* znali i rozum Mazurów i ich odwagę i tę zdolność do prędkiego się wykrzesania. Co księżę Jabłonowski powyżej napomknął,

⁴⁶⁾ W Broszurze XVI wieku wyżej przytoczonej „*Kiermasz Wieśniacki*“ wysmianą mamy w tym sposobie „spuścizną Mazowiecką.“

„Cioteczny, wujeczny, rodzony brat,

Ciotka, swak i wuj rodzony, kowal,

Dali byli stryjną za młynarza,

A kobietę zaś posłali w żaki:

I takie był ksiądz został Jakubem,

A toż mnie właśnie po tej sarzynie

Puścizna przyłazi.“

To sztydzenie z Mazurów przeszło i do ludu. W piosnce takie jest opisanie posagu dziewczki Mazowieckiej:

„Ozeniłem się na Mazowsu,

Wzionem w posagu tsy ćwierci owsu,

Tsy ćwierci owsu, dwie becki siecki,

Tseba się ciesyc z takiej dziewecki.“

⁴⁷⁾ *Skarbiec Oekonomii Ziemiańskiej z czasów Jana III.*

jak prędko się Mazur przetrze na dworze, to żartuje ze wszystkich— toż samo zawiera przysłowie z końca XVI wieku, które mówi:

Gdy Polak zwłoszeje,
Mazur zdornieje,
Rusin zlaszeje,
Nikt ich nie dostąpi“ ⁴⁸⁾.

Dowcip Mazurów w XVII wieku zachwalano, a Wacław Potocki przywodzi zdarzenia, gdzie Mazurzy przeszli przebiegłych Włochów, których rozum wychwalali Polacy szczególniej ⁴⁹⁾. Lud jako i szlachta Mazowiecka wyłącznie się różniła szczególnym przywiązaniem do religii Rzymsko - katolickiej. Ztąd nadano im imię „*Prawowierne Mazury*“ i to było niemałym powodem, że nie gdzieindziej, ale pod Warszawą obszerne równiny *Woli* przeznaczono na pole elekcij królów Polskich. Z tego powodu też Zygmunt III przeniósł stolicę z Krakowa do Warszawy, a panowie (jak dobrze uważa W. A. Maciejowski) chętnie zewolili na to, wiedząc o tém, że tam łatwiej będą mogli dokazować na sejmach przez liczną drobną szlachtę, która jak roje mrówek Mazowieckie zalegała piaski *). Pomiędzy ludem Lutra i Kalwina uważano za coś dziwnego i niejeden z uboższej szlachty i poczciwych kmiotków uka-

⁴⁸⁾ *Forma albo wizerunek stanom wszelakim w Krakowie 1633.*

Jana Żabczyca in 4to

Epif. Minasowicz (Zbiór Rytmów) dodaje:

„Niežnośna, gdy Mazur zwłoszeje.“

Wszakże to do każdego Polaka zastosować należy.

⁴⁹⁾ *Jovialitates.* D. Bratkowski mówi (*Świat przejrzany 1697*), że mają rozum Mazurowie z Paryża.

*) Polska T. 2. str. 60. 1842.

zywał chęć ciekawą poznania „niebozkiego stworzenia, co się w pludrach nosi“ ⁵⁰⁾.

Ksiądz Albert Sikrański ⁵¹⁾ pisze, że:

„Nie masz żarliwszych ludzi o wiarę katolicką, jak są Mazurowie.

„Znajdują się tam jeszcze, mianowicie po wsiach, prościejsi ludzie, co o Luteranie słysząc, rozumieją, że to jest nie człowiek, ale coś dziwnego na świecie — i mówi ich siła: „*Hej! hej! by też kiedy tego Lutra obaczyć; „człowiek ci to jest, czy co dziwnego?“*“ Gdy panowie Polacy, samsiedzi nasi i bracia, naonczas jeszcze podczas świeżo nastalój téj nowój wiary i nowin z Witemburku Lutrowych, za czasu Zygmunta Augusta króla, poczęli już byli starą wiarę swoją za tę nową frymarzyć: sami Mazurowie z niektórymi województwy pogranicznymi swemi, mianowicie Płockiem, Podlaskiem i Rawskiem ⁵²⁾ oponowali się temu, gardła raczej swoje dając, aniżeliby uszczerbek jaki w wierze swojej Katolickiej ponosić mieli.“ A Krzysztof Chodkiewicz niedaremnie chwalił Mazowiecką ziemię, że:

⁵⁰⁾ Lud Mazowska dotąd tak rozumie o *Masonach*, których *Farmazonami* albo *Karmazynami* (co dawniej prawdziwą szlachtę znaczyło) nazywa. Takiego wszakże Karmazyna łatwo poznać, bo lalek w oczach (czyli blasku) nie ma, harbejtel ma z tyłu, a w jego worku siedzi djabeł i z buta od wielkiego palca długi wygląda mu pazur.

⁵¹⁾ *Colloquium Charitativum albo rozprawa Polaka reformata z Mazurem, starym katolikiem*. W Krakowie u Cezarego 1652 in 4to.

⁵²⁾ Wszystko to było dawne księstwo Mazowieckie, a na Podlasiu osady z Mazurów.

„Ta święty przymiot nosi, iż się fałszorodnym, herezyjom odpiera; godny uchron godnym“⁵³⁾.

Łęczycanie Lutrów najwięcej bili gdzie schwycili, bo każdy tam chłop z oszczepem chodził. W XVII wieku tak ściśle Mazury posty szanowali, że jak wyraża współczesny pisarz: „Woli w Mazowszu chłop chłopca zabić, niż w piątek wziąć mięsa *smat*“⁵⁴⁾.

Maciój Strykowski⁵⁵⁾ wychwala mężstwo brata Mazura, uzbrojonego szarszunem, kijcem i pukawką (strzelbą). Jak był skorym do użycia broni palnej, co widzimy ze statutów książąt Mazowieckich, tak kijcem swoim dzielnie umiał wywijać, nakazywać dla siebie uszanowanie, odeprzeć napaści i uskromić wroga.

W czasie dobywania *Wielkich-Łuków* za Stefana Batorego poddany Lasockich *Widoch*, Mazur, ze wsi *Miastkowa*, chociaż postrzelony, szedł z odwagą z ogniem w rękę i parkan fortecy palił. Za co od dzielnego króla, umiejącego cenić nie stan ale ludzi, w nagrodę mężstwa szlachcicem został⁵⁶⁾. Tej odwagi i dzielności Mazury zawsze dawali najświetniejsze dowody:

Kiedy w warownej grubemi murami, potężnymi baszty i bramami stała w ściśniętym *Starém-Mieście* Warszawa, a *Krakowskie-Przedmieście* dwa tylko miało warowne pałace i kościół Bernardynów: przybył wtedy

⁵³⁾ *Błogosławiony Stanisław Kostka*. W Krakowie 1601, in 4to druk Gocki.

⁵⁴⁾ *Biesiady rozkoszne Bałtyzera z Kaliskiego powiatu*. 1684 r. in 4to, druk Gocki.

⁵⁵⁾ *Pobudka zacnym synom*. Kor. Pols

⁵⁶⁾ B. Paprocki i następni pisarze historyczni o podobnych wypadkach często wspominają.

Jan Kazimierz odbierać Szwedom stolicę swego państwa. W tych murach zamknięty dzielny wódz Szwedów Württemberg na czele silnych zastępów męznego i wyćwiczonego żołnierza stawiał straszliwy opór. Gdy wojownicy nasi szli do boju, któż od *bramy Krakowskiej* najdzielniej nacierał?

W baraniej czapce, z gołą szablą, w prostym kubraku *schłopiała* (jak nazywano) biegła dzielna Mazowiecka szlachta; jej ręce zgrabiłe, wyrobione siekierą i pługiem stawiały drabiny do murów, na nie darła się zacinając śmiertelnie: a potok jej krwi hojnie oblał i warownie i piedestały pomnika Zygmunta III, co patrzył równie martwym wzrokiem, jak za życia, na dramata pod jego stopniami poczęte— i skończone.

The first thing I noticed when I stepped out of the car was the smell of fresh air. It was a relief after being stuck in traffic for hours. The sun was shining brightly, and the birds were chirping in the trees. I took a deep breath and felt a sense of peace wash over me. The world seemed so much more beautiful when you're not in a hurry.

CHAPTER 10

In the morning, I woke up feeling refreshed. The sun was still low in the sky, and the air was cool. I got up and stretched, feeling a sense of accomplishment. I had managed to get through the day without any major incidents. It was a small victory, but it felt like a big one. I took a walk around the block, enjoying the quiet and the beauty of the neighborhood. The trees were in full bloom, and the flowers were starting to peek out from under the leaves. It was a beautiful sight, and I felt grateful for the simple pleasures of life.

KSIĄŻĘ BIAŁY.

YIELD TABLE

Wnuk króla Łokietka, synowiec Kazimierza Wielkiego, Władysław, od białych włosów przezwany *Białym*, w XIV wieku występuje wydatnie na kartach dziejów naszych jako postać godna zwrócić na siebie uwagę poetów i artystów polskich ¹⁾. Dziedzic po ojcu Gniewkowa ²⁾, z kąd przybrał miano *książęcia Gniewkowskiego*, po bracie swoim Bydgoszczy, a z daru króla Kazimierza Wiel-

-
- ¹⁾ Król Łokietek miał brata Ziemomysława; ten odumarł trzech synów, pomiędzy których podzielił ojczyznę swoją; z tych dwóch zeszło bezpotomnie; trzeci Kazimierz posiadający Gniewków, zostawił syna Władysława od białych włosów Białym przezwanego (Kronika Polska Marcina Bielskiego).
- ²⁾ Gniewków był stolicą linii książąt Kujawskich, z których Kazimierz, ojciec księcia Białego, a synowiec króla Łokietka, był pierwszym władcą na Gniewkowie. Opasany w r. 1332 przez Krzyżaków, zawiera z nimi umowę, mocą której dozwolone mając wyjście, pali drewnianą twierdzę. Zbudowali na tém pogorzelsku Krzyżacy zamek z cegły, lecz niedługo utrzymali się przy zdobyczy. Kiedy występuje książę Biały na scenę dziejów, już był panem tego grodu.

kiego a stryja swego Inowrocławia, z obu zaś lenny i poprzysięgły Korony Polskiej hołdownik, uczynił się udziałnym, nie chcąc żadnych znać powinności, obowiązków przynależnych. Gorącej krwi, gwałtownego charakteru, śmiały do zuchwałości, gdy w kłótni o granicę zabił Stanisława *Kiwałę*, sędziego Kujawskiego, zapozwany do sądu królewskiego stawić się nie chciał pod pozorem, że go król Kazimierz prześladuje i dzielnicę wydrzeć mu pragnie. Sam wreszcie uczynił zrzeczenie Bydgoszczy.

Niedługo ochłonawszy z pierwszego popędu, zaczął żałować odstąpionej części ziemi; ale król Kazimierz raz wziętego powiatu zwrócić nie chciał. Dotknięty utratą dzierzaw swoich, a do rozpacz przywiedziony śmiercią żony, którą niewymownie, do ubóstwienia kochał ³⁾, sprzedaje pozostały mu Gniewków za tysiąc złotych *Pragskich groszy* i rzuca się w świat na pielgrzymkę.

Zwiedza grób Chrystusa w Jeruzalem, przebiega znaczną część Wschodu. Uspokojony w żalu po stracie ukochanej żony, wraca do Europy, bawi na dworze cesarza Karola IV; a gdy Krzyżacy na pogańską Litwę ogłosili krucyjatę, *książę Biały* zdoła swoją zbroję krzyżem i śpieszy pod tym znamięm wiary, wspomagać zakon w rozbójniczych napadach.

Zaledwie skończono wyprawę, udaje się do Awinionu i skrycie przed towarzyszami swemi przywdziewa kaptur Cysterski jako laik w dyjecezyi Kolońskiej, a wkrótce przechodzi do Benedyktynów w Dyżonie, gdzie w zaci-

³⁾ Była to córka Alberta Strelieckiego (Strelity) na Szlązku; umarła bezpotomnie; imię jej niewiadome.

szy klasztornej przesiaduje lat 16 aż do śmierci Kazimierza Wielkiego 1370 roku.

Zgon syna Łokietkowego obudził w księciu Białym nadzieję wstąpienia na tron Polski jako najbliższy z krwi prawa, jako z rodu Piasta i synowiec zmarłego króla. Wybór Ludwika, króla Węgierskiego, pozbawił go téj nadziei. Znał księcia Białego charakter żelazny nowy monarcha, dlatego i koronację w Krakowie przyśpieszył i koronę Polską uwiózł z sobą do Węgier.

Zemsta zawrzała w sercu mnicha, który już był wtedy dyjakonem. Pewność odzyskania tronu odżyła, gdy mógł liczyć na silne stronnictwo w kraju. „Nasi Polacy (pisze Bielski), chciwi będąc nowych rzeczy, gdy się już uprzykrzył cudzoziemski pan i niewielkie rozkazywania ³⁾, posłali po tego Władysława mnicha, prosząc, aby przyjechał na ojczyznę swą, a ich panem był, powiedając, żeś ty bliższy nam niżli Ludwikowa matka, niewiasta, panować“ ⁴⁾.

Jeszcze w murach zakonu odebrał listy znakomych obywateli Wielkopolskich, co sprzyjając krwi Piastów oburzeni na Ludwika, że im na generalstwo *Ottona z Pilcy* narzucił, wzywali do Polski księcia Białego.

Na czele tego stronnictwa stali: *Przedpełko ze Staszewa*, *Stefan z Trlanga* i *Wiszota z Kurnika*.

Na to wezwanie zawrzała w księciu Białym krew Piastowska: rzuca klasztor i udaje się do Awinionu, gdzie papież Grzegorz XI miał wtedy stolicę, staje przed nim i błaga o rozwiązanie ślubów zakonnych. Ale Grze-

³⁾ Wiadomo, że król Ludwik w Polskę mianował w czasie swej nieobecności matkę swoją, królowę Elżbietę.

⁴⁾ Kronika Poska.

go z odmawia stanowczo. Książę przerażony tą odmową, posłów Polskich odprawia bez stanowczej odpowiedzi; sam zaś już nie do klasztoru swego, ale wprost udaje się do Budy na dwór króla Ludwika Węgierskiego i Polskiego.

Przyjęty zrazu uprzejmie jako powinowaty, prosił króla, aby mu zwrócił księztwa dawniej posiadane w Polsce i ażeby swoim wpływem wyjednał u głowy kościoła rozwiązanie ślubów zakonnych.

Ludwik przewidując w tych żądaniach, że spełnione posłużą księciu Białemu do współzawodnictwa o tron Polski, zwlekał stanowczą odpowiedź pomimo nalegań żony Elżbiety, a siostrzenicy rodzonej księcia. Wprawdzie wysłał poselstwo z prośbą do Grzegorza XI o rozwiązanie ślubów jego zakonnych, ale papież był nieugięty.

Dwa lata przesiedziawszy nasz Piast daremnie w Węgrzech, żywo uczuwszy coraz chłodniejsze obchodzenie się króla Ludwika, blizkie nieraz pogardy, przekonany, że daremne będą jego prośby u głowy kościoła, dobrawszy czterech zbrojnych towarzyszy, tajemnie ujeżdża z Budy i w r. 1373, pewny wsparcia Wielkopolanów, przybywa na początku Września do Gniezna, gdzie staje w domu *Hanki, rajcy* miejskiego.

Poznany, z radością przyjętym został. Gospodarz zastawia sutą ucztę, sprasza licznych gości i przedstawia prawego z krwi Piastowej następcę Kazimierza Wielkiego. Na znak hołdu udarowany jastrzębiem; na czele zwiększonej drużyny wchodzi do zamku, zwołuje mieszczany, przysięgę wierności odbiera i strażą własną gród ten osadza. Nie tracąc szasu, zajmuje Gniewków i śpiesznie dąży z poczem licznój a zbrojnej szlachty

do warownej Złotorji. Była to niedawno wioska przy ujściu Drwęcy do Wisły.

Kiedy Krzyżacy zajęli ziemię Dobrzyńską w r. 1330, korzystając z dogodności miejscowej, wzniesli tu warownią. Kazimierz Wielki w r. 1343 odzyskawszy tę ziemię, zamek ten wałami i murami umocnił tak, że Złotorja liczyła się do najobronniejszych grodów. Książę Biały przekonany o trudności zdobycia go siłą, powziąwszy wiadomość, że miejscowy starosta *Remlik* bawił właśnie w swojej wiosce niedaleko Złotorji, napada go, chwyta i związanego pod zamek prowadzi. Straż ujrawszy swego starostę w więzach, przestraszona pogroźką, że mu głowę uciąć każe, jeżeli bramy nie otworzą, poddaje warownią. Tak w dniu jednym trzy grody opanowywa. Nazajutrz składa walną radę ze zgromadzoną szlachtą i staje pod warownym i prawie niedostępnym zamkiem *Szarlój*; ale imię Władysława Białego tak było groźném, że dnia następnego otworzono mu bramy twierdzy.

Na odgłos pojawienia się zbrojnie księcia Białego i tak licznych zaborów, generał Wielkopolski *Sędziwoj z Szubina* wezwał rozesłanemi *wiciami* szlachtę na koni i doniósł królowi o zaburzeniach w kraju.

Ludwik zadrzał o tron Polski: co rychléj rozpisuje uniwersały po wszystkich ziemiach koronnych, rozkazując, aby się każdy szlachcic miał do broni pod utratą dóbr i cześci, a wszyscy stawali pod chorągwią Sędziwoja.

Generał Wielkopolski właśnie otoczył i ścisnął księcia Białego w Inowłocławiu.

Rozkaz królewski sprawia popłoch pomiędzy stronnikami pretendenta. Kujawianie, co najpierwsi garnęli się przy jego strzemienu, najskwapliwiej go opuścili.

Książę Biały, lubo liczne miał zastępy zbrojne, gotowe do krwawej walki, a warowne zamki Szarléj i Złotoryją, opatrzone w żywność na rok cały z silnemi załogami, bojąc się zdrady, po zapewnieniu Sędziwoja i wielu panów Polskich, że od króla do łaski przyjętym i w żądaniach sprawiedliwie zaspokojonym będzie, wydał zamki pomienione i rozpuścił swoje hufce.

Król Ludwik nie czuł się w obowiązku dotrzymywania przyrzeczeń danych przez generała Wielkopolskiego i panów wiernych sobie; uniesiony gniewem, ogłasza księcia Władysława *bannitą* i wydaje rozkazy ścigać wszędzie mnicha pretendenta, a schwytanego bez sądu śmiercią ukarać.

Ten z zemstą w sercu skrycie uchodzi, unika szczęśliwie zdradliwych zasadzek, przybywa do Marchii Brandeburskiej, gdzie u *Ulryka de Ostein*, dziedzica hrabi na *Drdzeniu*, hołdownika korony Polskiej, znajduje przytułek i ocalenie.

Pomimo zawiedzionych nadziei uzyskania tronu Polskiego we dwa lata niespełna 1375 postanowił na nowo wystąpić jako pretendent do korony.

Ale teraz z rozmysłem przygotował nowy zamach. Przy pomocy *Ulryka de Ostein* zebrał potężne zastępy zbrojnych. Ze wszystkich stron przybywali coraz nowi ochotnicy. Zbiegi z Krzyżackich chorągwi, najemni rycerze z ziem dalekich, z Polski saméj uciekający przed mieczem sprawiedliwości, garnęli się ochotnie do znanego z odwagi, śmiałości i hojności księcia Białego.

Pomimo głębokiej tajemnicy Sędziwoj przeniknął zamiary pretendenta, że pierwszym celem wyprawy będzie warowny zamek *Złotoryi*.

Był wówczas w tym zamku starostą szwagier jego, *Krystyn ze Skrzypowa*. Sędziwoj, znając jego gnuśność i opilstwo, chciał innego przełożyć dowódcę na stanowisko tak ważne; ale Krystyn, mając sobie za zniewagę uchylać się w czasie trwogi i niebezpieczeństwa, pozostał w zamku na czele załogi, zapewniając, że król się na jego wierności i odwadze nie zawiedzie.

Książę Biały miał dokładne o wszystkiém wiadomości. Wiedząc dobrze, że siłą nie potrafi zdobyć zamku Złotoryi, postanowił użyć zręcznego podstęp.

Znając opilstwo Krystyna, przekupił rybaków, żeby nabrawszy w łodzie dobrego a mocnego wina, ofiarowali je staroście.

Starzec wdzięczny za dar tak miły a smaczny, pił wesoło z rybakami na zanku. Wychylono wszystko do dna: posłano więc jeszcze do Torunia na dopełnienie ochoty.

Wprędce przybyły nowe zapasy. Upił się starosta i spał w nocy tak twardo z towarzyszami swemi, że książę Biały, który w zasadzce ukryty sposobnej oczekiwał chwili, z poczem zbrojnych przystawiwszy drabiny do murów, bez żadnego oporu zdobył zamek.

Krystyna kazał okuć w kajdany i do więzienia wsadzić. Siedział w turmie niedbały starosta, póki się zwycięzcy nie okupił pięciuset *kopami groszy srebrnych* z własnej szkatuły, albowiem za uwolnienie jego rozgniewany Sędziwoj i szeląga dać nie chciał.

Książę mocną załogą osadza Złotoryją, gdy przybył mu w pomoc w kilkuset jazdy i piechoty niemieckiej *Ulryk de Ostein*. Natychmiast oddział ten wysłano na zdobycie zamku *Raciąża*, należącego do *Zbiłta*, biskupa Kujawskiego.

Za pierwszym przypuszczonym szturmem opanowano dzwonnice z przyległą salą: Niemcy zachęteni takim powodzeniem uderzyli na zamek, ale odparci ze stratą, cofnąć się musieli i opuścić zdobyte stanowisko. Ulryk po krótkim spoczynku ruszył pod Gniewków. Starosta miejscowy, *Gierard ze Słoniewa*, dzielnie bronił twierdzy, ale Ulryk będąc w znowie z mieszkańcami, wpuszczony zdradą do miasta, otoczył zamek słomą i drzewem, a rozniecony pożar gdy ogarnął i sam zamek, zmusił mężnego Gierarda do poddania się wraz z 25 walecznymi towarzyszami, pomiędzy którymi znajdowali się brat jego i dwie córki.

Niemcy ze wszystkiego ich obdarli, nęcąc się nad bezbronnymi ohydnie podług swego zwyczaju. -- Użytkowali wkrótce wolność wielką summą pieniędzy, od Sędziwoja wykupieni.

Ulryk de Ostein, obładowawszy się bogatym łupem, lękając się króla Ludwika, ażeby nie był jako zdrajca i buntownik pod sąd oddany, wrócił do swoich ziem dziedzicznych.

Książę Biały, który opanował Gniewków, siedząc w warownym zamku Złotoryi, częściowemi napadami do Wielkopolski ograniczał działania swoje, łupiąc włości i dwory szlacheckie.

Sędziwoj, poruszony temi klęskami, roznoszonemi przez bandy pretendenta, które trzymały się jego chorągwi w nadziei zdobyczy, nakazuje powszechną wyprawę na zgębienie najezdnicę. Przewraca *Jaśka Kmity*, Szreniawczyka, starostę Sieradzkiego, ażeby ze swemi Sieradzanami odebrał Złotoryję.

Postępowały spokojnie zastępy Kmity, a za niemi wozy z pieniędzmi i przyborami wojennemi drogą do Ino-

włocławia, gdzie się Sędziwoj miał znajdować, nie wiedząc, że książę Władysław, mając zamiar właśnie toż miasto i zamek opanować, wysłał silny oddział zbrojnych.

Ten zwraca się na tabor Kmity, zdobywa łup bogaty. Książę Biały na wieść tak radosną przybywa z nowymi posiłkami,— i po uczynionym przeglądzie hufców swoich rusza na oblężenie Inowłocławia.

Jaśko Kmity tymczasem, połączywszy się z *Bartoszem z Wejsemburga*, starostą Brzeskim, dopędza go pod Gniewkowem, wydaje bitwę i zadaje 'mu tak straszną klęskę, że książę Biały zaledwie uniósł życie ze czterema rycerzami.

Przybiega do *Nieszawy*, rzuca strudzone konie i na małej łódce Wisłą dostaje się do Złotorji.

Rozbite jego żołnierstwo biegło po Kujawach, paląc i rabując włości, zabierając w niewolę szlachtę dla zyskania okupu i swobodnie ściągano się do warownego zamku pod dawną chorągiew.

Rok cały utrzymał się w Złotorji książę Biały, bo do r. 1376, „czyniąc bezustanne napady i szkody wielkie“ (M. Bielski).

Generał Wielkopolski Sędziwoj, czując udzieloną władzę przez króla Ludwika, który oceniał należycie niebezpieczne wystąpienie Piasta, zebrał wszystkie siły, jakie mógł zgromadzić, chcąc od razu zgnieść potęgą swoją zuchwałego pretendenta. Połączywszy hufce swoje z *Bartoszem z Wejsemburga* i *Bartoszem z Sokołowa*, starostami Kujawskimi, mając z sobą szlachtę Wielkopolską, oblega Złotorję, gdy przybywa mu jeszcze w pomoc z ludem swoim *Kazimierz*, książę Szczeciński.

Książę Biały nie upadł na duchu na widok tak potężnych zastępów zbrojnych: wytrzymuje odważnie wszystkie zajadłe szturmy, nieraz ciężkie zadając klęski.

Oddziały śmiałych ochotników swoich wśród ciemnych nocy rzucał po Wiśle, które chwytały czaty i roznosiły postrach i trwogę w obozie nieprzyjacielskim. Podjazdy jego rozpraszały lub wycinały w pień te choraągwie, co poza obozem w dalszej okolicy zamku szukały żywności.

Książę miał w zamku Złotoryi dwóch młynarzów, w sztuce strzelniczej nader biegłych, którzy umieli dziwne instrumenta do strzelby wymyślać i tą bardzo szkodzono wojskom Sędziwoja“ (M. Bielski).

Z tych jeden był, który Złotoryję księciu Białemu wydarł, drugi *Hanko z Brześcia*, którego sam dawniej pojmał. Ostatni bojąc się, aby za zdobyciem zamku, niezasobnie w żywność zaopatrzonego, kary nie odniósł, przedsięwziął wydać Sędziwojowi warownią.

Ale czujny i baczny książę, dostrzegłszy, że pociski jego przenoszą oblegających i jak dawniej nie trafiają, odkrył zdradę i umiał z niej korzystać.

Hanko wzięty na męczarnie, cały plan tajny wyjęczał, że mając klucze od jednej bramy, przyrzekł przez nią puścić zastęp królewski i Sędziwoja już o tém zapewnił.

Książę okrywając wszystko głęboką tajemnicą, wysłał zięcia Hanki z doniesieniem generałowi Wielkopolskiemu, jak sobie i kiedy ma postąpić, aby zamek bez trudności ubiegł. Uradowany Sędziwoj, chcąc sam zyskać sławę zdobycia tak warownego grodu i zakończenia groźnej dla króla Ludwika wojny, skrycie wybiera

zastęp rycerzy, a cieniem nocy okryty w największej cichości podchodzi pod zamek Złotoryi i staje u bramy.

Na dane umówione hasło podnoszą się ciężkie kraty żelazne: wpada 26 królewskich. Lecz nim reszta z Sędziwojem nadbiegła, ksiązę Biały skinął, spada z łoskotem napowrót olbrzymia krata, której kolcami Grabia z Ujścia i Fryderyk Wedel, przybici i zgnieceni na miązgę, pomimo stalowej zbroi giną; wszyscy zaś, co do zamku wpadli, częścią ogromnemi kamieniami pobici, częścią w niewolę wzięci zostali.

Sędziwoj, ową straszliwą kratą tylko oddzielony od swych rycerzy, musiał z boleścią patrzeć bezczynnie na ich śmierć odważną; z zemstą w sercu, skoro zaświtała jutrzienka, całą siłą uderza, ale daremnie do nocy powtarza swoje szturmy. Zmuszony do odwrotu, stracił wiele mężnych wojowników: Kazimierz, ksiązę Szczeciński, gdy śmiało swoim przywodzi, ogromnym ugodzony kamieniem, silny raz odbiera; pęka przyłbica, zgruchotana czaszka, a ranny wkrótce na tém krwawém polu kona.

Dotrzymawszy tak dzielnie ponawianym szturmom, gdy widział, że dłużej w zamku utrzymać się nie może, zdrajcę *Hankę* młynarza wraz z jego zięciem i tym, który mu wydał Złotoryją, nałożywszy stos drzewa suchego, żywcem spalił. Sędziwoja zaś prosił o umowę.

Ksiązę Biały podał warunki, że z zamku ustąpi; dla ocalenia jednak honoru rycerskiego, jakoby to z bronią w ręku uczynił, zażądał pojedynku na włócznie z wybranym ze strony królewskiej wojownikiem.

Szanując i zwyczaj rycerskie i krew Piastowską, przyjął od księcia wyzwanie *Bartosz z Sokołowa*, starosta Kujawski i w umówionym czasie, okryty pełną zbro-

ją, konno oczekiwał przed bramą Złotoryi na wyznaczoném polu.

Stały w gęstym szyku wojska królewskie i zbrana szlachta pod dowództwem Sędziwoja; z drugiej strony na basztach, murach i przed zamkiem z bronią w rękę stały hufce pretendenta. Za danym znakiem zabrzmiały trąby, podniosła się krata warownej bramy i na dzielnym białym rumaku w świetnej a bogatej zbroi ukazał się książę Biały.

Po powitaniu wzajemném wedle obyczaju rycerskiego wypuszcza konia i naciera drzewcem na Bartosza. Starosta wytrzymuje cios silny drzewca nieporuszenie, a swoim, zraniwszy w prawe ramię księcia, zrzuca go z siodła, sam zeskakuje z konia, przykłada mu na pierśiach, dobywa miecza i przykłada do gardła zwyciężonego. Książę wtedy dopiero poddał się łasce królewskiej. Starosta stał się panem kosztownej zbroi i rumaka jego.

Posłany do Węgier kosztem swego zwycięzcy, Bartosza z Sokołowa, sprzedał królowi Ludwikowi za 10,000 złotych Pragskich groszy Ziemię Gniewkowską, a sam otrzymałszy bogate opactwo w Węgrzech, osiadł na niem. Ale niedługo tu zabawił, zażądał wrócić do Dyżonu i tam przywdziać habit Benedyktyński.

Król zezwolił na odjazd. Książę Biały przybył na miejsce, za którym tęschnił, w r. 1382; postanowiwszy tu czekać sposobnej pory do wystąpienia w Polsce z upomnieniem o prawa swoje do obrony. W siedem lat śmierć króla Ludwika r. 1382 otworzyła mu nowe pole do spełnienia swych zamiarów. Wysłał śpiesznie powiernika swego do Awinionu, gdzie miał stolicę swą anty-papież Klemens VII, z prośbą, aby go rozwiązał ze ślubów zakonnych.

Klemens korzystał z tak szczęśliwego dla siebie zdarzenia: pragnąc pociągnąć ku sobie Polskę, która jego współzawodnika Urbana VI, zamieszkującego Rzym, za papieża uznała; wiedząc o silném stronnictwie za rodziną Piastów, wysłuchawszy księcia-mnicha przedstawień, dał mu dobrą otuchę. Jakoż wkrótce nadesłał mu następne *breve*, wzywające go do swój stolicy. — „Gdy z powodu spraw różnych nam osobistych, a które dotyczą i spraw kościoła Rzymskiego, mamy nagłą potrzebę Waszój obecności, powołujemy Was przeto ku nam, żądając, ażebyś po otrzymaniu tego listu stawił się przed nami osobiście, chociażby nawet syn nasz, opat klasztoru Świętej Benigny w Dyżonie lub ktokolwiekbyż inny z przełożonych zezwolenia na to Ci odmówił.“

Niewiadome są powody, dla których książę Władysław nie mógł się stawić w Awinionie. Posłał znowu co rychlej tegoż powiernika swego wraz z pismem, w którym przełożył Klemensowi VII wypadki zaszłe w Polsce po śmierci króla Ludwika, stan rzeczy i powody, które miał za sobą dla uzyskania sekularyzacyi, ażeby z prawami swemi do tronu mógł wystąpić.

Papież bez odwołki nadesłał mu drugie *breve* z dnia 15 Września 1382 roku, mocą którego nietylko uwolnił go od ślubów zakonnych, lecz upoważnił zarazem do odzyskania i posiadania wszystkich dóbr doczesnych obecnie i w przyszłości, nawet i tronu Polskiego, jeśliby miał do niego prawo. W końcu wyraził: „że jeśliby z niniejszém *breve* jakiegokolwiekbyż konstytucyje apostolskie, statuta, zwyczaje, przysięgi i t. p. były w sprzeczności, takowe się uchylają, aby nikt nie ważył się przeciwieć niniejszemu *breve* pod karą gniewu Wszech-

mogącego Boga i błogosławionych Jego apostołów, Piotra i Pawła“ ⁵⁾).

Książę Biały zrzuca kaptur mnicha, już teraz wolny od ślubów zakonnych, opuszcza klasztor i przybywa do Polski.

Zbiera się drużyna jego zwolenników; ale odtąd dzieje nasze milczą o działaniach księcia Białego w Polsce.

Jadwiga tron po ojcu zajęła i oddała rękę Władysławowi Jagielle. Litwa połączona została z Koroną wieczystym węzłem sojuszu i braterstwa.

Przed wolą jednogłówną narodu nie chciał uchylić dumnego czoła. Opuścił Polskę na zawsze, błąkał się parę lat po Niemczech, w końcu postanowił burzliwe życie zakończyć w klasztorze Śtėj Benigny, w którym wiele lat przemieszkiwał i przywdział napowrót habit mnicha.

W drodze zapadłszy na zdrowiu, widząc zbliżający się koniec żywota, podyktował testament, polecając w nim zwłoki swoje przenieść do kościoła Śtėj Benigny i zapisując temuż klasztorowi 2,500 złotych *Pragskich groszy* z warunkiem, ażeby za duszę jego odprawiano w nim corocznie nabożeństwo.

Umarł w dniu 1m Marca 1388 roku. Zwłoki jego przeprowadzone do Dyżonu pochowano w pośrodku kościoła Śtėj Benigny.

⁵⁾ Obadwa breve drukowane są w dziele p. n. „Théâtre d' Honneur et de Chevalerie Tom II. str. 1333 i 1336. Duplicata ich, zkollacyjonowane przez notaryjusza Guillaume Gizarda z oryginału mu przedstawionego przez księcia Władysława przed odjazdem do Polski znajdują się w archiwum Benedyktynów w Dyżonie.

W pół wieku później pokryto je kamieniem grobowym, na którym w całej postaci jest wyobrażony książę Biały z odkrytą głową, ze złożonemi pobożnie rękoma. W około napis łaciński obejmuje jego imię (łacińskimi, nie gockimi literami), tytuły dostojności i datę śmierci (1 Marca MCCCLXXXVIII); odtąd zaczęto odprawiać w rocznicę jego zgonu żałobne nabożeństwo, zwane: „*Rocznicą Króla Lancelota*“ ⁶⁾.

Tak zakończył burzliwe życie głośny w dziejach naszych książę *Biały*, dając z przygód swoich poetyczny zaprawdę przedmiot. A były to jeszcze świeże czasy wielkiego Łokietka zapasów z dumnym zakonem Krzyżaków, żywa pamięć Kazimierza Wielkiego. Jeszcze żyli starcy, co służyli w chorągwiach, które zgniotły potęgę tego zakonu pod *Płowcami*, co zasiadali ławy na sejmie Wiślickim. Sam charakter księcia Białego wydatniejsze silnie: to pielgrzymo do Ziemi świętej, wzbogaconego wspomnieniami Wschodu,— rozpaczającego męża po stracie ubóstwionej żony; mnicha okrytego kapturem, śmiałego pretendenta do korony Polskiej, wytrwałego przez

⁶⁾ W r. 1832 w Dyżon wyszła broszura po francuzku P. C. N. Amantow, członka antykwarejuszów Francyi komisyyi departamentalnej starożytności de la Côte — d'or p. n. „*Władysław książę Kujawski*“, w której badacz ten skreślił życie naszego Piasta. Ale nie znając Polskich źródeł, wiele pomyłek popełnił. Korzystaliśmy z niego co do ostatnich chwil Władysława i sprostowania mylnéj daty śmierci jego podanéj przez Du Cange'a w *Glossarium*, który o lat dziesięć później każe mu umierać. Kronikarze nasi, równie jak A. Naruszewicz Tom VII. poświęcają mu niemałe ustępy, lubo wszyscy prawie milczą o jego ostatnich usiłowaniach za Jadwigi i ostatnich chwilach życia.

lat 20 w powziętym raz zamiarze; do którego garną się i ci, dla których drogą była pamięć krwi Piastowej i zastępy złożone z łotrów i łupieżców, zbiegów to z Krzyżackich chorągwi, to z Mazowsza i Prus dla zbogacenia się jedynie łupami z bezbronnych. W końcu okryty już szronem siwizny, pragnął po długich latach pełnych przygód i zmiennój doli zacisznego spoczynku w tych samych murach klasztoru, zkąd wybiegał pełen nadziei świetnych, w samej sile wieku.

Długo ruiny zamku Złotorzy, w którym najważniejszą część dramatu swego odgrywał książę Biały, sterczały dumnie i wyniośle. Szczątki jego były jeszcze znaczne w końcu panowania Stanisława Augusta.

Zgasły zawczasie dla literatury naszej poeta *Dominik Magnuszewski* z życia jego wziął treść do wzniosłego dramatu swego p. n. *Władysław Biały*. Żałować należy, że piękny ten utwór zupełnie wykończony, dotąd w rękopiśmie spoczywa.

Niedawno genialny nasz malarz Jan Matejko przedstawił w olejnym obrazie tego wnuka Łokietka w chwili, gdy jako mnich odbiera wezwanie przez posła stronników swoich, ażeby przybywał co rychléj do Polski i zasiadł tron sobie należny. Tak więc znakomity poeta, jak i wielki malarz, odświeżyli w pamięci naszej wydatną XIV wieku postać *księcia Białego*.



JAN KAROL CHODKIEWICZ

w rodzinném życiu.

THE HISTORY OF THE

ROYAL SOCIETY OF LONDON

FROM ITS ORIGIN TO THE PRESENT TIME

BY JOHN VAUGHAN

IN TWO VOLUMES

LONDON: PRINTED BY RICHARD CLAY AND COMPANY, LTD.

BUNGAY, SUFFOLK

1928

Obszernie mamy skreślony żywot wielkiego hetmana przez Naruszewicza w dwóch tomach, wydany po raz pierwszy w Warszawie 1781 roku. W nim nasz historyk stawia swego bohatera na polu zasług krajowych, ale człowieka z krwią i kośćmi, ze słabościami i potęgą moralną darmo byłoby tam szukać.

Zmarły w sile wieku pracowity dziejów naszych badacz, Seweryn Gołębiowski, z księgi listów Chodkiewicza od r. 1613 do 1616 ogłosił w „Bibliotece Warszawskiej“ rozprawę p. n. „Strona moralna Jana Karola Chodkiewicza, wyczytana z jego listów“, która więcej nam już jako człowieka ukazała sławnego zwycięzcę z pod Kirchholmu. Po nich korzystając z prac obu, skreślił wymowny a rzetelny Chodkiewicza życiorys Julijan Bartoszewicz w „Żywotach hetmanów“ i „Encyklopedyi Powszechnéj Tom V“.

Pomimo tych prac zupełnie nową, a nieznaną dotąd charakterystykę Chodkiewicza podaje księga listów

z jego archiwum Sapieżyńskiego, obejmująca zbiór ich pisany do żony Zofii z Mieleckich i syna Hieronima od r. 1606 do 1611.

Gołębiowski we wstępie do wzmiankowanej wyżej rozprawy swojej pisze :

„Z przeszłości mało zostało śladów życia rodzinnego: sprawy publiczne na pierwszym planie; życie rodzinne kryje się gdzieś w cieniu i z listów nawet nie śmiało wyziera. Bój, rada, wybory posłów ziemskich i deputatów na trybunał, zajścia między możnemi panami, zwrot opinii publicznej, wypadki zagraniczne — oto jest treść tych listów“ ¹⁾.

My przecież innego jesteście zdania. Serca praoców naszych silnie zawsze były uczuciem rodzinnym.

Jan Karol Chodkiewicz z szałasów obozowych nie wstydzi się wyznać, że płakał, czytając list syna swego. „Hieronimków list (pisze do żony) mię ucieszył i z płaczem“ ²⁾.

Kto badał uważnie charakterystyczne postacie mężów XVI i XVII wieku, wie dobrze, jak serca ich miękły w domowym kole, oddając się chętnie uczuciom rodzinnym. Jeżeli kto, to Chodkiewicz, co z sześćdziesięciu lat życia czterdzieści przeżył na koniu i w obozie, zapalczywy w walce, skory do gniewu, surowy w rozwinięciu chorągwi, zdawałoby się, że podeprzeć może myśl rzuconą przez Seweryna Gołębiowskiego; a przecież właśnie ten sam wojownik zupełnie przeciwne podaje nam dowody.

¹⁾ Biblioteka Warszawska. T. III z r. 1854.

²⁾ List J. K. Chodkiewicza z obozu d. 27 Września 1609 r.

Listy własnoręczne wielkiego hetmana, o których wspomnieliśmy, stawiają nam Chodkiewicza nietylko jako małżonka przywiązanego do żony; ale niemal jako kochanka pełnego uprzejmości i zalotów, a zarazem tkliwego ojca.

Niezupełny ich zbiór z sześciu lat mamy przed oczyma, bo są wielkie pomiędzy nimi przerwy; ale to, co zawierają w sobie, już dosyć daje nam rysów tego wojownika, który na leży żołnierskiej lub kładąc, jak sam mówi: „zbroję na grzbiet,“ zwraca się z czułą myślą do tych najukochańszych istot swoich na ziemi.

Po skończonych trzydziestu latach życia Chodkiewicz rozpoczął zaloty do młodéj, pięknej a wykształconéj wdowy. Była to Zofija Mielecka, córka słynnego za Zygmunta Augusta—hetmana i wojewody Podolskiego.

Wydana za Siemiona, ostatniego z książąt Olekiewiczów Słuckich, wkrótce owdowiała. Chodkiewicz poznał, pokochał urodną, pełną wdzięków i rozumu księżną i zaczął bezzwłocznie starania o jéj rękę. Zaloty jego wdzięcznie przyjęte zostały. Obrzęd weselny odbył się w Cimkowiczach na Litwie dnia 23 Lipca 1593 roku. We cztery blisko lat urodził się syn Hieronim, w kilka lat później córka Hanna.

W księdze naszej rozpoczynają się listy hetmana już po sławném zwycięztwie pod Kirchholmem z początkiem roku 1606.

Pani hetmanowa dowiedziała się, że w miejscu pobytu jéj małżonka była młoda i urodna cudzoziemka, i widać, z podejrzeniem zazdrości do niego pisała, gdy nasz wojownik z właściwą sobie prostotą odpowiada:

„Moja najmilsza Zosieńko, pociecho moja serdeczna!

„Przyniósł mi wielebny posłaniec, pan Hołub, list dziwnych jakichciś imaginacyj pełen. I uśmieiałem się mu i zdziwiłem dziwnój i niespokojnej głowie. Co się owój cudzoziemki tknie, dalibógem ci jój nie widział, a choćby i Dyjaną była, jużby mię pewnie nie ruszyła pokusa“ ¹⁾.

Zapusty 1606 r. to w obozie, to grody warowne objeżdżając, przepędzał. Znając zazdrość swój Zosieńki:

„Z strony mięsopust moich, (pisze) gdzie ich odprawowałem, tuszę, że Puciata powie, i chociaż księżę Kurlandzkie przysyłał po mnie, bo sama przyjechała księżna, wymówiłem się. a serdecznie temu rad, *bobym suspicyj* ²⁾ *był nie uszedł*. Teraz do Dorpatu jadę; tam wprawdzie acz starościna młoda, ale sam starzec jędrniejszy niżli ja, bo mię czterdzieści lat spycha ze wschodu“ ³⁾.

Każdy list adresował: „Małżonce mojej serdecznie miłej Zofijej z Mielca Mieleckiej Chodkiewiczowej etc. staroście Zmudzkiej.“ Nigdzie nie wspomina o jej książęcym tytule po pierwszym mężu, a zwykle zaczyna każdy list od tych słów: „Moja najmilsza Zosieńko, pociecho moja serdeczna“ albo „Moja jedyna, kochana duszo.“ Kończy zaś każdy: „Waszój miłości uprzejmie z serca miłujący małżonek.“

Nie było większego strapienia dla naszego bohatera, jak wiadomość 'o najmniejszej słabości żony lub syna, którego kochał, widać, więcej niż córkę, bo w nim kładł nadzieję utrzymania świetności swego rodu. Trośczył się o jego naukę i nie tai, że miło znosi ciężkie

¹⁾ List z początku roku 1606.

²⁾ *Podjejrzeń zazdrosnych ze strony małżonki.*

³⁾ List z ostatnich dni Lutego 1606 r.

trudy: „ale dla ciebie i sławy twój lekkie.“ Pragnienie to gorące, aby zostawił w potomku godnego siebie następcę, któryby potrafił sławy imienia jeżeli nie podnieść, to przynajmniej utrzymać, wyraźnie w tych listach przebija. Ciąg ich, poniżej przywiedziony, da czytelnikowi poznać to lepiej.

Jakkolwiek niemały miał majątek, interesa pieniężne ciągle go trapiły. Wierzycciele nie dawali mu pokoju i opędzić się przed nimi nie potrafił. Zgryzoty z tego powodu miał wielkie, do których przyłączyły się jeszcze skargi niepłatnego rycerstwa, które zbierane nieraz w *koło*, wypowiadało mu posłuszeństwo i opuszczało obozy.

Hetman surowy i popędliwy w każdym innym razie srogoby ukarał takiego rodzaju niekarność szkodliwą; ale przekonany o sprawiedliwości żądań swoich towarzyszy broni, gryzł się w sobie i milczał, widząc, że władza jego buławy znaczenia nie ma wobec ogólnego wszystkich chorągwi oburzenia.

Z rzewnym uczuciem patrzemy na te listy, pisane przed półtrzecia wieku z różnych miejsc, gdzie Chodkiewicz koczował, przy dymnych ogniskach lub chwilę zaledwie spoczywał pod dachem, szarpany ciągłymi troskami.

Z obozu o sześć mil od Możajska z trwogą dowiaduje się o chorobie syna Hieronima i radzi do niego sprowadzić *Jana* doktora ¹⁾.

Nieraz z boleścią pisze do żony, że nie ma grosza przy duszy i jedzie do Infant „o jednęj kurcie a zwierzchniej sukni“ ²⁾.

¹⁾ Z obozu d. 22 Września 1611 r.

²⁾ Z Kamienia d. 25 Października 1607 r.

Najlepsze konie wierzchowe postradał, a wiedząc dobrze z doświadczenia, co znaczy dla wojownika dzielny rumak, chętnie byłby sprzedał złote łańcuchy, byle tureczyna pod siodło dostać.

Z obozów pisze listy do swój Zosieńki, pełne miłości, przeprasza za gniewne i ostre czasem odpisy i zarazem przypomina o sprawach domowych: o wysyłce potażu i przygotowaniu wczesném zboża na flis wiosenny ¹⁾.

Kiedy wyrósł w Rzeczypospolitej na pierwszego wojownika i obudził podziw Europy całej zwycięstwem Kirchholmskiem, stał się celem zawiści niekzemnych dworaków Zygmunta III. Tak stryj naszego hetmana Hieronim, jak brat Aleksander ostrzegają go o tém ciągle ²⁾.

„Ze zbroją na grzbiecie“, stojąc na czatach w Inflantach, niecierpliwi się sierzdzisty wojownik, że nie ma wiadomości z sejmu Warszawskiego, wymawia to nawet swojej najmilszej Zosieńce.

W siedmnaście lat po godach weselnych, schwywszy swobodniejszą chwilę, przybiegł r. 1610 do tych samych Cimkowicz, gdzie piękną wdowę pierwszy raz swoją małżonką nazwał. Pragnął w tych miejscach, pełnych tak drogich sercu wspomnień, odetchnąć całą pierśią i z ukochaną Zosieńką pogwarzyć, zrzuciwszy zbroję, co mu dobrze nagniotła już kości.

Ale troska pędziła w jego ślady: złe wieści z Wołoszczyzny zatruiły mu krótki tu pobyt. Odmówił mu Bóg

¹⁾ Z obozu d. 31 Października 1608 r.

²⁾ W zbiorze, o którym mówimy, są właśnie téj treści listy z lat od r. 1606 do 1611.

tego szczęścia, żeby w kółku rodzinném, rzuciwszy kłopoty o ziemię, swobodnie choć dni kilka mógł zabawić.

Z księgi listów Chodkiewicza podamy teraz już wyciągi, już całkowite pisma, które dopełnią naszego zarysu wielkiego hetmana w jego domowych stosunkach. W nich nie utaił przed „najmilszą Zosieńką“ uczuć i myśli, charakter jego wiernie odzwierciadlających. Pierwszy list kreśli z Lachowicz, z zamku, który zamienił w silną warownią, uzbroiwszy go zdobytymi na Szwedach działami i z kąd się pisał *hrabią*.

Z Lachowicz d. 16 Marca 1606 r.

Narzekając na swą słabość, bo „mię mój kamień ciężko trapi“, pisze dalej:

„Dzieciom co się kupiło według rejestru naszego, to się już posłało. Więc i dla Was, moja duszo, suchych konfektów, jako cytryn i innych rzeczy, posłałem dziesięć funtów. Ja sam niedługo zamieszkać; bym jeno żołnierstwo odprawił do króla, tedy zarazem pobiegę do Was, moja duszo, dniem i nocą.

Panowie dłużnicy lżej ze mną postępują, iż widzą, że mam z kąd zapłacić, a drudzy z poczekaniem odzywają się; ja jednak by jednej godziny z siebie zsadzić wolałbym. O wasze jechanie do Wilna nie frasuję się; ale żebyście dzień jeno mieli zamieszkać u mnie, to niepodobna, ani temu wierzyć mogę. Przyjdą mnisi, mniszeczki, ten dzień, a ten drugi, aż tydzień, a *wicra* jest co ze sobą czynić.

Wymalować się nie mam dać komu; *Kacper* nie jest do tego, a też *haniebnie* ¹⁾ zabawny. Obrazu wa-

¹⁾ Wyrazu tego starzy Polacy używali na oznaczenie przymiotu jakiego w najwyższym stopniu.

Najlepsze konie wierzchowe postradał, a wiedząc dobrze z doświadczenia, co znaczy dla wojownika dzielny rumak, chętnie byłby sprzedał złote łańcuchy, byle turczyzna pod siodło dostać.

Z obozów pisze listy do swój Zosieńki, pełne miłości, przeprasza za gniewne i ostre czasem odpisy i zarazem przypomina o sprawach domowych: o wysyłce potażu i przygotowaniu wczesniem zboża na flis wiosenny ¹⁾.

Kiedy wyrósł w Rzeczypospolitéj na pierwszego wojownika i obudził podziw Europy całej zwycięstwem Kirchholmskiem, stał się celem zawiści nikoziemnych dworaków Zygmunta III. Tak stryj naszego hetmana Hieronim, jak brat Aleksander ostrzegają go o tém ciągle ²⁾.

„Ze zbroją na grzbiecie“, stojąc na czatach w Inflantach, niecierpliwi się sierdzisty wojownik, że nie ma wiadomości z sejmu Warszawskiego, wymawia to nawet swojej najmilszój Zosieńce.

W siedmnaście lat po godach weselnych, schwywszy swobodniejszą chwilkę, przybiegł r. 1610 do tych samych Cimkowicz, gdzie piękną wdowę pierwszy raz swoją małżonką nazwał. Pragnął w tych miejscach, pełnych tak drogich sercu wspomnień, odetchnąć całą pierśią i z ukochaną Zosieńką pogwarzyć, zrzuciwszy zbroję, co mu dobrze nagniotła już kości.

Ale troska pędziła w jego ślady: złe wieści z Wołoszczyzny zatrwały mu krótki tu pobyt. Odmówił mu Bóg

¹⁾ Z obozu d. 31 Października 1608 r.

²⁾ W zbiorze, o którym mówimy, są właśnie téj treści listy z lat od r. 1606 do 1611.

tego szczęścia, żeby w kółku rodzinném, rzuciwszy kłopoty o ziemię, swobodnie choć dni kilka mógł zabawić.

Z księgi listów Chodkiewicza podamy teraz już wyciągi, już całkowite pisma, które dopełnią naszego zarysu wielkiego hetmana w jego domowych stosunkach. W nich nie utaił przed „najmilszą Zosięnką“ uczuć i myśli, charakter jego wiernie odzwierciadlających. Pierwszy list kreśli z Lachowicz, z zamku, który zamienił w silną warownią, uzbroiwszy go zdobytymi na Szwedach działami i zkąd się pisał *hrabią*.

Z Lachowicz d. 16 Marca 1606 r.

Narzekając na swą słabość, bo „mię mój kamień ciężko trapi“, pisze dalej:

„Dzieciom co się kupiło według rejestru naszego, to się już posłało. Więc i dla Was, moja duszo, suchych konfektów, jako cytryn i innych rzeczy, posłałem dziesięć funtów. Ja sam niedługo zamieszkam; bym jeno żołnierstwo odprawił do króla, tedy zarazem pobiegę do Was, moja duszo, dniem i nocą.

Panowie dłużnicy lżej ze mną postępują, iż widzą, że mam zkąd zapłacić, a drudzy z poczekaniem odzywają się; ja jednak by jednej godziny z siebie zsadzić wolałbym. O wasze jechanie do Wilna nie frasuję się; ale żebyście dzień jeno mieli zamieszkać u mnie, to niepodobna, ani temu wierzyć mogę. Przyjdą muisi, mniszczki, ten dzień, a ten drugi, aż tydzień, a *wicra* jest co ze sobą czynić.

Wymalować się nie mam dać komu; *Kacper* nie jest do tego, a téż *haniebnie* ¹⁾ zabawny. Obrazu wa-

¹⁾ Wyrazu tego starzy Polacy używali na oznaczenie przymiotu jakiego w najwyższym stopniu.

szego ja nie wydam, bo się w nim sam kocham; ale łącno o to. Widzi mi się, że jest malarz u młodszego ksiązęcia ¹⁾, tedy ten to sprawić może.

Jam téż niegodne nabożeństwo swe u św. Michała odprawił, gdzieś téż i Ciebie z dziatkami nie zapomniał.“

Z Grodna w dzień Wielkanocny 1606 r. Donosi, że w drodze zachorował, że zwątpił o sobie i zaledwo dojechał do Grodna.

„Nieszczęście jednak na jedném przestać nie chciało: nie jeno, że mało nie umarł, ale z *Soboty Wielkiej* na Niedzielę między 9 a 10 w nocy małym wszystkim nie zgorzał. Podle dom, gdzie wszytka moja chudoba, zapalił się, co musi być, że ktoś sprawił, na moję szkodę, która mi się stała. Najżałobniejsze mi jest pogorzenie chorągwi zdobycznych, o czém Pan Bóg wie, że z płaczem do Ciebie piszę. Ledwo uratowano trzydzieści i to pogorzałych. Rzędy, szable, pałasze oprawne, szat kilka i inny rynsztunek wszytek; pieniędzy gotowych szesnaścieset złotych, owa że mam za 5000 szkody. Pan Bóg niech ze wszytkiego pochwalon będzie; on dał, on wziął jako Pan, onże i znowu dać będzie raczył, kiedy wola jego święta. Łatają się jednak chorągwie, będzie ich z 15 na drążkach, a ostatek nadgorzałych położę przed Pana, a wszak wszyscy wiedzą, gdzie się wzięły i jako ich wiele było.“

Wyruszył z Grodna słaby i zgryziony i zatoczył obóz. Wojsko pod chorągiew Chodkiewicza zebrane, żądało wypłaty zaległego żołdu; ale hetman nie miał grosza przy duszy. Z tego obozu d. 29 Julii 1606 r. pisze do żony:

¹⁾ Mówi tu zapewne Chodkiewicz o Radziwille.

„Nie masz widzę sposobu do zatrzymania żołnierstwa: już wszyscy za Dźwinę rzucili się i w Poniedziałek *koło* ma być, gdzie już się zrezolwują, mnie chudzinie nie wiedzieć co przyjdzie czynić. Odbieżeć źle, zostawszy — a z kimże? Ledwo dalibóg nie szaleję, że mam co z sobą czynić. Pisałem do pana podskarbiego, aby mi kilkaset złotych posłał dla Was.“

Z Rygi 6 Augusta 1606 r. Prosi swój najmilszej Zosieńki, ażeby przyśpieszyła swój wyjazd, bo nieprzyjaciel na karku i trudna będzie droga. Większa część chorągwi już go opuściła. „Rota moja a *Fitingowa* ledwo jeno przy mnie ostały do dwu niedziel, insze wszystkie precz. Panie Boże ich błogosław.“ Hetman nie miał, jak widzimy, urazy do swych towarzyszków broni, którzy go opuścili; uznawał całą słusność ich wymagań i błogosławieństwem zwycięzców z pod Kirchholmu zażęgnywa.

Nazajutrz (7 Augusta t. r.) nagli żonę o przybycie, a dzieci żeby pozostały w Nieświeżu.

Skarży się, że pieniędzy żądanych na strawę przesłać nie może, że pisał o sto złotych do pana podskarbiego.

Z Rygi 25 Octobra 1606 r.

„Do Wilna trzeba jechać; a sukna mi więcej przyslijcie według regestrzyku na chłopięta pokojowe, aksamitu czarnego i półszarłacia na ferezyje ¹⁾ i poszewki przywieźcie. *Lundyszu* ²⁾ postaw weźcie dla tych drobniej-

¹⁾ Ferezyja, suknia zwierzchnia, rodzaj kapoty obszerniej, wdziwaniej na inną odzież.

²⁾ Lundysz, gatunek sukna hollenderskiego, taniego, używanego na barwę dla dworzan i czeladzi.

szych, a myśliwcowi memu dajcie na żupan i deliją; *falendyszu* ¹⁾ postaw na tych komorników, którzy przy Was są, jeno po tychże pieniądzach, po 3 flor. łokieć.“

Z Rygi 26 Octobra 1606 r.

Zafrasował mię twój list moja duszo; frasujecie się, rozumiejąc, jakobym miał się gniewać za to, że karła przyjmujecie ²⁾. Pod sumieniem Ci to, moja duszo, piszę, żeć mi to z żartu, a nie ze złego rozumienia przyszło. Nietylko karła, ale i sam, mając taką miłość twoję przeciwko sobie, karłem być nie ciężkoby mi było, choć uroda nie potemu moja, jednak chęć i do takiego, jaka ich powinność usługowania, nie cofnęłaby się nazad. Proszę Cię tedy moja pociecho, nie rozumiej o mnie tak źle, jako mi piszesz: dalibógci, że nie ze złego mi to serca przyszło, ale z żartu. Mnie on nie zawadzi i owszem do posługi pokojowej się zejdzie.

Nie zapominaj mię w modlitwach swych na miejscach tamtych, ja też sam niegodny Pana Boga za Cię i dziatki proszę. A zatém dobranoc moja pociecho jedyna.“

Ma już Chodkiewicz posłuchy o rokoszu zbrojnym. W następnym roku stanął przy boku króla Zygmunta i pisze *z obozu pod Warką dnia 2 Lipca 1607 r.*

„Moja najmilsza Zosieńko, moja pociecho serdeczna! Piérwszego dnia Lipca dogoniliśmy *konfederatów* albo *rokoszanów* pod Warką, którzy stanąwszy w szyku i już wypaliwszy do nas z dział po kilkakroć bez szkody naszój; my też także do nich, ale z ich szkodą. Po-

¹⁾ Falendysz, sukno droższe angielskie lub hollenderskie.

²⁾ Zwyczaj trzymania karłów po dworach panów Polskich dotrwał do ostatnich lat Rzeczypospolitej.

słali do nas, prosząc o traktaty i o to, abychmy krwie chrześcijańskiej nie przelewali; pozwolił król Jegomość na to; traktowano zatem do wieczora; więc iż nie mogło się tego dnia skończyć, odłożyli do jutra, jako do dnia wtórego tego miesiąca. Nie dotrzymani nam i wtém słowa, uciekli nocą. O innym królu myślą oni, mianowicie o Batorym i prosto ku Krakowowi jadą: my za niemi. Ubywa nas jako w czarnoksiężkiém kole, ale iż nas niemało, a ku ludziom idziem, którzy królowi za jeżdżają, będziem mieć z nich siłę, których doszedłszy, już żadnych traktatów nie czekając, rozprawić się nam z nimi przyjdzie. Wszelkich sposobów król Jegomość szukał do uspokojenia tych rzeczy, ale już innéj rady nie masz, jeno szabłą się rozprawić. Mnie wszyscy odbiegli dla niezbędnej konfederacyi; zaczém teraz, gdy największa potrzeba była, odbiegli mię i musiałem chorągiew zwinąć. Senatorów niemało i JMśc Pan wojewoda Wileński ¹⁾, staruszek najmilejszy (.) na koniec wprzód przed chorągwią swą, ażem go ledwie uprosił, że przy Panu był. Jest ludzi niemało przy Panu, jenom ja nieszczęśliwy, że musiałem nie bez ciężkiego żalu swego zwinąć chorągiew; sam jadę przy nim i zdrowia jego pilnować chcę. Chciałem być u Was moja duszo, rychło, ale to mię te czasy zatrudniły. Pana Boga tedy proszę, abym Was w dobrém zdrowiu oglądał rychło, a teraz jako najczęściej o niém słyszał. Ja iż będę przy boku Pańskim, tam niech mię wyrostek ²⁾ wasz najduje.

¹⁾ Wojewodą Wileńskim był wówczas Mikołaj Radziwiłł, zmarły 1616 r. W tymże roku tę godność otrzymał nasz Chodkiewicz.

²⁾ Na dworach panów była to młodzież szlachecka, z której

Dobranoc-że, moja pociecho serdeczna. Pana Boga proszę, abym Was w dobrém zdrowiu rychło oglądał.“

We dwa dni zaszła pamiętna bitwa pod Guzowem. Nazajutrz *dnia 5 Julii 1607 r.* pisze Chodkiewicz z obozu nad pobojoiwiskiem:

„Moja najmilsza Zosieńko, moja pociecho serdeczna! Już nas Pan Bóg rozprawił przez szablę. Dnia 4 Lipca pod Guzowem doszliśmy ich: stawili nam pole jako ludzie rycerscy, ale przegrali. Na placu niewiele trupa, nie masz dwóchset; ale rannych zbytnie wiele; pojmanyh i znacznych niemało; ile towarzyszków—głowy pouciekały. Widzi Pan Bóg jako z obu stron jesteśmy żałośni, patrząc na bracię swoją i na takie grono *grzecznych* ludzi. Żałośni i oni, gdyż są zwiedzeni bałamuctwy wojewody Krakowskiego ¹⁾, który wszystkie traktaty królewskie *uławiał*, a co innego do zburzenia ich powiedział. Panie Boże się pożał takięj ich sprawy; ale iż się już stało, ty sam Panie racz uśmierzyć już, aby do czasu gorszego potem nie przyszło. Chorągwie, działa nieprzyjacielskie (jeśli ich tak niebożąt nazwać) pobrane, i tak masz, moja pociecho, tragediją tuteczną. Jam z łaski Bożęj zdrów dobrze, daj panie Boże tak i dłużej. Teraz gdzie się obrócim, jeszcze nie wiem, ale byłem króla zaprowadził, a o *Zgórsk* co postanowił, zaraz do Ciebie, moja duszo, dniem i nocą pobieję, niegodny Pana Boga prosząc, abym Cię zdrową i z Hieronimkiem moim oglądał. Oddawam się zatem uprzejmęj miłości waszëj, moja duszo.“

wybijano więcęj rozgarniętych i zręcznych, a przytomnych na kuryjerów do roznoszenia listów i depesz.

¹⁾ Mikołaja Zebrzydowskiego.

Z Kamienia d. 25 Października t. r. Tłumaczy się, że pisać nie mógł, bo drogi niebezpieczne. Donosi małżonce, że otrzymał wiadomość, iż nastają na jego życie: trzyma się więc chorągwi dla swego bezpieczeństwa: „Mnie wiera jeszcze nie chce się umrzeć, a źle tak jako świnia kwicząc.“ Czas, uważa, dla Hieronimka do szkoły, ale obawia się zemsty swoich wrogów na ukochaném dziecku. Jedzie do Inflant: „Oprócz kurty a zwierzchniej sukni nie miałem nic w Krakowie.“

Z Berżon we Czwartek dwie niedziele przed Bożem Narodzeniem 1607 r. Oczekiwał z wieczerzą na najmilszą Zosienkę, ale daremnie; prosi więc, aby corychłój przybyła. „Nigdy na mię nie był cięższy rok jak teraz, jednak milsza nędza w towarzystwie miłém. Nie żał mi będzie z Wami cierpieć.“

Z Narwy 19 Lutego 1608 r. zgryziony wielce, na dwa listy swęj małżonki odpisuje razem. Naciśniony od wierzycieli, martwił się nietylko domowemi kłopotami, ale i sprawą publiczną; bo żołnierstwo niepłatne sarkano i chciało chorągwie opuścić. W utrapieniu swém tak się wyraża: „żeby mnie raczėj na marach zastał ten niepokój. Zaprawdę dobrze, żem się nie zabił od ciężkiego smutku. Teraz jużem się odgniewał i melancholija nieco mi ulżyła, a to odpisuję.“ Ale nie może zapomnieć wierzyciela swego Kiernożyckiego: „Łupił mię (mówi) jako szkapę złego, ażem świrszczał.“

Z Brześcia 25 Lutego 1608 r. pisze o nastawianiu na życie swoje pana jakiegoś. Gniewa się, że Zosienka jego te wiadomości za plotki bierze. „Żałosne mi rozstanie z Tobą, jako z dobrą żoną i miłemi dziećkami musiałyby być, ale żałośniejsza, gdybym jako pies albo bydlę zginął, czego uchodząc (za złe mi mieć jako bacz-

na nie możesz), ani na Cię ani na dzieci oglądać się będę. Uczciwie umrzeć gotowym; i jeśli się czuje być rycerskim człowiekiem, cnotliwie a nie zdradą, na którą się przez różne usadził ludzie, bić się musi.“

Co miał, na żołnierską płacę wydał: „Jużem prawie niszczał tą służbą i pono muszę srebro zastawić. Regestr rotmistrzów żem podał, a z kimże mi przyjdzie do Inflant? Czyli z Tatarami a pożyczonemi roty? Któż ma królowi podawać rotmistrze aż nie hetman? Pierwój się obruszali, że lada kto rotmistrzem; teraz kiedym znaczniejszych zaciągnął, taż *suspicyja*. Ja nie wiem, co już mam czynić; wszystko co pocznę, to źle. Jeśli mię chcą z tego urzędu zedrzeć, porzucę go i sam; jednak pókim nim jest, póty mi obmyśliwać się godzi o sposobności wojennój.“

Gniewały wielkiego wojownika intrygi i plotki na dworze Zygmunta III wtedy, gdy on zajęty był obroną Rzeczypospolitój.

Z Tropieniec 5 Marca 1608 r. z radością donosi, że w Brześciu uspokoił żołnierzy, co byli niepłatni. Pragnie Zofję widzieć, ale boi się wierzycieli, bo grosza nie ma, jak go napadną.

„Proszę tedy dla Pana Boga, ubłagajcie ich, więcój ci u nich wasza niż moja prośba będzie mogła.“

Troski o pierwsze potrzeby nie opuszczały go nigdy. *Z Brześcia 2 Maja 1608 r.* pisze strapiiony wielce dla niedostatku i biedy:

„Obnażonym prawie ze wszystkiego, że w gębę już nie mam co włożyć. Pan Bóg niech się zmiłuje na de mną. Srebro swoje połowę sprzedałem panu podskarbiemu, któren żołnierzowi płacić ma.“ Żołnierze choć niezupełnie zapłaceni, byli jednak wdzięczni het-

manowi. „Na mnie odwrót łaski i chęci swęj uczynili, widząc, że m się dobrze z niemi obszedł.“

Pomimo to jątrzyły go intrygi dworskie i smutny stan interesów własnych. Kończy ten list o północy w Niedzielę, bo sen po trudach skleić mu oczu nie może.

Szaleć mi już przyjdzie: jakoż blisko już tego, bo nie sypiam i tak mam *czczą* ¹⁾ głowę, żeby m jeno kieliszków parę wypił wina, to m się już głowa obraca; zacząć m piwo piję, choć żołądkowi nie w smak.“

Kiedy zatoczył obóz, otrzymał dwa listy od żony, w których m wymawiała, że nie pisze do nięj i o niczém nie donosi, ani nawet o potyczkach, dodając, żeby nie zważał na plotki dworskie i ufal królowi. Rozdrażniony do żywego hetman, odpisuje *z namiotu d. 30 Octobra 1608 r.*

„Przysły listy wasze, oba nieforemne, a tēm nieforemniejszymi się widziały, że męj w ciężkim a okrutnym frasunku zdybały. Wydziwić się nie mogę waszemu okrutnemu a tyrańskiemu sercu, że kłopotami a dręczeniem serca mego ustawnie męj targacie.“

Co do ufności w królu, odpowiada: „Nie ufalem, nie ufam i ufać nie chcę! Proszę dla Boga żywego, niechże już więćej tak trapiących listów od Was nie miewam. Nie przypisując ja tego miłości (jakoż nie ma co), ale dziwnęj waszēj suspicyi.“

Nazajutrz jednakże ochłonawszy z piérwszego gniewu, pisze z przeprosinami do swojēj Zosieńki (*z obozu d. 31 Octobra 1608 r.*). Tłumaczy się za poprzedni list, gdyż go owe nieforemne dwa listy bardzo rozżarczyły. „Ochraniajcie męj w tych mych ciężkich kłopotach,

¹⁾ Słabą, łatwą do odrzucenia.

które na mię Pan Bóg nawalił, nie pokazując mi takiej niemiłości swój, na którą *wiera* nie zarabiam. A suspicyj zaniechać, których pełno w głowie. Dobranoc-że moja pociecho serdeczna.“

W Marcu 1609 przybywa do Rygi, ażeby ją bezpieczniejsz ufortyfikować; ale znowu się martwi, bo nie ma czém opłacić robotników użytych do blokhausu. „Jakobym po brzytwach chodził“, pisze do żony (24 Marca) i zaklina ją o wiadomość z sejmu.

Z tegoż grodu 30 Marca przesyła list do swój Zosieńki. „Radbym i co godzina pisywał do Was, moja *wdzięcznico*, ale czasu nie ma. Teraz trochę po paciorkach urwałem sobie czasu, że tą kilką słów Was nawidzam. Wino, pomarańcze, piwo Lipskie, w które kaźcie jaje świeże włożyć dla wypolerowania, suche cytryny, płótno, nici, już się to wszystko posłało. Pantofle będą robić, ale jeszcze rzemieślnicy baranka opłukiwają i więcj wina pośle się *strugami* ¹⁾, skoro ²⁾ ich wyprawię, bo chłopci zabawieni robotą około blokhausu.“

Za tym listem wysyła wkrótce drugi, w Niedzielę po nieszporach.

„Wolny od prac, więc i od swój melancholii“, pisze list krótki i przesyła na skosztowanie muszkatei i fig dwa kosze nowo przywiezionych.“

Z pięciu miesięcy z górą brak w naszym zbiorze listów hetmana, bo znajdujemy dopiero piérwszy datowany z obozu 27 *Septembra 1609 r.* — Ale troski dawne nie opuściły go, widać, na chwilę.

„Ani z waszych listów, moja najmilsza duszo, ani z królewskich, ani z żadnych pociechy za *krtynę* nie

¹⁾ Statkami wodnemi. ²⁾ Skoro, rychło, prędko.

mam; więc do tych kłopotów mych i to mi jeszcze brzemię się przyczyniło. Ja Pana Boga proszę o śmierć, a nie mam jój; żyć w takich kłopotach, mniemam, że to piekła się równa; a ponoć i tam cięższych nie masz, jakie ja sam cierpię. Żołnierz mię pojutrze odchodzi; nie zwykłem uciekać, a to mi na to przyjdzie, że z szynkarzami i kilka wyrostków to czynić muszę. Ciężka i mnie samemu służba i już mi obrzydła; ale tak sromotnie z pola schodzić, śmierci bym wolał. Patrzy na mię nieprzyjacieli i ja nań, a bić się z nim nie mogę. Czekam co godzina nacierania jego; jako Pan Bóg dobrej duszy, tak ja téj bitwy czekam, a nie doczekawszy się, schodzić jako mała z pola muszę. Próżna; moja Zosieńko, utraپیńskiego człowieka nie widziałaś nad mię nigdy, że już nie wiem, co mam ze sobą rzec.“

W dziesięć miesięcy później mamy list pisany już z *Wilna 5 Julii 1611 r.* Donosi o pożarze tego miasta, gdzie stratę poniósł w beczkach wina zakupionych. Królestwo przed pożarem musiało się wynieść na *Antokol*. Za przybyciem do Cimkowicz (1610 r.) pragnął ucieszyć się polowaniem, odetchnąć po trudach i o troskach zapomnieć; ale daremne żądanie:

„W polowaniu anim się ucieszył i gospodarstwa nicem nie obejrzał. Z Wołoch od *Koreckiego* ¹⁾ list dał mi trochę melancholii.“

W Styczniu następnego roku za przybyciem do Wilna u kupca *Kowiata Bremera* zakupuje sukna i wystawia mu skrypt na należność (17 Januarii 1611 r.), a po szczególe:

¹⁾ Samuel książę Korecki.

„Za falendyszu 49 łokci, łokieć po 66 groszy Litewskich.

Za lundyszu 54 łokci, łokieć po 8 groszy Litewskich.

Za *karary* ¹⁾ 30 postawów, postaw po złp. 18, co czyni wszystko złp. 782 i groszy 22.“

Z tegoż czasu w liście bez daty pisze: „Natrąci-liście to, moja duszo, w liście, abym się nie obruszał, że gospodarstwa pilnujecie i wtrącaliście się w to. Nie-tylko abym się miał obruszać, ale Pana Boga o to pro-szę, aby Cię wzmagał w tém przedsięwzięciu. Nie masz się na co spuszczać: czeladka nam się wyszpeciła.“

Z *Rygi 24 Februarii 1611 r.* prosi żony, aby przy-śpieszono fortyfikacje w Lachowiczach i działa żeby tam przewieziono. Donosi, że król dał mu Luboszany, a ta-kim przyczynkiem Bychów się ozdobi. „Tu w Inflantach dotąd z łaski Boga cicho, bo nieprzyjaciel w kupie jest.“

Z listu z obozu pod *Pieczorami (d. 17 Aprila 1611 r.)* dowiadujemy się o zajściach, jakie miał z Farensbachem. „Teraz co się tycze Ferensbacha (tak), bardzo ten knecht spuścił skrzydła, bo ukazałem mu zęby.“ Z radością dodaje, że potem zgrzeczniał, a w końcu prosi żony, żeby mogła zkąd pożyczyć pieniędzy.

Wyprawa na północ była dokonaną. Król Zygmunt III osobiście miał w niej udział.

Z *Rakiszek (d. 10 Junii 1611 r.)* skarży się, że koni dobrych nie ma: „Nie został mi jeno wałach je-den.“ Chodkiewicz wkróte opuścił Inflanty i objął pod swe rozkazy zebrane rycerstwo: król pragnął go sobie

¹⁾ *Karara* gatunek prostego i taniego sukna. Wyrazu tego nie ma S. B. Linde.

zjednać, hetman rzucić z serca żalobę, jaką miał przeciw niemu. Zachował się list nadzwyczaj zajmujący, w którym maluje nam wymownie sam Chodkiewicz spotkanie swoje z Zygmuntem III i pojednanie. Przywieziemy go tu w całości.

„Moja najmilsza Zosieńko, serdeczna moja pociecho!

„Tak nierychłego pisania mego do Was, moja serdeczna duszo, nie inna przyczyna, jeno trudność i zabawy moje a pośpiech, abym gdzie króla przejął, to wszystko sprawiło. Co się tedy ze mną dzieje i działa, to wszystko po dostatku wypiszę, Naprzód potkałem króla we czterech milach od Orszy rano, gdzie wsiadłszy z nim na karetę i to i ono poczęliśmy mówić. Były różne suspicyje z udania tych, którzyby mię radzi włyżce wody utopili; refutowało się na wszystko *libere*, jako się godziło, aż przyszło na to:

— Pogodziłem się, pry ¹⁾, z podczaszym ²⁾ a wojewoda Wileński miał nas zwieść?

A widziałem, że to Pan złym affektem pytał. Odpowiedziałem, że i wojewodzie Wileńskiemu i mnie krzywda się wtém dzieje. Prawda jest, że pan wojewoda życzy zgody, ale takim sposobem, aby pierwój W. Kr. Mości się uklonił, potem ze mną pogodził. Sam téż, iż nie mam nic prywatnego z nim za uczynieniem dosyć W. Kr. Mości, pojednam się, bo trzeba tego ojczyźnie, trzeba mnie, trzeba dziatkom moim, których z téj krwi mam, abychmy z sobą w zgodzie żyli, a tym rze-

¹⁾ Pry, staroświeckie skrócenie zamiast prawi, mówić.

²⁾ Podczaszym W. Ks. Litewskiego wówczas był Janusz Radziwiłł.

telniej Waszój Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej służyli.

— Zamilkł na to Pan; ale *drugi* ¹⁾ wymknąwszy się, rzekł:

— O Waszój Królewskiej Mości nie wątpim, ale o nim żadnej nie mamy nadziei: bo a to jaka złość, że gdy się o szczęśliwém zwycięztwie J. Kr. Mości z więzienia Smoleńska dowiedział, miasto radości omdlał; a tu znać, jako ojezyźnie, jako Panu życzy. I przeproszenie jego ponoby na oszukanie rychlój niż na usługowanie było.

— O tój mdłości nie wiem; to wiem, że chory: mógł jaki *accidens* przypaść, że z bólu mogła natenczas mdłość przypaść; ale żeby ze złości, nie tuszę i nie wierzę. Przeproszenie aby miało być na oszukiwanie Pańskie, nie mogę temu wierzyć; wzdam-ci ²⁾ szlachcić oglądałby się na to, co Panu przyrzekł.

Znowu mi rzeczono.

— Wiemy, pry, co za praktyki czyni, z czém do niego Herbut, z czém Gorajski posyłali kilkakroć; a sięga się to i Konstantynopola, bo tam Gorajski, uskarżając się na posła króla Angielskiego, na króla, i syna swego tam obiecał posłać.

Na tom nie mógł nic odpowiedzieć i natéśmy przyjechali do Tołoczyna, kanclerzowój majątności.

W Tołoczynie z rozmowy mój karetnój dziwne suspicyje urosły i mniemano haniebnie o tém. Jeść nie-rychło dawano: zamknięto się i radzono z Bobołą i

¹⁾ Kto był ten drugi, co w karecie z królem siedział, nie wiadomo; ale snadź zbliżony poufnik Zygmunta III.

²⁾ Wzdam-ci: widzi mi się, — takie moje zdanie, zaprawdę.

podkanclerzym, coby ze mną czynić. Uradzili, żeby mię upoić. Tamże u stołu i sam J. Kr. Mość przygrzewali mi, nawet i czeladź moję posadzono u tegoż stołu, pojono, wymacywano, a wszystko o jednaniu z podczaszym, rzkomo się z tego ciesząc i pragnąc, aby to było, a owdzie na wybadanie wszystko czyniono. Kiedy mię pić już dobrze przygrzano, pił do mnie król i rzecze mi:

— Prze zdrowie Waszmości, którego Waszmości życzymy uprzejmie!

Podziękowałem uniżenie. Zaczém zaczęła się dobra myśl: kazano w trąby, bębny uderzyć — okrzyk w izbie. Dworzanie wszyscy, rozkazał Jego Królewska Mość, aby zdrowie moje wypili. Pił sam do żołnierców i sług moich za moję zdrowie; ową przyszło nam z téj dobrej myśli, żechmy stojąc około króla pili.

Mnie się już mózg zażrzał, przyszło mi do rozbierania; jenom w saméj *delince* przyszedł do króla. Wynuzdałem się wiera aż nazbyt, acz nie nad przystojność, ale jak z Panem nazbyt. Przystąpiwszy blisko, *sna* ¹⁾ pytałem, bo ja tego nie pomnę:

— Przeczby o mnie suspikował, i jeśli nie zna doświadczonej cnoty méj? I choćbym się z podczaszym pojednał, czegom nie uczynił, ażażbym z brzegów przystojności méj występował?

Sna mi Pan rzekł:

— Nigdym o tobie nie wąpił, ale obawiam się, bo wiem, że cię odrazić ode mnie mogli, a tém rychlój mnie szkodzić, a po tobie jeździć; ale dzisiaj z tobą mówić nie będę, aż jutro i powiem ci nieco. A teraz pij do mnie!

¹⁾ *Sna*: snadź, widać, zapewne, wedle.

Ja wzięwszy szklenicę niemałą wina, *snam* mu rzekł:

— Najjaśniejszy Miłościwy Królu! Pijali poruczni-
cy z ręki Twój, Pana Miłościwego, czemubym ja też
hetmanem będąc, nie miał pić?

A król Jegomość zarazem z ręką. Potem pocało-
wałem rękę.

— Nie chciałem tego uczynić, okazując, żeś ty
Pan mój, a ja sługa; z przystojności mój nie przeciwko
Tobie, Panu swemu, nie wykraczam i jeśli tamten (?)
głupkiem był, niech ja w jego tropy nie idę.

Król *sna* miał rzec:

— Insza tobie, insza tamtemu; wielem ja tobie
powinien ¹⁾.

I tak wsadziwszy mi szklenicę wina na rękę swą,
trzymał, ażem ją wypił. Stłukłem szklenicę o głowę, aż
król rzecze:

— Miły panie hetmanie, nie tłuczcie téj głowy,
siła nam na nią zależy.

Snam odpowiedział:

— I głowa i ręce zdrowe i serce stałe, jeno go
królewską niełaską swą nie wążl.

Sna mi na to dał rękę, że wierzyć niczemu o
mnie nie ma, a ode mnie tak też przyjął, jakoby ja też
niczemu nigdy nie wierzył, gdy mi kto o nim będzie
powiedział. Potemum począł zalecać ksiąźęcia Zbaraskie-
go i *sna* mówiłem:

— Miłuj nas Panie, starą szlachtę, a strzeż się
(. . . .) ²⁾. bo się ci i zgryzą i odwioda; masz Panie

¹⁾ Winien jestem.

²⁾ Brak wyrazu w oryginalnym tekście.

próbą rokosz. Odbiegał cię niejeden, a i ten, któremu dobrodziejstwo z gęby tkwiało. My stara szlachta stanęliśmy i gotowichmy byli pomrzeć, a jaka natenczas w nas życzliwość przeciwko Tobie była, takięj i teraz po nas bądź pewien, gdzie wdzięczność po Tobie, Panu swym, znać będziem. Mówilem *sna* i więćej i obłapiłem ¹⁾ go w pas już nie nizko, zalawszy się łzami *sna* serdecznie. Król westchnął i łzy mu kręciły się w oczach, a obłapił mię. Ja tego wszystkiego nic nie pomnę, bom był pijany haniebnie, ale mi to wszystko tłumaczyli słudzy i drudzy dworzanie.

Biegałem na koniu pod oknem u króla, chciał Pan ze mną pić; jeno że mię haniebnie pijanego widział, tedy mi dał pokój. Wymacał tedy we mnie, żem niefutrowany sługa jego, i dziwnie był kontent, że mię takiego widział.

Kancelerza poczęło to obruszać, i *sna* chciał się (tak) kupić i wyrządzić mi *despekt*; czego król doszedłszy, kazał mię trzydziestą hajduków pilnować, i żołnierstwo nie odstępowało, bo mi Dąbrowa i innych niemało zajęchało. Ale maluczkoć *Dzitrzyk* nie plusnął w łeb kancelerza szablą, już się z nim począł zamawiać. Dworzanie wszyscy byli za mną; by był najmniej kancelerz wszczął, byłoby haniebnie źle. Ale żem ja o żadnej zwadzie nie myślił, byłem bardzo pijany i wesoły, przestrzegło samo *sna* towarzystwo dworskie pana kancelerza, aby się skromnie zachował, bo się doma nie wysiedzi. Wszyscy powiedają, że Pan (król) dziwnie był dobrej myśli i dobrze sobie podpił.

Teraz jadę z nim jeszcze dalej dla odprawy; a o

¹⁾ Uścisnąłem.

tém Ci oznajmiwszy, moja najmilsza duszo, dalej co ze mną padnie, i jako się rozjadę, niemieszkalec ¹⁾ dam znać. Pan marszałek dziwnie mi się chętnym stawił, i wiera przyjacielem mi jest. Szczerze to oświadczył i sna mu król rzekł:

Radem ja temu, pry, że go tak miłujecie, bo macie kogo miłować, i nam miło na waszą zgodę patrzeć.

Zdrowie z łaski Pańskiej mam dobre, bodaj tak i do końca. Konia nie mam sam: król Jegomość kazał mi sobie obierać, ale nie masz na co wsiąść, tam zgoła niszczałe stajnie u ludzi. Jeślibyś mogła wałacha siwego u pana wojewody Trockiego dostać, moja serdeczna duszo, bardzobyś mi wygodziła. By łańcuchy zastawić, a pošlij trzysta czerwonych złotych, aby jeno mieć konia, boć mi tu przyjdzie pono kędy przy granicy zostać. Moja serdeczna duszo, postaraj się mi oń, a jać już moja duszo, dam znać, skoro się z królem rozprawię, dokąd mi go zasyłać będziesz miała. Zatem się uprzejmiej miłości waszjej, serdeczna duszo, oddawam, niegodny Pana Boga prosząc, aby Cię moja *smaczna* ²⁾ Zosićko, spólnie i z dziatkami dobrze zdrową oglądał. Dan z *Naczy* ośm mil od Borysowa d. 15 Julii A. D. 1611.“

W kilkanaście dni później pisze ze Szkłowa (d. 28 Julii 1611 r.).

„Dzisiaj mi od rycerstwa z pod Smoleńska przybiegł kozak. Wszyscy pod mój regiment ³⁾ idą. Mnie-

¹⁾ Niemieszkale: natychmiast.

²⁾ Wyrażenie staropolskie, zamiast miła, wdzięczna, pełna powabu.

³⁾ Pod władzę.

mam, że samego kopijnika oprócz rajtarów będę miał ze 3000, a rajtarów 600, piatyhorców 1000; Lisowski też ze 2000 ludzi następuje ku mnie; niemieckiej piechoty będzie z 1000 przednie dobrój, oprócz kozactwa, których ja ku sobie nie zaciągam, bo poglądam na wszystko, co mam czynić, gdyż mi tak okazano i rozkazano, abym miawszy wszystko w rękę, to czynił, coby najlepszą sławą moją było, granic, jeśliby sił sto ¹⁾ nie było, ludźmi temi bronił, a na Smoleńsk oko miał.“

„Co to jest, że tak często krew puszczacie. Dla Boga źleć to; ażazby ta *kolika* (kolka) nie mogła się lekarstwy rozrywać, a nie krwią, bo upuszczaniem jęj wiele się też ujmuje. Jeśli to z frasunków idzie, jakoż pono tak, a cóż po wszytkiém, kiedy zdrowia nie stanie? Dla Boga! najmilsza duszo, nie trap-że mię tēm złém zdrowiem; wierać mi wszytkie koncepty pomieszasz i nic w tych myślach już począć nie będę mógł, myśląc o twém złém zdrowiu. Dobranoc-że moja duszo smaczna i po tysiąc kroć dobranoc, moja smaczna Zosieńko!“

Z Dubrowna d. 19 Augusta 1611 r. z listem poyła Moskiewkę.

„Mniemam, że w niéj się kochać będziecie, bo jest rozprawniczka, ile o szturmach i o zabawach Smoleńskich widzę, że umie rozpowiadać.“ Zarazem dołącza ze zdobytych łupów kieliszek kryształowy i parę obrazów w srebro oprawnych.

Kiedy rozejm krótki zawarto, z obozu (*15 Octobra 1611 r.*) prosi małżonki, aby posłów Moskiewskich przy-

¹⁾ Wyrażenie sto używa Chodkiewicz i współcześni mu w znaczeniu siły dostatecznej lub w miejsce „dosyć czasu.“

jęła i odesłała swemi końmi do Bielska „w karecie albo w koczym.“

Z Rochaczewa 7 Nowembra 1611 r. donosi, że od stolicy Moskwy odstąpił mil 18 dla wyżywienia wojska. O małmazyję i gorzałkę pilnie proszę, bo o to sam (tak) trudno haniebnie.“

Zatoczywszy obóz, pisze *23 Nowembra 1611 r.*, dziękując za przyslaną żywność i wino, ale troszcząc się o interesa domowe, narzeka na brak pieniędzy. Za przybyciem do Smoleńska (*ostatniego Nowembra t. r.*) opisuje trakty z komissarzami carskimi. Prosi o 10 beczek słodu, mięsa, słoniny, a „miodu proszę jakich beczek kilka dla mnie i przedniejszych ludzi, a kilka mocniejszego dla herbowych braci. Mięsa żywcem co przysłać, gęsi, kury, kapłony, zwierzynę i ptastwa na moich koniach przysłać.“ W Grudniu przybył do Lachowicz, gdzie zastał córeczkę swoją Annę.

„Jeno com przyjechał do domu, zastałem nowiny bardzo niepocieszne z Ukrainy. Lisowski nieborak umarł, wojsko się nazad cofnęło i jeno we dwa mil od granic stanęło, do których zarazem wyprawuję, a drugiego do króla, dając znać o tém. Dziwnie mi śmierć tego człowieka pomieszała rzeczy, dziwniem zafrasowany, bo co teraz mam czynić, i sam nie wiem. Hultajstwa znowu niemało włóczy się po Ukrainie: plondrują, łupią i dziwy broją. Owa zewsząd bieda i kłopot, a wszystko na moję głowę. Anula z łaski Bożej zdrowa, tęskni bez Was moja duszo, ale i ja niemniej, bo się nie mam przed kim w kłopotach mych uskarżyć.“— Z obozu bez daty, ale w tymże 1611 r., przeprasza, że pisać nie ma czasu.

„Noc nadchodzi, zbroja na grzbiet idzie, bo nieprzyjaciel jeno w milę, a bić się niecnota nie chce.

Prochy, dla Boga, niech Hans Frydrych wyprawuje, gwałt wtém wielki jest.“

Zaledwie przybył do Rygi, pisze w Grudniu t. r. we Wtorek w nocy, że tak zasłabł, iż zwątpił o sobie: bóle straszne przez pięć godzin trzymały. „Goździkowa wódka na wielkiej pomocy mi była, więc i owa ziemia grzana, i tak z łaski Pana zdrowem dobrze.“

To jest ostatni list pisany do żony: przywiedziem teraz listy hetmańskie do syna, wraz z pisanemi przez matkę. Z nich najlepiej przekonamy się o przywiązaniu obojga do swego jedynaczka.

„Mój najmiłszy Hieronimku ¹⁾).

Dziękuję ci za to, żeś mi się ozwał z pisaniem, a jakoś mię tém ucieszył, że jakkolwiek postępek nauk twych widzę, tak abyś w téjże nie ustawał pilności, pilno cię napominam. Głupim albowiem szlachcicem być sromotna rzecz jest, zakonnikiem najśromotniejsza ²⁾).

Alić ja wtém nie wątpię, że i napominaniu memu i powinności swój dosyć uczynić będziesz chciał. Panu Bogu cię tedy i z Hanusią w opiekę Jego świętą poruczam; On sam niech tam stróżem i opiekunem waszym będzie i doprowadzi was w dobrém zdrowiu do domu. Proszę cię, abyś na miejscach świętych, a mianowicie u Śgo Kazimierza ³⁾ za mnie paciorek i za Panią matkę zmó-

¹⁾ Adres: „Synowi memu miłemu Hieronimowi Chodkiewiczowi.“

²⁾ Prawdziwie pobożny Chodkiewicz, jako mąż rzemiosła rycerskiego, żywot zakonny za mało użyteczny dla kraju poczytywał. Może tém wyrażeniem chciał wszelką myśl o stanie duchownym w jedynaczku swoim zatrzeć.

³⁾ Mówi tu hetman o kościele Świętego Kazimierza w Wilnie; który obecnie już nie istnieje.

wił, i tam nabożeństwo swe przyjęciem Najświętszego Sakramentu odprawił. Księżciu JMci panu wojewodzie Wileńskiemu ¹⁾ usługuj, jako mnie samemu. Niechże tam Pan Bóg we wszystkich twych sprawach błogosławi, któremu cię i powtóre w opiekę oddaję. Hanusię ode mnie uściśnij. Dan z Rygi 10 Augusta An. D. 1606. Uprzejmie cię miłujący ojciec.“

„Hieronimie, synu mój miły!

Ucieszyło mię twoje pisanie, (jeśli jeno księdza Jarmułowskiego nie uprosiłeś, aby cię w niem wspomagał) żem z niego profekt twój w nauce obaczył. Proszę Pana Boga, aby cię w tém wzmacniał, abyś w tém tak postępował, jaka jest żądza i oczekiwanie moje po tobie. Czyżne tak do końca, chceszli miłość moję ku sobie znać, którą im więcej w tém pracować będziesz, tedy téż większą po mnie uznawać będziesz. Jeśli zaś nie uczynisz takiego w nauce postępu, miłości méj téż znać nie będziesz. Rozkazując téż koniecznie, abyś z swój głowy mnie pisywał, boć ja będę cię egzaminował, przyjechawszy: wierz mi, żeć te figle nie pójdą. Poruczam cię tedy Panu Bogu i Pannie Najświętszej patronce twój, aby cię za przyczyną Onój w dobrém zdrowiu długo chował, ku pociesze méj. Dan z Grodna 15 Marca 1608 r.“ ²⁾

W miesiąc później pisze:

„Hieronimie! Często i ty jako i ja nie masz posłańców i nie jesteś téż tak zabawny ³⁾, abyś do mnie

¹⁾ Wojewoda Wileński: Mikołaj Radziwiłł.

²⁾ Adres: „Filio meo Hieronymo Chrisostomo Chodkiewicz reddetur.“

³⁾ Zatrudniony.

nie miał napisać *sto* czasu. Tak też rozumiem, że stałoby to za naukę, gdybyś list po łacinie do mnie z swęj głowy napisał. Ale to znać, że cię ksiądz Jarmułtowski wspomagał; bo jakoć natenczas łącno to wykonywać było, tak teraz przycięszszém, że pomocy nie masz, którójem ja zakazał. Baczę tedy ztąd, że się abo nie abo mało uczysz, coby mię frasowało, i musiałbym się na cię gniewać, tak jednak jeśli to po tobie uznam, że się uczyć nie będziesz chciał. Posyłam ci czapkę, abyć nie było zimno do szkoły chodzić, żebyś się nie wymawiał.

Z tém cię Panu Bogu poruczam ze wszystkimi sprawami twemi. Dan z Grodna 13 Aprilis 1608 r.“

Uradowany z pilności syna do nauk, pisze z Grodna 15 Maja t. r.

„Abyś to poznał po mnie, że mi miło, kiedy się uczysz, posyłam ci konia białego, a wiesz pewnie, że niedarmo szerści takiój ¹⁾. Zdrów na nim jedź, a będziesz-li się lepiej uczył, postaram się o co grzeczniejsze.“ Do tego daru dołączył i kozuch.

We trzy lata blisko później z Wilna d. 27 Januarii 1611 r. znajdujemy list następny.

„Hieronimie! Pewienem, że napomnienie moje przy błogosławieństwie, którem ci dał, w pamięci mieć będziesz, którego abyś nie zapominał, przypominam ci. To jest, abyś się Pana Boga bał, nabożeństwa nie zaniechiwał, Pani matce swęj służył i pilnował, w których lubobyś pofolgowanie rekreacyjami miał, nie zaniedbywał ich przecie, a raczój ten czas, który złoty

¹⁾ Za najdzielniejsze uważali dawni Polacy konie maści białej. Zkąd było u nich przysłowie: „Kto nie jechał na białym, nie jechał na dobrym koniu.

jest, obracał na taki pożytek, któryby i na chwałę Bożą i dobro ojczyzny napotém obrócony być mógł. Nie będzie to bez pociechy nas, rodziców twych, gdy oszukani w nadziei naszej nie będziemy. A jeśli nam Pan Bóg obojgu żywota przedłuży, pomnij, że masz być podporą starości naszej i dźwigać nas we wszytkiém, a mianowicie domostwo twe. Czego wszytkiego jeśli się terazniejszą negligencyją po staremu przykrywać będziesz, nie jeno nas ucieszysz, ale raczěj w grób wprawisz. Pewniem, że będziesz pomniał na to, żeś szlachcic; postępków też takich będziesz, jakie twój stan po tobie wyciskać będzie, czego bez nauki nigdy dostąpić nie będziesz mógł. Ucz-że się tedy, miły Hieronimie, a ja Pana Boga prosić będę, aby cię wzmagał wszytkiém i dobrém zdrowiem, któregoć uprzejmie więcj niż sobie życzę.“

W dwóch listach następnych z Rygi 1 Marca 1611 roku i z Nowogródka 23 Marca t. r., podobne nauki powtarza. W ostatnim swym liście, jaki mamy w naszym zbiorze, z obozu 15 Octobra 1611 r. czytamy:

„Nie trać-że tedy miły Hieronimie czasu, ucz się, bo głupim być szlachcicowi nic sprońiejszego. Nabozęństwa nie opuszczaj, Pana Boga za mię prosząc, abym w tych pracach i trudach nie ustawał, które acz mi są ciężkie, ale dla ciebie i sławy twój lekkie. Oddawajże mi to pobożnością, pilnością w naukach, a usługiowaniem Pani matce swój, a te wszytkie rzeczy i frasunków moich ulżą, kłopotów i trudów ujmą i starości podpore jeno uczynią, ale odmłodzą.“

Równocześnie i matka, zacna matrona, nie zaniedbywała synowi jedynemu przedstawiać potrzeby nauki

i pobożności. Czytamy pierwszy jój list téj treści (d. 7 Septembra 1606 r.):

„Ucz się pilnie, żebyś *pensy* ¹⁾ nie zapomniał. Posyłam ci pierścionek *pamiętny* z kamykiem takim, o jakim powiadają, że jest szczęśliwy, kto go ma od kogo życzliwego, tym więcéj od matki. Pan Bóg, który szczęściem władnie, niechaj ci da go w dobrém zdrowiu nosić, którego nigdy nie zdejmij z palca. Matka miłująca cię

Zofija z Mielca Chodkiewiczowa
ręką własną.“

We dwa lata późniéj czytamy jój drugi list, pisany do syna z Cimkowicz d. 16 Januarii 1608 r.

„Mój najmiłszy Hieronimie!

Jako cię tam Pan Bóg chowa, niech wiem, na zdrowiu, i nauka jakoć smakuje, przy takiém towarzysztwie, które, wierzę, że cię probują jako nowicyjusa. Jeśli się tego wstydzisz, prosząc Pana Boga, staraj się, abyś z niemi rychło był porównany, o co i ja grzeszna pomogęć prosić Majestatu Boskiego z lepszymi niżem sama. Napominanie Pana ojcowe we wszytkiém miej na pilnéj pamięci, ni w czém go nie przestępując, co i ja przypominam, abyś się Pana Boga bał, pilnie Mu służąc i Najświętszój Pannie, patronce swojej, nie opuszczając nigdy zwyczajnych modlitewek swoich, oddając siebie i nas rodziców swych opatrzności Bożój, pomnąc téż i na siostrę, którąm z łaski Bożój zdrową zastała. Paciorek i modlitew kilka umieć, śpiewa téż po łacinie

¹⁾ *Pensa*, naznaczona część w książkach do uczenia się na pamięć, czyli, jak dziś powszechnie mówimy, „*lekcyjka*.“

niemało. W klasztorze tak się zakochała i pannie ksieni, że żadną miarą ze mną zjechać nie chciała do Cimkowicz, mówiąc: „Jedź Waszmość pani Starościno do Cimkowicz, a ja tu zostanę z swoją matusieńką panną ksienią jako panienka zakonna.“ Pytała i o cię: „A to Nimek (Hieronimek) kędy?“ Obrazki swoje posyłam, co były w skrzyni dziadka, każę posłać z inszemi rzeczami niedługo. Panu Bogu cię zatém oddaję; On sam niech cię błogostawi w darzech swych, pomnażając i w dobrém zdrowiu, w którym bodajem cię rychło oglądała. W tém ciebież napominam, abyś starsze swoje miał w uczciwości i był ich posłuszen, osobliwie księdza kanonika, jako osobę Pana ojca twego na sobie noszącego. Matka twoja miłująca cię.“

Z Grudniem 1611 roku kończy się zbiór listów J. K. Chodkiewicza pisanych do żony i syna. Ciągłe na koniu i w obozie, oddany usługom ojczyzny, walczył i ponosił trudy dla jój dobra.

We dwa lata niespełna, d. 2 Lipca 1613 roku, umarł mu ukochany syn Hieronim, mając rok szesnasty wieku.

Nie był przy jego zgonie, nie zamknął oczu swemu jedynakowi, na którym pokładał tyle nadziei.

Wielką była boleść nieszczęśliwego ojca, przykuto tego obowiązkiem hetmańskim do chorągwi. Matka mało życiem nie przypląciła téj straty, w gorączej modlitwie jedyną znajdując ulgę.

Mianowany wojewodą Wileńskim r. 1616; wbrew przyjętemu zwyczajowi nie odprawił wspaniałego, na który oczekiwano, wjazdu do Wilna. Sejm w Kwietniu t. r. uchwalił wojnę. Najwyższą władzę otrzymał kró-

lewicz Władysław, ale dowództwo wyprawy i kierunek nią Chodkiewicz.

Słaby i zgnębiony troskami hetman, z zamku swego Lachowicz na początku zimy pisze, ożywiony nadzieją blizkich bojów, do przyjaznego sobie Benedykta Wojny, biskupa Wileńskiego:

„Odbyszy tę wyprawę, ostatek spracowanego żywota radbym gdzie w kąciku przytaił. Pracowało się i harowało dosyć g'woli sławie i ojczyźnie, czas ostatek zachować sobie i miłym przyjaciołom i podpieć czasem, a jako starosta Żmudzki, z podkanclerzym W. Księstwa Litewskiego jadał i pijał ¹⁾, tak i wojewoda Wileński z biskupem do końca chce zażywać krotochwili“ ²⁾.

W ciągu téj wyprawy w Listopadzie 1618 roku umarła mu ukochana żona, najmilejsza dlań Zosiénka. Straszny to był cios, niewysłowiona boleść dla sędziwego już hetmana!

Został się sam, jak „sierota“, bez nadziei zostawienia dziedzica swego imienia. Stracił małżonkę, którą piérwszą, najgorętszą miłością serca ukochał, której zwierzał najtajniejsze myśli swoje. Cios ten podkopał zdrowie zwątłone trudami obozowemi, głęboki smutek wrył się na obliczu hetmańskim. Następnego roku wyprawił jój wspaniały pogrzeb dnia 4 Lipca 1619 r. i pochował ją w Kretyndze w kościele Bernardynów, który w r. 1610 wymurował ³⁾.

¹⁾ Mówi tu Chodkiewicz o sobie jako o staroście Żmudzkiem i Gabryjelu Wojnie, podkanclerzym Litewskim, a bracie biskupa.

²⁾ List z dnia 5 Listopada 1616 r.

³⁾ Kretynga w dawném księstwie Żmudzkiem, nad rzeką Ok-

Osamotniony przy domowém ognisku, kiedy nieco utulił się w swęj boleści i żałobie, we dwa lata po zgonie Zofii Mieleckiej, skłoniony uamowami przyjaciół, którzy zbadali jego ukryte chęci zostawienia ze swęj krwi dziedzica po mieczu, postanowił zawrzeć powtórne związki małżeńskie. Znakomitego rodu, urodna i młoda, bo w 20 roku życia dziewica, Anna Alojza księżniczka Ostrogska, chętnie przyjęła swaty wielkiego hetmana i oddała mu swą rękę.

Chodkiewicz zamysławjąc o tych związkach, napisał testament d. 20 Czerwca 1620 i w Jarosławiu 24 Listopada t. r. ponowił gody weselne. Nie były one radosne, bo już burza od Wschodu groziła straszną wojną, a sułtan Osman zaprzysięgał zgubę Rzeczypospolitėj i zbierał potężne wojsko.

Chodkiewicz objął najwyższą władzę nad chorągwiami Koronnemi i Litewskimi. W Sierpniu 1621 r. przeszedł Dniestr i zatoczył obóz pod Chocimem. Pod jego buławą nasze rycerstwo skruszyło potęgę pohańców, a Lubomirski dokończył pamiętnego zwycięstwa. Stary hetman na zamku Chocimskim d. 24 Września zakończył życie bezdzietny, a pamięć jego, zarówno jak i całej wyprawy uczcił prawdziwie bohaterskim poematem Wacław Potocki.

mianą o dwie mile od Połongi, na samej granicy Pruskiej. Zwano ją także Karolstadt od imienia Chodkiewicza.

BARTNICTWO
W DAWNEJ POLSCE.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly a header or introductory paragraph.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
Faint, illegible text in the middle section of the page, possibly a title or a list of items.

Faint, illegible text at the bottom of the page, possibly a footer or a concluding paragraph.

Lesista starożytna Polska obfitowała w nieprzeliczone roje pszczół dzikich. Puszcze i bory, przepełnione grubym zwierzem i ptastwem, tysiące liczyły *barci*, dających hojnie wosk i miód.

Zanim krzyż Chrystusa, roztoczył święte ramiona nad naszą ziemią, w pogańskich jeszcze wiekach, umiano już korzystać z tego bogactwa opatrności.

W dziejach pierwotnych, które historycy nasi do bajecznego okresu odnoszą, widzimy Piasta (owego nadziada panującego rodu w Polsce do początków XIV wieku), że przy gospodarstwie rolném był zarazem i bartnikiem. Z poblizkiego boru zwoził sobie na łodzi przez jezioro Gopło podebrany miód do swój zagrody, którym później częstował zebrany tłumnie naród w celu wybrania panującego, nie przewidując, że na tron wyniesionym zostanie.

Jak daleko sięgają pierwsze kroniki narodowe, już o miodzie syconym jako napoju i o barciach mamy piśmienne dowody. *Gallus* na początku XI wieku piszący, śławi Polską krainę jako bogatą w pasieki leśne, które

stanowiły po wielu okolicach jedną z najważniejszych części ówczesnego gospodarstwa.

Dyplomata od roku 1105 pszczoły leśne i ich miód wspominają. W nadaniach klasztorom panujący na ich korzyść dają wolność polowania i użytkowania z pszczelnictwa. Wiedząc zaś, ile ceny w dawnych wiekach przywiązywano do swobody łowów, widzimy, że na równi stawiano i wartość korzystania z barci pszczół borowych.

W okolicach obfitujących w barcie były znane daniny miodowe, które włościanie dziedzicom składać musieli ¹⁾. Były to daniny *patoki* pewnych naczyń, *dzieżek*,

¹⁾ Wszelkie prawa i opłaty określano w starożytnej Polsce wyrazem *bartne*; oznaczał on: prawo służące dla bartników, oraz daninę albo opłatę pieniężną od barci. W różnych okolicach rozmaicie nazywano dań miodową i podług różnych miar odbierano. Wymienimy je po szczególe: *pułlak*, miara czterogarncowa; *mus*, *musa*, *kunik*, *pokowa*, miary jednogarncowe; *rączka*, miara $10\frac{1}{4}$ garncowa, w dawnych dokumentach najczęściej wspominana jako miara daniny bartniczój; *połuja*, to jest połowa zebranego miodu z podbioru dla dziedzica, do dni naszych miała miejsce na Polesiu; *zliczki*, opłata pieniężna od rojów nowych, nie dochodzących do dziesięciu w jednym roku, pobierana dawniej na Podolu i Ukrainie: albowiem dziesiąty rój pszczół do dziedzica należał; *garśc* albo *garściowe*, dar dobrowolny od bartnika, składający się z plastru miodu, udzielany oficjalscie *do ukroju* (to jest do kontroli przy podbieraniu barci w lasach) wysłanemu; *kunne*, *kunowe*, dań za dozwoleń bartnikowi używania strzelby do bicia kun, szkodę w barciach czyniących: dlatego włożono na nich obowiązek od każdego *pułlaka* miodu skórkę jedną z kuny oddawać, co potem dla niedostatku na opłatę pieniężną zamieniono; *wkupne*, opłata pieniężna, którą raz tylko dziedzicowi lasu bartnik składał, a to za pozwolenie

w różnych okolicach *rączkami* zwanych. Przy braku obiegowej monety kary sądowe oznaczone były w tych wiekach na miarę miodu, jak nam objaśnił J. Lelewel ¹⁾.

Na całym obszarze dawniej Rzeczypospolitej widzimy bogactwo bartni po lasach i puszczech, czy w Wielko- i Małopolsce, czy na Mazowszu, na Żmudzi, Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i Rusi Czerwonej. Najwięcej odznacza się Mazowsze i Litwa, a w niej słynne Kowieńskie miody. W obu tych ziemiach bartnictwo leśne najdłużej przetrwało, bo do dni naszych.

Hodowanie pszczół i użytkowanie z miodu i wosku, pracą ich zbieranych, jest podwójne i w języku też naszym wydatne. *Bartnikiem* bowiem nazywamy tego, co się zajmuje pielęgnowaniem pszczół, *borówek* albo *zielonych*, dzikich, leśnych, żyjących jedynie w barciach wśród borów; *pasiecznikiem* hodujących pszczoły w ulach, w miejscu zagrodzonym przy domostwie, czy w ogrodzie czy też w wybranym miejscu i zabezpieczonym od przystępu dzikich zwierząt pod lasem. Miejsce takie zowiąmy *pasieką*, a pszczoły już nie noszą nazwy *dzikich*, ani *zielonych*, tylko *domowych* albo *swojaków*. Jak myśliwcy, flisy i oryle mają swój właściwy język, odrębny od zwyczajnego, tak i bartnicy wyrobili sobie podobną mowę, pełną wyrazów i wyrażeń, nieznanych ogółowi, którą przejęli pasiecznicy.

Trzy te, że się tak wyrażę, ważne zawody, w których lud nasz wziął przeważny udział, sięgają przedhi-

wyrobienia barci jako wynagrodzenie za użycie drzewa na barć.

¹⁾ Polska, dzieje i rzeczy jej. T. IV.

storycznych wieków, a język łowiecki, flisowski i bartny przetrwał dotąd w pierwotnej czystości ¹⁾.

W Mazowszu najwięcej na całą Polskę rozwinęło się bartnictwo. Dopomagała tu potężnie miejscowość: ogromne puszcze i bory, w nich nieprzeliczone lipowe drzewa, których pamięć pieśni ludowe zachowały; obfitość ziół i kwiatów leśnych, ulubionych przez dzikie pszczoły i nadatnych do utworu słodczy miodu i wosku; obfite źródła, strugi i rzeczulki, przewijające się pod cieniem wiekowych drzew; osłona, jaką te puszcze i lasy dawały rojom borówek wylatującym z barci na żyrowiska, przed burzą, ulewą i wichrami wiosną, latem i jesienią, a w zimie przed zamiecią śnieżną i iskrzącym mrozem.

Mnożyły się więc setkami roje borówek i chętnie osiadały przygotowane barcie w starodrzewie.

Leśne pszczoły marniały przeniesione na pola i rzadko który rój wytrwał i mnożył się, straciwszy po wylocie z ula ową ciszę puszczy zbitych i bezpieczeństwo przy zmianach pogody tak pewne pod zielonemi z liści namiotami. Trzeba było niemało trudu i zachodu, ażeby je przyswoić. Dlatego urządzano pasieki albo w pobliżu borów albo w ogrodach pod szpalerami lip, siejąc w około ulów ulubione zioła i kwiaty pszczołom, bacząc przytém, aby nie brakło czystej i bieżącej wody.

¹⁾ Dotknął go w części S. B. Linde „w słowniku języka Polskiego.“ Wiktor Kozłowski w ważnym dziele: „Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i orylski“ (Warszawa 1846 r.) rozwinął i pokazał całe bogactwo. Encyklopedia Powszechna, korzystając z téj szacownej pracy Kozłowskiego, ubogaciła więc otrzymanemi materiałami z różnych okolic kraju.

W Mazowszu téż pokazały się pierwsze ustawy bartnicze, uchwalone w Warszawie w roku 1401, — pierwotnie spisane po łacinie, a przez Macieja z Rożana, kanonika Warszawskiego, w roku 1450 przełożone na Polski język.

Z pomienionych ustaw widzimy, że w Mazowszu byli bartnicy, ludzie powołania, biegli w swęj sztuce, stanowiący oddzielną w ludności wiejskiej klasę. Biegłość ich w bartnictwie była tyle doświadczoną, że podejmować się mogli nietylko koło pszczół chodzenia, ale i rozmnażania rojów silnych. A ta ich biegłość i znajomość nie nową była, nie nowe stanowiła odkrycie, ale ze starodawnego zwyczajuj i starodawnęj wiadomości poczerpnięte, jak się samo prawo bartne wyraża. Widzimy nadto, że gdzie wielkie bory były pełne barci i liczbą swą ściągaly bartników, mianowano *starostów miodowych*, czyli bartnych: „*capitanei mellis seu mellicidarum*“, którzy przewodniczyli sądom bartnym; że był oddzielny *sąd bartny*: „*judicium mellicidarum*“, czego istotna była potrzeba, albowiem zwyczajne sądy, przeciążoneby zostały bartnemi sprawami i długo musiałyby się uczyć tak zwyczajów, przepisów, praw dawnych przechowanych tradycyją obok piśmiennych, jak i znajomością bartnictwa. To pokazuje, że klasa bartnicza zostawała pod osobnemi prawami i sobie tylko właściwemi; że te ustawy trzymały ich w surowej ryzie, zabezpieczając gospodarstwo pszczolne od ich złości i niesforności.

Zbiegłemu bartnikowi, który się swemu panu nie uiscił, nikt dać nie mógł przytułku; w przeciwnym bowiem razie ściagał na siebie karę uciążliwą opłaty sądowej, do 700 złotych polsk. dzisiejszych wynoszącęj. Prawa te w r. 1401 nie były nowe, ale ze starodawnego

w całym Mazowszu i Polsce zwyczaj. Sięgały one pierwszych wieków chrześcijaństwa u nas, a początkiem swym ginęły w odległych czasach pogańskich przed-Popielowych i przed-Piastowskich.

W pośrodku ziem Mazowsza, w okolicy oblanej i przerznętej dwoma większemi rzekami Bugiem i Narwią, w obszernych puszczech, z nieplenną glebą dla zboża osiadło plemię Mazurskie *Kurpiami* od obuwia, chodaków lipowych (po Mazowiecku kurpie) przewane.

W pośród ich osad bartnictwo głównie kwitnęło. Żyli Kurpie jedynie z myślistwa po obszernych kniejach i z hodowli pszczół — borówek, bo całe gospodarstwo ograniczało się na małych kawałkach pól, na których zaledwie siać można było groch, żyto, owies i tatarkę; o pszenicy żaden nie myślał i zobaczył ją z podziwem, gdzie wyjechawszy w dalekie okolice za puszcze. W ogrodach przy chatach siali len i konopie: chowali drobne krowy i proste owce. Kobiety z lnu i konopi wyrabiały płótno do ubioru i bieliznę do stołu, z wełny tkwały sukno na sukmany i gunie.

Jeżeli myślistwo dobrze żywiło, a przysparzało nie-mało grosiwa, to hodowla borówek stały a pewny, nieraz chojniejszy dawała zarobek.

W ogromnych puszczech i lasach rok rocznie od najdawniejszych czasów mnożyły się barcie nowe, i stare pielęgnowano troskliwie. Ztąd wyrobił się *stan* czyli raczej rodzaj cechu, *braetwa bartnego*, które miało swoje oddzielne prawo, którem się rządziło, nietylko co do sporów wyniknąć mogących tak poplątanego gospodarstwa, jakim w puszczy i w lasach było bartnictwo, ale ustawy te wyraźnie przepisywały i objaśniały prawo spadkowe, rozciągając swą opiekę nad wdowami i sie-

rotami po zmarłych bartnikach. Nad wykonaniem ściśłem tego prawa czuwał *starosta bartny*, który według odwiecznego zwyczaju był szlachcic, osiadły ziemianin.

Każdy Kurp', mający zamiar być bartnikiem, lub też po ojcu albo krewniakowi wchodząc w to bractwo, musiał składać przedewszystkiē przysięgę uroczystą w sądzie bartnym, która od wieków brzmiała w tych słowach:

„Ja N. przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu, iż chcę być posłuszny panu staroście bartnemu, sądowi jego i jurysdykcji bartnej, natenczas i napotē m bę dą cę j, we dnie i w nocy. Tajemnic pospolitych, a najwię cę j które są prawu naszemu bartnemu pożyteczne, nikomu nie zjawiać, a ktoby się sprzeciwił panu staroście bartnemu i pospółstwu naszemu, nie chcę pomagać, ale go poniżyć i tego nie taić i to wszystko czynić i pełnić, co należy ku pożytkowi i rozmnożeniu bartnemu. A jeśli by kto co niesprawiedliwego o bartnikach mówił, temu według możności mojej chcę się sprzeciwić i bronić i oświadczywszy, obiecuję im to powiedzieć. Tak mi Panie Boże pomagaj, który też mnie w dzień sądny i wszystek świat sądzić będziesz.“

Po złożeniu powyższej przysięgi już Kurp' przybierał godność *bartnika*, która u ludu była w niemałym poważaniu.

Prawa bartne, tę część Mazowsza obowiązujące, zebrał razem i ogłosił w roku 1559 drukiem Krzysztof Niszczycki, starosta Przasnyski i Ciechanowski. Pochodził on ze starożytniej rodziny ziemian Mazowieckich herbu Prawdzic. Z tych Paweł, wojewoda i starosta Płocki, tak był zapalonym myśliwcem, że za parę ogarów dwie

wsie książętom Mazowieckim, *Kopystki* i *Matwice* w roku 1380 oddał. Od tego łowca, którego róg myśliwski grzmiał po wszystkich puszcзовych kniejach, otaczających Przasnysz, Płock, Pułtusk, Ostrołękę i Myszeniec, dom Niszczyckich rozrodzony sływał na całe Mazowsze. Z prawnuką tego myśliwca ożenił się Jan książę Mazowiecki, a ślubny pierścień na pamiątkę tak zaszczytnego dla Niszczyckich związku zachowywano w tej rodzinie długo ¹⁾.

Nasz Krzysztof znany na elekcyi Zygmunta III, wyniesiony do godności kasztelana Raciążkiego, a następnie wojewody Bełzkiego, na *Uchnowie* się pisał. Mąż w zawodzie rycerskim znakomity, czego w wielu bitwach dał świetne dowody, będąc dzierżawcą starostwa w wielkich puszczech Kurpiowskich, zebrał wszystkie prawa bartne już pisane, już zachowane w pamięci i podaniu, ułożył w jedną księgę i ogłosił drukiem ²⁾.

Surowe są to prawa dające opiekę własności każdemu bartnikowi. Wydzierający pszczoły śmiercią był karany, jeżeli schwytanym został na gorącym uczynku. Kara oznaczona prawem przez powieszenie. Zajmujące są szczegóły wykonania takowej. Posłuchajmy dosłownie tego artykułu *prawa bartnego*.

¹⁾ Niesiecki, pierwsze wydanie. T. III str. 370.

²⁾ „Prawa Bartne, bartnikom należące, którzy według niego sprawować się i sądzić mają, jako się niżej opisze, do starostwa Przasnyskiego, przez Wielmożnego JMC. Pana Krzysztofa Niszczyckiego, Przasnyskiego, Ciechanowskiego starostę etc.: Pana Miłościwego postanowione in anno Domini 1559.“

Przedrukowane w r. 1730, były mimo to rzadkością bibliograficzną; dlatego przedrukowano je w *Bibliotece Starożytnej pisarzy Polskich*. Warszawa. 1843. T. IV.

„Gdyby jaki złoczyńca, na puszczy szkodę czyniący, był pojman, tak, żeby gardło utracić zasłużył: na taki akt mają podstarościowie bartni wszystkie bartniki zezwać, do którego sąd bartny, obojga miastek ¹⁾ ma zasieść z bartniki godnemi wiary i bogoboju i prawo rozumiejącemi: a iż jest rzecz wielka kwapić się na osądzenie człowieka na śmierć, dla którego Pan Bóg Wszechmogący krew swoją najświętszą raczył przelać, tego najpilniej potrzeba, aby do takowego aktu sąd bartny wezwał do siebie sądu prawa Magdeburgskiego miasteczka onego, w którémby się sąd odprawował nad złoczyńcą. Co za pewnym dokumentem powinien być przez instygatora poprzysiężony i osądzony dekretem prawnym, przez podstarościęo bartnego publicznie obwołany, aby był obwieszon. Gdyby natenczas nie było w ziemi albo w mieście *mistrza*, alias *kata*, sami bartnicy to mogą sprawić, aby zdrajcę i złoczyńcę zgubić: ale wprzód wszyscy bartnicy powinni się powroza ująć rękoma, na którym będzie złoczyńca wisiał, a potem z pośrodka siebie obrać dwóch, żeby był zawieszon złoczyńca; co ci obrani do *ekzekucyi* nie mają się wymawiać i bronić, bo im to szkodzić nie może ani przed Panem Bogiem, ani też na sławie. A jeśliby się przydało, żeby który bartnik natenczas nie był, kiedy będzie złoczyńca wieszany, takowy ma być w porozumieniu, że sam z nim pospołu tę robotę robił, pszczoły wydzierał, takąż karą i sądem ma być skarany, i bór jego powinien być odebrany i zaprzędany komu in-

¹⁾ Prawo ma tu na myśli miasta Przasnysz i Ciechanów, w których zasiadały sądy bartne rok rocznie w dniu świętych apostołów Szymona i Judy i świętego Stanisława, biskupa Krakowskiego.

nemu, do czego i potomkowie jego albo żona nie będą należeli, tylko do sądu bartnego summa ma być oddana do skrzynki za ten bór, a jeśliby się zaś który ważył wymawiać tym, którzy złoczyńcę wiązali, a świadczenie miał, takowy powinien dać funt srebra i złota, czego sądowi bartnemu z połowę ma być oddana, a stronie druga połowa przyjść ma.“

Na Mazowszu, jak i w osadach Kurpi, bartnicy w późniejszych czasach dzielili się *na cechy*. Każdy *cech* miał w swęj parafii i księdza, który nosił nazwę: *promotora cechu bartniczego* i w dzień św. Bartłomieja, ich patrona, nabożeństwo w kościele odprawiał.

W każdym *cechu* był *starosta bartny* albo *starszy*, którego było obowiązkiem doglądać, ile corocznie na *surowym korzeniu*, to jest, nowych barci *wydziano* (wyrobiono); czuwać, aby miód na dawną, we właściwym czasie i dobrą miarę dziedzicowi lasu był oddawany, i pilnować porządku między bartnikami. Starosta trudnił się także kontrolą i barcie nowe przyczynione nakrywał, to jest, numerami porządkowymi albo *cechami* oznaczał. W razie potrzeby wszystkich bartników zwoływał na *schadzkę*: w tym celu był *znak bartny*, tabliczka drewniana z pewną *cechą*, którą bartnik jeden drugiemu odnosił dla obwieszczenia terminu do *schadzki*, odbyć się mającej. Bartnicy pod względem gospodarstwa pszczolnego dzielili lasy na *ostrowy* albo *bory*: to jest, części oddzielne, a te na *okręgi bartne* czyli *uroczyska*, które od innych granicami naturalnymi były oddzielone. Wyrazem *bór* albo *cały bór* oznaczali część lasu, w której znajdowało się sześćdziesiąt barci: *półborem*, gdzie trzydzieści, a *ćwierćborem*, gdzie było piętnaście barci.

Na *barcie* w lasach wybierano podług dawnego zwyczaju sosnę lub jodłę, przeszło stodwadzieścia lat liczącą: z tego wnosić możemy, jakie to starodrzewy stanowiły nasze puszcze i bory.

Gdy ostre prawa bartne i pilny dozór samych bartników chronił od szkody ludzkiej, był groźniejszy w lasach nieprzyjaciel, a chciwy na słodycz miodu, niedźwiędź zwany *mrównikiem* albo *bartnikiem*, który wdzierał się jeszcze zręczniejsz jak bartnik do podbierania.

Gdzie się pojawiały te szkodniki, które wydzierają miód z barci, cały rój niszczyły, starano się ich oprócz strzelby rozmaitemi sposobami łowić i wytępić. Obijano przeto *drzewo bartne* o kilka sążni od ziemi szczelnie w około gładkimi dylami, w które niedźwiędź pazurów zasadzić nie mógł: i ten sposób nazywano *obwieszanką*.

Poniżej barci, w wysokości kilku sążni od ziemi przybijano do drzewa cztery krzyżownice, po ośm stóp długie, a do tych od wierzchu przytwierdzano dyle. W takowy pomost zabijano kołki drewniane, ostrzami ku ziemi: stanowił on tarczę bezpieczną dla barci. Poniżej tego pomostu do koła drzewa wbijano haki żelazne ostre, do góry zakrzywione, które wprawdzie niedźwiędź przy włożeniu zręcznie umiał omijać, lecz złącząc z drzewa, nieomylnie na nich się zaczepiał i rozdzierał wnętrzości. W bartników mowie sposób taki ochrony nazywał się *podkur*, *połatka*, *ter*, *werek*.

Urządzano nadto *dzwon* albo *samobitnią*. Był to gruby kłoc drzewa wiszący na mocnej wici, poniżej *zaworu* ¹⁾, właśnie w tém miejscu, którędy niedźwiędź do

¹⁾ *Zawora*, deska zatykająca szczelnie główny otwór do barci czyli ula.

dziemi czyli ula pszczelnego musiał dołączyć. Kloc przeskadzający mu do dopięcia zamiaru, rozjątrzał go: zwierz, chcąc usunąć tę zawadę, odpycha go; ten wracając siłą ciężkości, uderzał w łeb albo łapy. Wtedy niedźwiędź, bardziej jeszcze rozgniewany, silniej kloc odpychał, od którego mocniejsze razy odbierając, znużony daremném pasowaniem się i pobity drzewo opuścić musiał.

Takimi sposobami odstraszano tych łupieżców borowych i ochraniano pszczoły: ale bartnicy umieli zręcznie żywcem ich łowić.

Sposób ten nazywano *kolebką*. W oznaczonej wysokości przywiązywali drąg mocny, ale sposobny do zgięcia, u którego na jednym końcu zawieszano plecioną koszałkę, tak przyciągniętą do spodu *zaworu*, aby za jego otwarciem drąg odskoczył i porwał z sobą koszałkę. Niedźwiędź dolazłszy do barci, a znajdując dla siebie wygodę, siadał do koszałki; lecz skoro zawór otworzył, natychmiast drąg odskakiwał i niedźwiędzia z koszałką daleko od drzewa unosił i odsadzał. Tym sposobem łupieżca leśny zawieszony w powietrzu bujał tak długo, dopóki bartnik nie nadszedł i w łeb mu nie wypalił: gdyby zaś na ziemię odważył się skoczyć, przebiłyby się na palach ostrych, gęsto w ziemię wbitych pod kolebką i w około barci.

Przykład Mazowsza wpłynął przeważnie i na inne okolice Polski. Zjawiały się bartne przepisy stósowne do zwyczajów i potrzeb miejscowych. Jakie miały Kielce dla swęj okolicy przepisane, takie przepisywał, wojewoda, Jan Ostroróg, dla swego majątku Komarny przed 1614 rokiem.

Litwa i Ruś ogromną ilość pszczoł żywiły. Było ich pełno w puszczech i na stepach.

Na Żmudzi wielki książę jak piwo tak miód do swego stołu otrzymywał, ale wtedy tylko, kiedy osobiście na Żmudzką ziemię zjechał. Daniny miodowe były podobnie jak na Mazowszu znane.

Statut Litewski rozwija opiekę nad pszczolnictwem borowem. W czasach wojennych na początku panowania Zygmunta *Starego* ustawy sejmów zabezpieczały barcie. Na sejmie Brzeskim do praw wojennych dopisano, ażeby żaden żołnierz nie miał *leziwa*, to jest postronka bartnego, co ułatwiał dostanie się do barci dla podebrania miodu. Przypisek ten objaśnia, że pod chorągwiami niemało było zręcznych bartników i że zarazem pochód wojska na wyprawy musiał niemało szkody wyrządzać w barciach leśnych.

Świetnie i zasobnie gospodarstwo bartne na całych obszarach starożytnej Polski kwitnęło do XVI wieku. Nietylko wosk i miód w naturalnym stanie były przedmiotem ważnym w potrzebach domowych i w handlu, ale zanim wino upowszechniło się w Rzeczypospolitej, miód obok piwa były jedynymi trunkami.

Niszczenie puszczy i lasów, na które już Jan Kochanowski narzeka i jakby głosem proroczym przepowiada niedalekie czasy, w których brak będzie drzewa, napady Tatarskie i dwie wojny Szwedzkie ciężkie zadały klęski bartnictwu.

Po każdym napadzie pohańców z dymem szły osady, ginęła ludność, pustynią zostawała droga ich pochodu. — W Mazowszu wojny Szwedzkie dały się ciężko we znaki: szczególnie gdy Karol XII, rozbity przez Kurpiów, poszedł przebojem następnie przez ich puszcze

mordując bartników, co mu dzielny stawiali opór. Pożary puszczy *Skwańskiej*, *Myszenickiej* i *Ostrołęckiej* wytępiły wiele barci: setki bartników-Kurpi poległo.

Kiedy burze wojenne ucichły, siekiera handlarzy zaczęła niszczyć w coraz większych rozmiarach puszcze i lasy Mazowieckie. Zwierz gruby już opuścił wycięte knieje, o niedźwiedziach-bartnikach już tylko podania mówiły, ale topór handlarski od świtu do nocy nie ustawał w pracy tępienia tego bogactwa, którym Bóg uposażył ziemię naszą.

Na miejscu puszczy i ogromnych lasów wydmy wyrzwały piaszczyste, strumienie i rzeczułki wyschły. Gdzie oszczędzono stare jodły i sosny dla barci, ginęły roje pszczelne dla braku wody i ochrony przed ulewą gradem i burzą odsłonięte na całą srogość mrozów iskrzących.

W naszych oczach tak wytępiono oprócz ogromnych borów i puszczy wielkich, puszczy *Brańszczykowską* pod Wyszkowem na Mazowszu; teraz nie oszczędzano już nawet starych sosen z barciami. Podcięte siekierą w upadku swoim zabijały roje, które się w nich gnieździły, a jeżeli które ocalały, przeniesione do ogrodów wiejskich umierały wkrótce, straciwszy właściwą sobie ojczyznę.

Daliśmy tu krótki obraz dawnego bartnictwa leśnego, ażeby zwrócić uwagę, jakiem to bogactwem było w kraju naszym. Z niedokładnych cyfer statystycznych, jakie się przechowały, widzimy, że z Litwy i Rusi w latach 1506—1509 wywieziono za granicę wosku z górą sto tysięcy kamieni. Mazowsze niewątpliwie mogło dać więcej, bo głównie rozwijało bartne gospodarstwo, a

rzeczą wiadomą, że pszczoły leśne w dwójnasób więcej wydawały miodu i wosku jak pszczoły domowe.

Już od połowy XVI wieku poczęli ziemianie nasi zakładać pasieki domowe w ogrodach dworskich, a kmiecie w swoich sadach. Szczególniej okolice mniej leśne rzuciły się do hodowli pszczoł *swojaków*, lubo i mieszkańcy borowi dla korzyści większych z miodu i wosku oprócz barei leśnych zakładali także pasieki.

W tym wieku jako i w dwóch następnych do najważniejszych gałęzi gospodarstwa wiejskiego przy chowie stadnin, była rogatego i owiec należały hodowla ryb i pasieka.

Kiedy ładowano statki wodne ze zbożem, krupami i mąką, posyłano zarazem *patokę* miodu czystego i wosk żółty *w kregach* do Gdańska, a oba te produkta z domowych pasiek hojnie opłacano złotem.

Wielką ilość wosku zużywano wewnątrz kraju, to na świeće ogromne do kościołów, to na mniejsze do zamożnych domów, bo nie znano innych jak tylko łojowe i woskowe. Nie brakło pomiędzy ziemianami naszymi jak i włościanami zwolenników gospodarstwa pasiecznego, któremu oddawali się z całym zapałem: nie wymagało ono też wielkiej pracy, więcej czulej tylko troskliwości we właściwych porach roku, a głównie strzeżenia pszczoł od głodu i zimna.

Nie wspominając licznych pasiek dworskich u ziemian, które nieraz kilkaset pni obejmowały, pamiętamy przed rokiem 1830 wielu kmieci, co miewali od 50 do stu ulów w skromnych swoich sadach, a wosk i miód z nich pomnażał dostatek i zamożność w chacie.

We dwadzieścia lat później już pasieka u włościanina była osobliwością, jak i po dworach naszych. Nie-

dbałość na tak ważną gałąź gospodarstwa wiejskiego i obojętność wytraciły dawne nawet pasieki.

Dziś przy zmianach stosunków rolniczych z pociechą widzimy, że napowrót włościanie nasi zaczynają się troskliwie krzątać o rozmnażanie ulów i urządzanie pasiek. Sami *rozumem*, jak mówią, *chłopskim* pojmują ich ważność i korzyści. Niedawne podania ojców i matek nauczyły ich, jak drogim nabytkiem dla każdego gospodarza są pasieki. — Bodajby ten przykład i zwrot szczęśliwy, jaki spozzegamy po wsiach, przeszedł do ziemian większych posiadłości i rozmnożył u nas tę część gospodarstwa, tak świetnie kwitnącą dawniej u nas, a dziś zapomnianą!



KAZANIA

SZLACHECKIE.



Kiedy w wieku XVII Polska coraz się w obyczaju domowym oddalała od ludu, kiedy zaniedbując pieśni z nim wspólnych, zastąpiła je wymową i wymowę tę zastosowała do obrzędów przy zaręczynach, ślubach, pogrzebach, ucztach i zabawach nawet; wtedy to szlachcic wymowny, który potrafił rzecz daną okrągłemi wyrazić słowy, zyskiwał zaraz rozgłos, sławę i *estymę* między bracią.

Pomijając poważną wymowę, przejdziemy do wesołej, humorystycznej, w której pierwsze miejsce zajmują tak zwane *kazania szlacheckie*.

Niedawno widzieliśmy przez znakomitego artystę Straszyńskiego wykonaną akwarellę, przedstawiającą takie kazanie. Ci, którzy ją oglądali, dziwili się, dlaczego taką scenę niesympatyczną na obecne czasy malarz wziął za przedmiot do kompozycji. Nie dziwimy się na-

wet nieprzychylnemu przyjęciu przez ogół, bo nikt nie objął, jakie miała znaczenie. Wzięto za szyderstwo z przeszłości, co było kiedyś prawdą w życiu.

Akwarella przedstawiała rozochoconą szlachtę i to — jak się zdaje — ze smutnych czasów Augusta III, owego okresu uspienia i niedołęztwa. Jeden z licznych jej grona z wywyższonego miejsca, w komży nawet, prawi zebrany kazanie, a szlachta klaszcze, raduje się i śmieje serdecznie.

Zaprawdę dziwny to obraz dla niewtajemniczonego w życie domowe naszych przodków. Jakto, więc szlachta nasza wyszydza najpiękniejszą wymowę, wymowę kaznodziejską? szlachta nasza, co mianowała się słusznie rycerzami krzyża, co była nieprzełamana zaporą przeciw barbarzyństwu i pogaństwu?

To potomkowie owych? co pisząc do Henryka Walezyjusza, aby powrócił lub zrzekł się korony, skreślili słowa: „My jesteśmy chrześcijaństwa przedmurzem, na ostrzu miecza naszego trzymamy tyłu ludów spokojność i by te ludy spoczywały i wzrastały bezpiecznie, my na czatach, wśród ślót i mrozów bezsenne noce trawić musimy.“ Potomkowie to owych czcigodnych praojców, co przed bitwą wzywali pieśnią *Boga-Rodzicę* o pomoc i zwycięstwo, a przy mszy świętej szabel dobywali do połowy na znak gotowości do obrony wiary? co sejmikując gwarnie, gdy przyszło do górętszej rozprawy, na widok kapłana idącego z Najświętszym Sakramentem w najwyższym zapale ostygła i padając na kolana, kornem uderzała czołem.

I ta szlachta, jakby na urągowisko z rzeczy poważnych i świętych wyszydza kazalnicę, przywdziewając nawet oznaki kapłańskie?

Zaprawdę obrazek Straszyńskiego mógł te wszystkie myśli obudzić w sercu niejednego. A przecież artysta nic nie stworzył z fantazyi, wziął fakt z przeszłości i z żywą oddał go prawdą.

Szlachta Polska żyła na wsi, bo miast nie lubiła, przybywając do nich tylko powołana sprawą Rzeczypospolitą albo własną. Bawiła w nich krótko, gościnnie i wracała ochoczo do rodzinnych dworów. Przez wiosnę, lato, jesień i część nawet zimy do *Trzech Króli*, wyjąwszy szczególnych rodzinnych uroczystości, nie opuszczała domowego ogniska, poświęcając się pracy rolną i myślistwu. Zapusty dopiero otwierały szerokie pole ciągłej niemal rozrywki. W niej dopiero rej wiodły sławne kuligi, a przy nich najczęściej i kazania szlacheckie.

Jużeśmy opisali starodawne kuligi, w których całe, nieraz po miesiącu własnego nie ujrzały dachu, jadąc od dworu do dworu, to krewnych, to przyjaciół, to znajomych, a wszędzie podejmowani ochoczo i gościnnie. Nie brakło na nich pieśni, poważnej gawędy między starszemi, ale brakowało pola szlachcie do popisania się z darem wymowy i zyskania ztąd u panów braci pożądaną *estymy*.

„*Kot niełowny, chłop niemowny, niewiele warci.*“

Było to przysłowiem powszechnym narodu szlacheckiego.

Owoż już w początkach XVII wieku widzimy pojawiające się kazania szlacheckie przy zebraniach kuligowych. Kazania te otwierały pole szczególnego rodzaju wymowie. Ten, który się sam wybierał na kaznodzieję lub głosami licznymi panów braci wezwany został, mu-

siał mieć dobry zapas wiadomości i być czytany, ażeby mu w cytacjach historycznych nie zabrakło wątku.

Niewinna ta rozrywka nie miała ani cienia nawet niereligijnej myśli; wzięto tylko formę kościelnej wymowy, czyli raczej samą jej nazwę, ale treść żadnego nie miała podobieństwa z prawdziwem kazaniem i jego wzniosłym, a świętym celem.

Kazania te szlacheckie były niejako przyprawą cukrową licznego na kulig zjazdu; poważni duchowni tak wyższej hierarchii, jak proboszcze i kapelani ochoczo stawali w gronie słuchaczy i chętnie improwizatorom tym użyczali biletów i komży swoich.

W większych dworach, gdzie bywały chóry dla kapeli, na nich urządzano rodzaj ambony; gdzie brakło chóru, stawał mówca na wzniesieniu, ażeby nad zebraniem towarzystwem górował. Kaznodzieja taki, lubo celem jego było wywołać śmiech w słuchaczach i rozweselić całe zebranie, sam przecie musiał zachowywać się poważnie.

Z obliczem surowem wchodził na kazalnicę i nic go z tonu i postaci pełnej powagi wybić nie powinno było.

Kiedy zmęczone tańcem i ochotą grono kuligowe chciało odpocząć i zabawić się zarazem radośnie, wołano o kazanie. Nieraz daremne były żądania, bo nikt się nie znalazł, coby chciał wstąpić na kazalnicę wobec licznego zgromadzenia, z którego wielu słyszało już zawołanych mówców. Występujący musiał czuć się na siłach, że odpowie trudnemu zadaniu, którego te głównie były warunki:

1) Aby z zadanego tematu zaimprovizować kazanie.

2) Kazanie nie może być krótkie i kuse, ale zajmować ma przynajmniej półgodziny czasu.

3) Aby objęte w niem były najważniejsze postacie z dziejów starożytnych i nowożytnych.

4) Aby całe kazanie pomimo erudycyi nie miało sensu, a było pełne żartobliwości i humoru ku rozwehleniu słuchaczy.

5) Mówca powinien wypowiedzieć je płynnie, bez zająkania się i przerw długich, wyjąwszy odetchnień, westchnień i czasu potrzebnego dla użycia chustki od nosa.

Nigdy nie drukowano podobnych kazań, choć spisywane nieraz bywały, i to jest dowodem oczywistym, że szanując rzeczy kościoła, nie chciano upowszechniać chociaż niewinnéj rozrywki, ale noszącéj tytuł *kazań*, aby nie dać powodu do podejrzeń, jakoby takowe były satyrą na wymowę kaznodziejską. Przechowywano przebrańsze w *dyjaryjuszach* i *Silvach rerum* domowych w rękopisie.

Z rękopisu Jana Wardińskiego, który mamy przed oczyma, podajemy wyjątek z takiego kazania szlacheckiego jako wzór tego rodzaju wymowy.

Tytuł rękopisu jest następujący.

„*Depozyt bogaty albo księga pierwsza, to jest opisanie książąt y królów Polskich, przytém różne memorabilia z różnych manuskryptów zebrane, ręką Jana Wardińskiego pisane. Roku od narodzenia Pańskiego 1699.*“ (W kroju arkuszowym str. 420, oprócz spisu rzeczy).

Pochodzi on z zamożnéj niegdyś biblijoteki Aleksandra hr. Chodkiewicza: na pierwszej bowiem karcie czytamy własnoręczny jego dopisek: „Rękopis ten darowany mi został przez szanownego kolegę Horodyskiego w Warszawie 1811 roku. A. Chodkiewicz.“

Wypisujemy tu parę ustępów z przechowanego w nim kazania na temat tych słów:

„*Wszelki, kto się podwyższa, poniżony będzie.*“

Kazanie na te słowa: „Wszelki, kto się podwyższa, poniżony będzie“ w kaplicy świata Sarmackiego proponowane.

„Zaśnie czasu jednego król Hiszpański Holofernes, alić zobaczy, że Izaaka patryjarchę wiodą do Rzymu na ścięcie; wtém się ocknie i był dzień. Ale to mniejsza, bo kiedy wół ryczy na oborze, wilcy się tego bynajmniej w lesie nie boją, ponieważ ten jest panem, kto kogo zję. A lubo kot ma wąsy, jako i robak, przecie źrebę tchórza urodzić nie może. Za czasów Balczara, króla Mazowieckiego, Michał, synowiec Zacharyjasza proroka, wnuk Ezechijela, króla Burgundyi, do ludu podczas sejmku walnego w Koźlinie niedaleko Kurzelowa i Sandomierza rzecz mając z perorą, pokazała mu się ręka ze dwiema palcy na ścianie, z skrzydłami bez rogów i nie wiedział, co z tém rzecz? Ale kiedy Faeton leciał z nieba *blumarantowego*, okrytego lazurem na ziemię, spadł mu kołpak pod mury Jerycho i nie śmiał tam iść, bojąc się, żeby go nie przytłukły.

„Wrony na bluszczowém drzewie nie siedzą, chyba w zimie, około świętego Wawrzyńca. Gdy Manasses zbudował Kraków, który leży na półzgarzu niedaleko południa, natenczas król Angielski Bucisladus za panowania Kodrusa, króla Lombardyi, porwał się z motyką na słońce, grożąc mu Niemcami. A tak kiedy dęszcz przyjdzie, a ziemia sucha, tedy się kamienie ani w trawę ani w kluski nie obróca, chyba żeby Żydzi chcieli marynować jelenią brodę w occie, tedyby i sam cesarz Turcki, na zieloném mieszkając morzu, mógł do Wenecyi

wypaść, ponieważ tam niegłęboko, gdyż stary kaczor bez niebezpieczeństwa pływać może. Ale tego ztąd dojść nie możemy, i nie każdy, który palce między drzwi kładzie, uskrzypnie się. Co iż tak jest, pokaże się, na dzisiejszym sermonie, względ mając zawsze na to; „iż kto się podwyższa, poniżony będzie.“

„Zachorowawszy ciężko na podagrę Achel Lewita, posłał sobie po Nabala, suffragana Kaifaszowego, aby go nie zabijał; gdyż Hiszpanie żadnym sposobem psiemu ogonowi, ani kozięż brodzie kłaniać się nie będą, chociaż koń Wisły nie wypije.

„Jadąc raz Achijel, syn Abła proroka do Augusta cesarza na chrzciny sześciami koni w karocy, z liściami figowego, aliści wypadnie wilk, którego goni zając z lasa. Co my uważając i roztrząsając słowa, musimy przyznać, że prawdę powiadał. Bo i Zuchardus, prorok Luterski, potwierdził, że i w piątek, gdy się przyda, dobra sztuka mięsa z łopionem, gdy ją słoniną naszpikują. Pomnę, że i w Hibernii za jedną babkę przedawano motylów wędzonych po dziesięciu, a kiedy obrodzą, i sześciu za grosz dostanie, ale to niezawsze bywa, chyba na Wielką-noc. Prawda, że większy dzwon u Jezuitów w Lublinie, aniżeli u wójta na *Wesołej* albo u pana Radołuskiego, bo to człek jakoto i drudzy, a przecież co ma być potem, będzie to i koniecznie być musi, ponieważ nie każdy klucz nie każdą kłódkę otworzy, i lubo się to trafić może, że baran kogo tryknie, przecie po staremu bywa żniwo, chociaż i Balena w Damoskiem rozgniewał się był na Mojżesza, że przed nim nie zdjął bireta: niebyło z tego nic, bo jak się pogniewali, tak się pojednali.

„Bo cóż z tego za pożytek Niemcowi, że się Judasz obwiesił na żerdzi, a musi to być, że kiedy myszy śpią,

Mazurówie i Litwa kobyły nigdy żywo nie połączą, luboby się i Żydzi na Szweda oburzyli. Nie trzeba się tedy słuchacze mili, dziwować, że im Kalwin miasto Babilon zburzył, trzy mile od Pacanowa i Sandomierza, niedaleko Rawy, gdyż na ubogiego zawsze kapie. Nie czuli nad sobą Cyrusa, króla Szwedzkiego, który przed pięciu laty uszykowawszy wojsko niedaleko Emaus, czekał, rychłoli się Abimelech, podstarości Carogrodzki, wróci, którego po butelkę Wenecką posłał, a nie mogąc się go doczekać, uderzył we drzwi do bakałarza Ormijańskiego we Lwowie, sławnym mieście zostającego, który natenczas żaki za nogę w dymie wieszał a z Turecka do nich mówił: *A pisz!* a gdy się kto idąc, powali, musi leżeć na ziemi, a choćby pragnął wody ze studni Betelem, która jest przy Lorecie we Włoszech, przecie mu jój Dawid nie przyniesie, ani będzie dbał Kain na Huzego, starostę Kalabryjskiego, który przysiągł, iż nigdy nie zechce gonić dzieci po popiele, a niedoperze, lubo skrzydła mają, wszakże nie są djabli.

„Nie każdy będzie w niebie, choć go powołają, gdyż to prawdziwa, że wiele wezwanych, a mało wybranych. Jakoż i słuszna jest rzecz; bo cóżby to było, gdyby prosięta w dudy grały? musiałyby i wilka z lasu wypędzić. A ono kto w piecu lega, drugiego ożogiem rad maca, i nie przystoi, aby noc była bielsza aniżeli dzień, bo kiedy pieska biją, tedy i lewek strachać się musi.

A że nie tu dudki grają, bo Abel dawno na hipokondryją umarł, a kozy lubo rogi i uszy mają, dotychczas mówić nie umieją, chyba żeby Kalwin miał zmartwychwstać przed Sądnyim dniem, czemu wiary dawać szkoda, a być nie może, gdy się szydło z motowidłem rozigra, aby pajak miał wielbłąda połączyć. Na

to każdy z nas ma pamiętać, że cnota i pokora nie ma miejsca u dwora, gdyż *aulica vita splendida miseria*, bo kiedy proszą, a nie dadzą, każdy musi dać znak łaski po sobie, względ zawsze mając na to, *iż kto się podwyższa, poniżony będzie*.

„Za czasu Lota proroka, kiedy Żydzi z Polski do Egiptu przez Litwę korabiem się po Wiśle przed potopem wieźli, zastąpiło im niemało ciałąt w żółtych kapturach (a tego czasu dni były Bachusowe, które ich w taniec prosiły), przed którymi oni pokłoniwszy się uszy im poobrzynali: ale im jednak zębów wyjmować nie śmieli, obawiając się, by na Lubelski ratusz nie udały się na skargę na nich, gdzieby sprawa musiała iść za dworem, a oni mając się wrócić do obiecaniej ziemi, tedy źle musiałyby być koło nich, gdyż cielećta wygrałyby sprawę, jako myszy w sąsieku. A lubobyśmy najdłużej mówili, na to przyjdzie, *iż każdy, kto się podwyższa, poniżony będzie*. A przecież co się już powiedziało, dla lepszego zrozumienia wiedzieć zapewne trzeba, iż co prawda, to i nie grzech, i tak ma być i jest, iż kiedy kogo pięta świerzba, tedy żadnym sposobem od wiatru południowego Wisła nie wyschnie, chyba żeby pan Sadocki, burgrabia Kicki chciał mury Szczeczerszyńskie łbem przebić; ale nie przyszło Faetonowi do korda, kiedy go Hele, brat Jakóba, Pac kapturem obłożył, a przetoż i dotychczas, kiedy koń chłopu w błocie ulgnie, za uszy go wyciągnie, nie wołając na pomoc Tatarów, bo wiedzą chłopci, po czemu te rzeczy chodzą i niezawsze to się zrodzi, kiedy zasieją, a nie zaorzą, to nie masz nic.

„Trzeba o tém jednak wiedzieć, żeby się pić nie chciało, główkę Babilońską czosnku z solą i z sałatą, gał-

ganu z dzięgielem dobrze w mózdzierzu utłuc, toż dopiero będzie z tego wielki pasternak jako *Baroka*, która się rodzi około ś. Famelijusza, którego bywa na trzy niedziele przed Sądnyim dniem.

„Za czasów Sapora, patrijarchy Antyjocheńskiego, jedzie Julijusz cesarz po Narwi w okręcie szklannym, ali Tobijasz łowi ryby z Rafaelem prorokiem, z Mezopatamii, no oni przeląkszy się Asmodeusza, pojmał i posłał go mniszce Sarze na kolędę. A natenczas Antychryst wjeżdżał do Wittemberga na wózku jakoby o dwóch kółkach, czterma czarnemi myszami. Ale by najbardziej, tedy królestwo Tureckie upaść miało. Bo gdyby Struś żelaza strawić nie mógł, tedyby koniecznie paść musiało, żeby Francuzowie swego króla do Wenecyi nigdy nie puścili.

„Zasów pewnych Abigail, córka Melchizedecha, wojewody naonczas Krakowskiego, w małżeństwie Seltowi prorokowi była dana, tedy król Węgierski posłał jego hetmanowi Sifarze trzy bobaki i trzy snopki czosnku na ofiarę. Lecz nie wiem dokładnie. To wiem, że kiedy grzmi w Indyi, tego w Turczach nie słychać.“

Kazanie to podzielił mówca na cztery części, bo gdziekolwiek wypadł mu tekst, który położył za zasadę „każdy, kto się podwyższa, poniżony będzie“, przerywał mowę i odpoczywał.

Zginęła dla nas wartość różnych zastosowań i przycinków do osób i okoliczności współczesnych, zginęło więc i wrażenie, jakie odbierało zebrane zgromadzenie, gdy słuchało żywego słowa mówcy, popartego wymowną mimiką.

Zespolenie razem tytu niedorzeczności nie jest pomysłem oryginalnym szlachty Polskiej, wzięła ona myśl ze znanej dawniej pieśni ludowej i po swojemu ją przerobiła, zastósowała ją do nowego rodzaju wymowy ¹⁾. Znamy kilka kazań z czasów Jana Sobieskiego, których w obozach, przy odpoczynku po trudach wojennych z upodobaniem rycerstwo nasze słuchało. Towarzyszekaznodzieje używali wielkiego szacunku w swojej chorałwi. Treść *peror* ich składała się zawsze ze zbioru różnych historycznych wspomnień, pomieszanych z sobą, w których nie było ni ładu, ni składu, najmniej prawdy. Ale te obozowe kazania różniły się od innych tém, że w nich pierwsze wspomnienie poświęcano zwyciężkiej walce i pogromowi nieprzyjaciół. Biada każdemu, któryby okazał w boju tchórzliwość, w takiem bowiem kazaniu wyprowadzał go mówca na czoło i smagał nielitościwie szyderstwem i pogardą. Zresztą kazania takie podobne były do powyższego z małemi tylko zmianami. Nieraz w nich nawet też same ustępy powtarzano.

Za czasów Augusta III gęsto się one przewijają po rękopismach, przeplatane łaciną sutą. Za Stanisława Augusta, podobnie jak za panowania króla Jana III rzadko gdzie cytata łacińska zawadzi.

W jednym dyjaryjuszu rękopiśmiennym czytamy pod r. 1790: „Umarł die 12 Septembris JMć p. Stanisław Bratkowski, który po sermone z aplauzem przyjętym zaniemógł i w kilka dni umarł.“

Dalój opisuje imieniny u pana starosty, na których tenże Bratkowski miał kazanie, czyli sermon z tekstu:

¹⁾ Zaczyna się ta pieśń: „Komar z dębu spadł, złamał sobie gnat, itd. itd.

„Maluczko ujrzycie mnie, maluczko nie ujrzycie mnie.“

A mówił z małego chóru w wielkiej sali starosty. Zebrani pękali od śmiechu, słuchając tego kazania; ale gdy dojął dwom sąsiadom, co się z sobą od lat wielu prawowali o kawałek łączki i dociął jednej damie, co kilka wizyt oddała w zamku królewskim w Warszawie, omało nie przyszło potem do szabel, aż pan starosta powagą swoją uspokoił zwaśnionych, dowiódłszy, że mówcy kaznodziei wszystko wolno. Dama tylko, napiękłszy raków, wyjechała zaraz, nie czekając kolacyi.

Pomiędzy Konfederatami Barskimi słynął z takich kazań pan Jacenty Kułakowski, równie dzielny mówca, jak sławny rębacz, a siły olbrzymiej. Przemowy jego miały głównie na celu wyszydzenie nieprzyjaciół Konfederacyi i dworu królewskiego. Znał wszystkich dygnitarzy, umiał ich głos i postacie wybornie naśladować, nie wyjmując samego Stanisława Poniatowskiego. To też jak gdzie wystąpił, a przywdziawszy fryzowaną perukę, mówić zaczął, szlachta zanosila się od serdecznego śmiechu i kaznodzieję obnosiła w tryjumfie na ramionach.

Zginął on w jednej wycieczce z Częstochowy, wysłanej przez Kazimierza Pułaskiego. Zrąbał kilku jeźdźców nieprzyjacielskich, gdy z janczarki w pierś trafiony spadł z konia. Uniesiony przez towarzyszków broni, umarł nazajutrz po bitwie w klasztorze Częstochowskim.

Z rokiem 1794 niknie ślad wszelki tego rodzaju kazań.



FLIS NA FRYJORZE.

Faint, illegible text at the top of the page, possibly bleed-through from the reverse side.

THE HISTORY OF THE

Faint, illegible text in the middle section of the page, likely bleed-through.

Faint, illegible text at the bottom of the page, likely bleed-through.

Polska, jako kraj rolniczy, uposażona w plenną glebę, obfite pastwiska, miała dostatkami nie tylko zboża i bydła na własną potrzebę, ale mogła bogate zasoby swoje udzielać ościennym ludom i ztąd niedarmo zwano ją *śpichlerzem Europy*.

Ale przy obfitości płodów rolniczych, szczególnież też zboża, jak: pszenicy, żyta, grochu, jęczmienia, lnu i t. p., nie miała Rzeczpospolita do ułatwienia ich przewozu innych dróg komunikacyjnych, jak tylko rzeki spławne *Bug, Narew, Pilicę, Wartę, Niemen, Dniepr, Dniestr, Prut, Dźwinę* i wiele innych, pomiędzy którymi królowała zawsze *Wisła*, dawniej *Białą Wodą* zwana.

Od podnóża gór Karpackich już spławna, zasilona 70 rzekami i rzeczkami, przebiega najżyźniejsze niwy i łączy swe wody z Bałtykiem.

Od najdawniejszych też wieków ten gościniec wodny ułatwiał spław i przewóz zboża i drzewa.

Najpokupniejszym ziarnem przez cudzoziemców była i jest zawsze pszenica i żyto, w które obfituje Polska. *Sandomierka*, tak zwana pszenica, starą sławę swoją dotąd zachowała, tak w głównym niegdyś porcie naszym Gdańsku, jak na targach Angielskich.

Ziemia Sandomierska ją wyhodowya, a po niéj idzie pszenica z niw Krakowskich. Pomędzy ludem nad Wisłą osiadłym, tak Krakowskim jak Sandomierzakami, urodził się *Flis* i zasłynął w całej Polsce. On hetmanił i hetmani wszystkim wyprawom Wiślanyh statków zbożem naładowanych, pod różną nazwą znajomych, jak *dubasów, skutów, galarów, jadwig, piątaków, dziewiątaków*, i t. p.; on daje z grona swego sterników i majtków rzecznych dla bezpiecznego spławienia po rzece tak zmiennego koryta, pełnego zgubnych raf podwodnych, o które rozbijały się często i zatapiały statki niewprawną ręką kierowane.

Mazowsze równie się chlubi dzielniemi *flisami*, którzy obejmują ster statków zbożowych z Bugu i Narwi, a znają Wisłę jak dłoń własną od *Modlina*, gdzie Narew połączona z Bugiem do niéj wpada, aż do samego Gdańska.

Zuchwały góral, co z niesłychaną odwagą rzuca się na powodzią wezbrane rzeki swoje, stacza świrki i jodły z wierzchowin skalistych, aby je zbierać w wązkie *tratwy*, wśród spienionych bałwanów, rozszalałych pędem kaskadowym, co z uśmiechem radosnym na dorodnym obliczu, na wązkiej tratwie w wyścigi idzie z rozhułkanym żywołem, już od Krakowa, gdzie szerszym korytem płynie Wisła, nie śmie dalej żeglować, traci tę przytomność i dziarskość podziwu godną w górach i zdaje swój towar leśny pod opiekę flisowi Krakowskiemu, a sam wraca pieszo do siedzib swoich.

Ale i z innych stron Polski z mniejszych rzek żeglarze nie śmieją się puszczać na Wisłę. Pod *Serockiem*, gdzie Bug wpada do Narwi, *flisy* Mazowieckie

obejmują ster nad statkami zbożowemi, ażeby je przeprowadzić do Wisły, a następnie do Gdańska.

Flis, walczący z żywiołem tak groźnym jak wzburzona Wisła, a przytém krętego koryta i niepewnego, pełnego zawad i zgubnych pni, kamieni lub ław piaszczystych; wyrobił sobie właściwy język, obfity w wyrazy nieznanne ojczystej powszechniej mowie i wyrażenia węzłowate, a dobitne, które oddzielny język stanowią ¹⁾.

Znagliła go do tego potrzeba, gdy jednym wyrazem ostrzegał towarzyszków o niebezpieczeństwie, o zmianie steru, o zwinieciu żagli lub pochwyceniu wiatru, aby je wydał: zachował w żywém słowie mnóstwo wyrazów z Piastowskich czasów, których powód i źródłosłów zaginał w pomroce wieków. Lesista niegdyś Polska z zapadłemi kniejami puszczy i lasów, zasobnemi w dzikiego zwierza i ptastwo, stworzyła tysiące myśliwców, dla których łowy stały się wyłącznym rzemiosłem i zadaniem jedynym życia; ci utworzyli bogaty język *łowiecki*, który dziś zaczyna znikać z wytrzebieniem borów i grubego zwierza.

Dłużej przetrwał język flisowski, bo jak przed 500 laty, po téj samej Wiśle pławiają się dubasy zbożowe, drygawki uderzają w takt równy w jej białe spokojne lub szumiące* i wzburzone łono, i jak dawniej *flis* im hetmani.

Flisy, rodami przechowują swe rzemiosło, żaden z nich go nie porzuci: jeżeli dziad był flisem, syn i wnuki są flisami.

¹⁾ Wiktor Kozłowski w szacowném swoim dziele: „*Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i oryński*. Warszawa 1846 r.“ dał nam poznać całe jego bogactwo. *Encyklopedyja powszechna* podaje nam tak wyrazy jak wyrażenia i zwroty tegoż języka.

Była ich dawniej nieporównanie większa niż dzisiaj liczba: a co szczególniejsza, że na swych własnych statkach spławiali zboże do Gdańska za umówioną zapłatą. Tacy tylko pociągnięci byli do opłaty na rzecz skarbu Rzeczypospolitej, podatku, jak wyraża prawo.

„Flisnicy, każdy od siebie płacą po groszy dwudziestu, okrom tych flisników, którzyby na statkach szlacheckich płynęli a ich poddani własni byli, takowi mają być od tego wolni.“ (Volumina Legum III, 51).

Ze ścieśnieniem swobód ludowych flisy z rodu już nie mogli mieć swych statków, które zagarnęła szlachta i tylko jako żeglarze najemni przeprowadzali zboże do portów morskich. Flis oryłom zostawia spław tratw z drzewem towarowem, chyba je dosiada wtedy i niemi kieruje, gdy na nich zboże ładowano w worach.

Pierwszy zastęp flisów dali Nadwiślańscy włościanie: w miarę zaś rozwoju handlu zbożowego i potrzeb osadzenia statków i z dalszych wsi zbiegali się pod chorągiew flisowską.

W XVI wieku i do połowy XVII przed strasznem zniszczeniem Polski przez Karola Gustawa liczono z górą 4000 flisów, samych Krakowskich i Sandomierskich. Szczególniej téż za panowania Władysława IV, kiedy szlachta, krzycząc na całe gardło o pokój, gotowa przyjąć nawet opłacanie haniebne haraczu, byle pokój utrzymać, bez względu na przyszłe losy Polski, z nikkczemnymi panami na czele najzbawienniejsze zamiary dla Rzeczypospolitej tego króla deptała: rozwijała na obszerną skalę handel zboża, spławiała drzewo towarne i popioły do portów Bałtyku.

Jakkolwiek mamy przysłowie zachowane przez Rysińskiego o królowej rzek naszych: „*Wisła jak Bóg*

jednemu daje, a drugiemu bierze“, które określało dosadnie, jak niestałe ma koryto i brzegi, przenosząc nurt spławny z jednego na drugi, pomimo to w ostatnich latach panowania Władysława IV była ciągle spławną do samego Gdańska, a przy obfitości wód, wszelkie rafy, kamienie i kłody przestały grozić rozbiciem statków ładownych.

Urodzaje, które w ciągu niemal całego panowania były bujne, dawały wielką obfitość zboża na handel zagraniczny.

Szlachta w błogim pokoju wycinała starodrzew z puszczy i lasów, którego nie brakło, i obrobiony do *ostrego kantu*, na maszty i belki, wiązała w tratwy: a gdy któremu brakło *dubasów*, *szkut* czy galarów, na tratwach zboże spławiała do Gdańska.

Współczesny świadek ¹⁾ opowiada, że co było niesłychaną dotąd rzeczą, jedni i ciż sami flisy, co z wiosną spławili raz zboże, dla dostatniej wody na Wiśle wracali już nie pieszo ale na wozach, drugi raz puszczali się w Czerwcu i trzeci w połowie Sierpnia. Jeżeli flisy mieli hojny zarobek, tak że niejeden z nich mógł zakupić kilka włók gruntu; to wnosić możemy, jak wielką ilość zboża ziemianie nasi spławiali do portów Bałtyckich i jak grube pieniądze zbierali, które niestety na wyuzdany marnowali zbytek ²⁾.

¹⁾ Jan Cieński, Dyjaryjusz domowy z 1645. (Rękopism).

²⁾ Wyras *flis* w ogóle znaczył handel zbożowy statkami z portami morskimi. O tym popędzie Polskiej szlachty do pokoju i handlu mówi Wacław Potocki: „Wszystka w handlach, kupiectwach, wszystka szlachta w flisie.“ (Poczet herbów).

Znakomity poeta XVI wieku *Sebastyan Klonowicz*, w czasach Zygmunta III, płynąc ze zbożem klasztoru Benedyktynów Sieciechowskich, w poemacie swoim p. n. *Flis* w r. 1595 kreśląc obraz brzegów Wisły do *Zielonego Mostu Gdańskiego*, odmalował nam i flisów ówczesnych, oraz podał cząstkę ich wyrazów i wyrażeń, które dotąd zachowały się niemal wszystkie.

Dosadnie stawia przed oczy wizerunek ówczesnego flisa, dzielnej postaci w nowój *karazyi*, w *magierce*, na bakier przekrzywionój, przepasany jaśnistym pasem, gdy wraca z wyprawy swój wodnój i staje w domu przed rodzicami sędziwemi. Wesoło i strojnie przybywa do rodzinnój chaty, niosąc im *gościniec*, ale nie zapomina o swój *Zochnie*, dla której ma pas Gdański puklasty i *muchajer* ¹⁾ ceglasty.

Wraca już pod jesień, zziębnięty, to też w chacie jak się przy piecu rozgrzeje, dopiero zebranój rodzinie i sąsiadom ciekawym opowiada całą podróż i dziwy, które w niej widział. Jaki nam daje obraz flisa Klonowicz, taki dotrwał dni naszych w głównych zarysach charakterystyki wydatnej. Ubogacił on więcej jeszcze swój język i dochował go wiernie, jakkolwiek w szczuplejszym daleko zastępie flisów Polskich, który się nie da nawet porównać z dawną ich mnogością.

Brak własnego morskiego portu, podział kraju, upadek gospodarstw rolnych i mniejsza produkcja zbożowa, wszystko przeważnie wpłynęło na zmniejszenie handlu zbożowego, a tém samém i spławu, który z latami malał coraz, gdy i Wisła rok za rokiem tylko z wiosną

¹⁾ Muchajer, rodzaj jedwabnej materyi Tureckiej nie drogiej, a wielkiej wziętości.

obfitą i dostatnią miała wodę dla statków, a całe lato i jesień pogodną zółciła ławami piasku. Płytkie jój koryto zaledwie tratwy z drzewem spławiać było zdolne. Przy tak nieprzychylnym dla ziemian naszych stanie liczba flisów malała corocznie i oddawała się albo pracy rolnéj lub w dalszych okolicach szukała dla siebie zarobku.

Gniazdem pierwotnych flisów są, jak mówiliśmy, okolice Krakowa i dalsze nadbrzeża Wisły.

Flis z rodu nie jest rolnikiem, nie umie nawet na niwie pracować, bo jeżeli miał pług albo kosę w ręku w młodych latach, to flisówką odwykł: wielu zupełnie się do nich wziąć nie umie przez poświęcenie od lat najmłodszych wyłącznie rzemiosłu żeglarskiemu; i na starość na nowo wprawiać się muszą, gdy porzucą wiosło.

Ależ za to jakież to *majster* na wodzie. Patrz! jak dzielnie włada, czy wiosłem na małej łódce mknie lotem jaskółki z wodą czy pod wodę, rozbija wzburzone bałwany albo silnym sterem skręca wedle woli i potrzeby tratwy i galary.

Pływak zawołany: dla niego Wisła jedynym żywiołem, na którym czuje całą pełność radosnego życia!

Na licu czerstwość, w oku ogień odwagi i swobody, bo flis kocha swoje rzemiosło: nie przyjął go dla wódki i częstych chwil próżniactwa, ani téż wraca do domu z nabrzmiałém jak *Oryl* z pijaństwa obliczem, obdarty i bosy. Flis, rzeźwy i trzeźwy, lubo *tnie bosaka* wedle przypowieści: „*Nogi drze, a buty na kij*u nosi.“ Wraca wesoło do domu, niosąc w torbie gościniec dla żony i dzieci, albo gdy nieżeniaty, dla rodziców, sióstr,

braci i krasnej dziewoi; a w trzosiku skórzanym zarobek poczciwie nabyty pracą i odwagą!

Kiedy odstawią na oznaczone miejsce zboże powierzone, wracają flisy gromadą, boć to albo krewniacy albo z blizkich wiosek sąsiedzi; a weseli, szczerą krew Krakowska i Sandomierska, ochoczo śpiewają, gdy im jeden rznie od ucha na skrzypkach. I na wodzie, gdy chwilę spoczywają, lubią grać i śpiewać: kiedy zaś zupełna cisza nie pozwala płynąć dalej, używają z dawnych wieków, podaniem starych flisów zachowany zwyczaj.

Płachtę, w smole umaczoną, zapalają, puszczają na wodę i dalej przygrywać na fujarkach i skrzypkach. Jestto jedyny sposób, aby *wiatr uprosić*, by zadał łaskawie do wyděcia żagli.

Doświadczeni, siwizną przypruszeni flisy, umieli dawniej pewne *formuły*, które w tajemnicy wielkiej zachowywali, do zaklęcia wiatru, aby powiał. W tej chwili, gdy płachta płomienista puszczoną została na Wisłę, a fujarki i skrzypki zabrzmiały, stary flis ze zwróconą twarzą w stronę, z kąd pragnął powiewu wiatru, zaczął się żegnać i odmawiał tajemną formułę wiérsem, tak jak wszystkie znane nam zaklęcia, ułożoną. Na łozu śmiertelném ojciec synowi ją zwierzał. Czy dotąd dotrwała, nie wiemy.

Pobożni, jak cały nasz lud poczciwy, chętnie spoczywają strudzeni w powrocie do domów czy pod krzyżem na drodze, czy przy kapliczce, a spoczynek swój zaczynają od modlitwy szczerój, a gorącój.

Zakupują obrazki Pana Jezusa, Matki Bożkiej albo *Świętej Barbary*, patronki flisów: a przechodząc lasem wybierają grubą sosnę, a chętniej dąb stary, wy-

cinają korę i wprawiają obrazek poświęcony w pień drzewa, aby towarzyszą, co idą za nimi, przymnożyć miejsc odpczynku i zostawić ślad swojego koczowiska. Gdzie osadzonym zostanie obrazek święty, to miejsce staje się ulubionym miejscem w następnych latach spoczynku dla wszystkich flisów.

W Gdańsku oprócz różnych drobiazgów ochotnie kupują sławne u nich pasy włóczkowe pąsowe, któremi opasują się radzi: czy po koszuli pod kamizelą, czy po wierzchu żupana. W dawniejszych czasach każdy flis przynosił *magierkę* czyli czapkę Węgierską, które Gdańsk sprowadzał wyłącznie dla naszych żeglarzy.

Co to za radość prawdziwa, kiedy z powrotem drużyna flisów wchodzi do wioski: żony, siostry, matki, ojcowie, krewniacy, wszystko to wita, chwyta w uściski serdeczne odważnych żeglarzy. Czy w karczmie za stołem, czy w chacie przy kominie muszą siedzieć, aby spoczęli po drodze nużącój i opowiadać przygody flisackie: młodzież niedorosła drży z ochoty, aby prędzej już robić wiosłem. Starcy przypominają z uśmiechem radosnym swoje lata młode, kiedy przyświecała im sława dzielnych żeglarzy. Znając oni Wisłę jak dłoń własną, to wypytyują ciekawie, czy jeszcze nad brzegami stoją też same wioski i osady, też same zielenią wyspy i kępy? bo wiedzą, że w przybór większy wody co wylew znaczny Wisła znosi kępy, rwie wybrzeża, w ich miejsce spieniony nurt obraca, a dawne swoje koryto piaskiem zamula. Tym piaskiem zasypuje żyzne role, wznosi wydmy lotne, i gdy z jednego brzegu urywa kawały ziemi, drugiemu, cofając swoje koryto, przynosi po kilka morgów piaszczysto-ziarnistego gruntu. Starcy z podziwieniem słuchają nowych dla siebie wieści o zniknie-

niu tych osad znajomych, o przypadłych wysepkach, gdzie spoczywali ochoczo i wesoło, o nazwiskach nieznanymi nowych wysp i kęp, co powstały, wreszcie o nowych *drogach*, któremi po Wiśle płynąć trzeba.

Zima jest czasem najnudniejszym dla flisa. Żywiół, który kocha, któremu panuje dzielnością i zręcznością swęj dłoni, zakamieniały lodem nieruchomy stoi. Galary, statki i łodzie w przystani nieczynne, a wiosła w izbie za piecem spoczywają. Rąbie on lody, w przerębli łowi ryby, młóci w swęj stodółce, ale tęskny czeka na *fryjor* ¹⁾, na tę chwilę radosną, gdy za powrotem jaskółki z *wody* ²⁾ i klekocącego bociana na gnieździe domowém, rzeki wyzwolone z pęta zimy, podruzgocą szyby lodowe, przez które daremnie a długo chciały się wybić ku ciepłu słonka.

Wiosna z kwieciami i majem, z przyśpiewkami szarego skowronka, z przeciągłym pokrzykiem żurawi, z hukaniem kukułki, już się pojawiła! Zachwiały się w przystani łodzie i statki, uczuwszy pod sobą nie twardą skorupę lodu, ale miękką, lekką falą muśniętą wodę. Czekają téj chwili oddawna utęskniony ponad brzegiem nasz flis dzielny z wiosłem na ramieniu, jak żołnierz do boju, pewny zwycięstwa i sławy.

Z niesłychanym zapalem młode wyrostki biegną po raz pierwszy na *flis*: wyglądając *frycówki* jak zba-

¹⁾ Z Niemieckiego *Frühjahr*, wiosenne spuszczenie statków i tratów, zwłaszcza do Gdańska. Wyras to powszechny w języku flisów i orylów naszych.

²⁾ Znane podanie naszego ludu, że jaskółki na zimę topią się w rzekach i jeziorach gromadnie, a z wiosną wylatują z wody.

wienia, ażeby po niej już zeglował każdy swobodnie, jako flis doświadczony.

Dawniej każdy wyrostek taki bity był drewnianą szablą u *Nogatu*, poczem zostawał *bratem*. Teraz w najbliższej przystani sadzają go na statku nacierają cegłą brodę, jakby mydlili, golą niby ostrą osełką kamienną, w ostatku rzucają fryca w wodę. Poczem wykupuje się zastawieniem dla całej drużyny wódki, piwa czy miodu i przegryzki do tego.

Kiedy *flis* jak ptak w klatce tęsknił do *fryjoru*, po dworach ziemian naszych przygotowywano się przez całą zimę starannie do wysyłki zboża do Gdańska.

Podamy tu ciekawą *Informację*, daną przez pana Ignacego Ciecierskiego w r. 1757 swemu szyprowi do Gdańska, która niemałe rzuca światło na handel i stosunki z tém miastem portowém.

„*Informacja Antoniemu Nowakowskiemu, szyprowi memu, płynącemu na dubasie moim dwumostowym do Gdańska, d. 24 Aprila A. D. 1757 dana* ¹⁾).

1. „Naprzód spisać na dwie ręce należycie wszystkie *statki* ²⁾ dubasowe, liny różne, *pojazdy, szufle, stroisz, szafliki, miski, laski, czołna, posiadanki, tarcice do burtowania* na Wiśle i *essy* od nich, także żyta wiele się bierze, w którą przegrodę jęczmienia, pszenicy, kaszy gryczanej; potem leguminy dla flisów wszelkie, to jest mąki, pęczak, groch; okrasa różna, jakoto: słonina,

¹⁾ Dubas, statek mniejszy od szkuty, potrzebujący od 8 do 14 flisów do obsługi, z jednym lub dwoma masztami, biorący do 20 łasztów zboża. (Łaszt Polski obejmuje 30 korcy).

²⁾ Przybory.

sadło, olej, sól etc. Opisać także flisów po przewisku i po imieniu i zkąd który.

2. Gdy wszystko na statku poładowane będzie i Żyd, kupiec Ciechanowski, gdy się zgodzi o *frakt* i pieniądze odda i towary swoje zwiezie na dubas, poprosić którego z poblizkości księdza, aby *benedykcyją* dał na drogę wszystkim na statku idącym, i ruszyć się szczęśliwie w drogę.

3. W drodze rano wstawać, na grochu ¹⁾ długo nie popasać, i owszem gdy się trafi *pochód* dobry, to nie zawijając do lądu, mogą zjeść groch flisi, idąc na statku.

4. Na noc zboże zawsze znaczyć i stróżów do pilnowania dobrych, wiernych i trzeźwych naznaczać, samemu nie lenić się w nocy wyjść, jeżeli stoże nie śpią.

5. W *Zegrzu* nie trzeba cła płacić, bo jest *dekret*, który dla informacyi posyłam, i jeżeli będą pretendowali, pokazać ²⁾.

6. Dają *attestacyją*, którą na komorach, gdzie będą o nią pytali się, pokazać.

7. Przyplłynawszy szczęśliwie do *Serocka*, pytać się o *kolój* ³⁾ i zgodzić się z *rotmanem Wiślanym*, a *Bużne-*

¹⁾ To jest, przy jedzeniu strawy.

²⁾ Szlachta od wszelkiego cła, tak wodnego jak lądowego, wolną była. Za sprowadzanie win Węgierskich do kraju każdy szlachcic był wolny od opłaty, gdy je przywoził na własny użytek. Jako dowód wymagano tylko świadectwa szlachcica własnoręcznego i z pieczęcią herbową. Jaki ubytek w dochodach skarbu Rzeczypospolitej ponosił, nie potrzebujemy wspominać.

³⁾ *Kolój* znaczy tu czas, kiedy statek wyruszyć ma w towarzystwie innych z przystani na Narew, a ztąd na Wisłę.

go rotmana, zapłaciwszy mu podług ugody, ekspedyjować i przez niego oznajmić mi o kolei, z kim się trafić i kiedy się ruszać będą z Serocka.

8. Płynąc około *Torunia*, zostawić sukna do farby u farbierza tego, co zawsze farbuje, i *cedułki*, alias *bierki* wziąć od niego, gdyż przy odbieraniu sukna te cedułki powinno się oddać. Daje się sukna postawów 4, które kazać ufarbować, dwa popielato, a dwa granatowo.

9. Stanąwszy szczęśliwie we Gdańsku, naprzód u *przeróbki* zboże należyce przerobić i nie sprzedawać go, aż stanie ten, co się pośle do sprzedania.

10. Nim stanie we Gdańsku ten, co ma sprzedać zboże, dojsć do tkacza, gdzie są obrusy i serwety w robocie i opowiedzieć, aby były gotowe przed wyjściem dubasa z Gdańska. Posyła się i kontrakt dla informacyi, który przeczytać, jest w nim i zadatek wyrażony, złotych dobrej monety dwanaście.

11. Powracając z Gdańska, sukna w Toruniu wykupić, na których wykupienie pieniądze będą dane w Gdańsku.

12. Gdy kupiec Ciechanowiecki weźmie towaru w Gdańsku na *frakt* ¹⁾, więc w *Myślaborach* nie mu z rzeczy jego nie zostawiać, aż u *Pala Wojtkowego*.

Co wszystko podług téj informacyi zadosyć uczynić, mocno zalecam i podpisuję się: Ignacy Cierski, mp.“

¹⁾ *Fracht, Frakt*, zapłata za przewiezienie towaru z jednego miejsca na drugie; znaczy także w dawnéj polszczyźnie ładunek, towar naładowany. Pośredników w handlu przewozowym czyli faktorów zwano u nas *fraktaczami*.

Informacja ta dokładnie daje nam wyobrażenie, jak przeważny wpływ wywierał handel zbożowy i stosunki z Toruniem i Gdańskiem przez Wisłę na zamożność i potrzeby domowe rodzin ziemian naszych.

Wysyłane zboża i płody rolnicze, jak kasze, miody, wosk i t. p. stanowiły najgłówniejszy dochód szlachcica Rzeczypospolitej. Wyprawa ładownego statku zaraz z początkiem wiosny przy większej wodzie na Bugu, Narwi i Wiśle poruszała wszystko, co żyło we dworze.

Przez całą zimę młócono zboże i zgromadzano do spichrza, co przy braku maszyn samemi ręcznymi dokonywano cepami. Tkano sukna na warsztatach domowych, aby były gotowe do ufarbowania w Toruniu: przygotowywano zapas nici lnianych i konopnych, z których w Gdańsku tkacze wyrabiali piękne i wzięte powszechnie obrusy i serwety w rozmaite kwiaty i desenie. Płótna bowiem wszelkiego rodzaju, od najgrubszych do najcieńszych, gospodynie nasze wyrabiały w domu, jako i sukna w prościejszym gatunku. Kiedy statek cały już miał zupełny ładunek, sprowadzony kapłan dawał *benedykcyję*, poświęcał go jak i wszelkie na nim przedmioty, odmawiając modlitwę o szczęśliwą drogę i pomyślny powrót. Szyper z doświadczonych flisów obejmował nad wszystkiemi władzę i panu odpowiadał za wszystko.

Retmani czyli przewodnicy rzeczni dzielili się na *Bużnych* i *Wiślanych*: pierwsi przeprowadzali statki po Bugu do Serocka, drudzy do Gdańska, jako świadomi dokładnie dróg Wiślanych.

Po sprzedaży zboża w Gdańsku każdy ziemianin zaopatrywał się na rok cały w potrzeby kuchenne i domowe.

Kupcy nasi, Żydzi, na tych statkach jechali do Gdańska, gdzie zakupiwszy potrzebnego towaru, przewozili go w głąb kraju za umówioną opłatą fraktu. Tym sposobem szlachcic zyskiwał fundusz na opłatę drogi flisów z Gdańska do domu. Powrót takiego statku i pojawienie się u lądu był dniem uroczystym we dworze ziemianina. Sam odbierał ważne złoto za zboże i płody rolnicze, a żona, dzieci i domownicy zajęci byli przywiezionymi towarami i gośćmi z Gdańska.

Było dzień także uroczysty i radosny dla flisów, bo wracali po dłuższej drodze, pracy i trudach na łono rodzin i odpoczynek z niemałym zarobkiem.

Flisów nazywano *szkutnikami* od rodzaju statków, na których spławiali zboże ¹⁾.

Mówiliśmy, że flisy wytworzyli język sobie właściwy, który przyswoili *oryle*, także nasi żeglarze, drugi stopień po flisach zajmujący. Ta różnica pomiędzy nimi zachodzi, że *oryle* wyłącznie zajmują się spuszczeniem przez zimę drzewa, obrabianiem belek, biciem klepek i t. p. słowem przygotowaniem towaru leśnego na spław wiosenny, a z *fryjorem* zbijania takowego w tratwy i spławiania rzekami. *Oryl* na lądzie swoją nazwę zatrzymuje; na *tratwie* i płynąc wodą, przybiera tytuł *księcia wodnego*.

¹⁾ *Szkuta*, w składzie podobna do berlinki, z masztem i żaglami, do której obsługi potrzeba 16, 18 lub 20 flisów: bierze łasztów zboża od 50 do 54 najwięcej.

Młody *oryl*, pierwszy raz wchodzący do tego rzemiosła i nieznający właściwego języka, nazywa się tak jak i u flisów *frycem* i tę nazwę nosi aż do czasu *frycówki*.

Obrawszy wolny czas i miejsce, *oryle* z całej *kolei* czyli ze wszystkich zebranych razem tratw zgromadzają się razem, odosabiając *fryców*, których *pod bronią* (to jest, trzymając sękate drągi) sprowadzają. W miejscu oznaczoném zatykają żerdź wysoką, na wierzchu której powiewa chorągiewka, do czego im zwykle czerwona chustka służy.

Najstarszy *oryl* ma do zebranych *fryców*, w korniej postaci stojących przemowę, przekładając im posłuszeństwo, wierność, spokojność i trzeźwość, jako konieczne przymioty poczciwego *oryla*: poczém na znak oczyszczenia się z dawnych grzechów siada *fryc* na pieńku, którego jeden z *oryli* po posmarowaniu mu brody *madą* goli kawałem drzewa zamiast brzytwy, poczém drugi *oryl* siada na tymże pieńku, a okrywając klęczącego *fryca* płaszczem, słuca go niby spowiedzi, dając mu jeszcze zdrowe nauki i przestrogi, gdy równocześnie inny *oryl* okadza klęczącego rozżarzoném pruchnem. Po spowiedzi *fryc* przechodzi przez niską bramę, z drążków i wici umyślnie ułożoną, a w czasie tym odbiera od *oryli* po kilka uderzeń *garunem* (wicią dębową) z dodatkiem: „Pamiętaj, żeś był *frycowany*.“

Pomiędzy sobą mają swoje *prawo*, którém się rządzą; jakkolwiek nie spisane, podaniem jest zachowane i szanowane święcie.

Trzech *gospodarzy*, to jest najstarszych *oryłów* na tratwach, z których każdemu powierzony dozór jednej tratwy, stanowi *sąd oryli*. Wyroki ich natychmiast są

spełniane. Za kradzież pomiędzy sobą otrzymuje winny *pięć garunów na ryklu* (to jest pięć uderzeń wicią dębową na pasie drzewa); za powtórna kradzież *dziesięć garunów*; gdy się dopuści po raz trzeci kradzieży, *wypierają go*, czyli odpędzają od siebie. Za bałamuctwo i pijatykę w czasie płynienia *5 garunów*; 'za nieużywanie wyrazów orylskich za pierwszym i drugim razem napomnienia, za trzecim razem *trzy garuny*. Za ochronienie się i ukrycie od *wesela* (to jest spychania tratwy na wodę) kwarta wódki.

Jako godło sprawiedliwości na żerdzi przy *skarbowce* zawieszona wić dębowa nazywa się prawem i nią po wydanym wyroku odbiera karę przestępca.

W *tęj skarbowce*, czyli obszerniej budzie z desek zbitej, w której ma pomieszkanie *pisarz*, w oddzielnej komorze mieści się skład wódki, słoniny, legumin i sucharów.

Najstarszym w godności pomiędzy orylami jest *retman* albo *rotman*, który płynąc w wąziem a małym czółenku, prowadzi całą *kolój*, to jest zbiór tratw od 8 do 24 razem płynących. Po nim idzie *retmańczyk*, pomocnik jego i *gospodarz*. *Kucharz* używa także niewielkiej pomiędzy orylami powagi: gotuje on strawę dla wszystkich; statki zaś kuchenne pomywa ten, który przy misce je najdłużej.

Jak rzemiosło *flisowskie* trzyma się rodami u naszych włościan w całym Powiślu, tak i *orylskie*, lubo rok rocznie przybierają licznych ochotników i sprawiają im *frycówki*.

Dopóki Polska obfitowała w zapadłe puszcze i wielkie lasy, liczba orylów była znakomitą: mieli bowiem hojny zarobek przez zimę w borach przy spuszczeniu i obrabianiu drzewa, a całą wiosnę i lato spław tratw

im zajmował. Po wyniszczeniu lasów, zmniejszała i liczba orylów, całe stare ich rody oddać się musiały pracy przy roli; pozostali, gdy handel drzewa ożywia się, zbieraną drużyną próżniaków zastępują prawdziwych orylów. Ztąd też, pomimo surowo przestrzeganego prawa przez starszyznę na *tratwach* i wymierzania kary, demoralizacja, pijaństwo i rozpusta wydatnie cechują większość dzisiejszych *oryłów*, gdy dzielni *flisy* zachowali dawne a zacne przymioty swoje.

Z grubą jesienią i pierwszym śniegiem kończy się zawód *flisa*; osowiały słuca ze smutkiem krakania *ciotuchny* (wrony), co zwiastuje mu tęskny spoczynek zimowy; czeka, jak *kania dżdżu*, najweselszego dlań śpiwu szarego skowronka i wygląda, czy *ksiądz Wojciech* (bocian) nie nadlata, co na skrzydłach swoich przynosi już maj wiosenny. *Oryl* przeciwnie po spoczynku krótkim, po spławianiu *tratew* rusza do boru na całą zimę i tam z siekierą w krzepkiej ręce wycina lasy i przyspasabia drzewo, na nowy *fryjor*.

Oryl rzadko się zajmuje gospodarstwem, nie mając czasu wiosną i latem a nawet zimową porą. Flis przeciwnie zapracowanym groszem nabywszy kawał gruntu, trudy około niego zostawia żonie i rodzinie; a gdy siwizna pobiele głowę, syna wyrostka w zastępstwie daje na Wisłę, a sam bierze się do gospodarki, utrzymując dostatnią zamożność. Plon ze swego pola zsypuje na dubasy i wysyła z pańskim zbożem do Gdańska na sprzedaż.

W powieściach flisowskich rej wiodą *topielce* i *topielnice*. Wisła w wirach, grożących rozbięciem lub zatopieniem, *gada*, a słowa jej rozumieją jedynie wybrani *retmani* i starzy flisy. Wiedzą oni za przyłożeniem pil-

nie ucha, czy *gada* strachem, że rozbije statek, a flisaków pomoczy, czyli téż *grozi* niechybną śmiercią. Wtedy słyszą ponury głos jakby śpiew żałobny, i gotują się na ostatnią godzinę życia.

Topielcy chwytają kąpiących się i ciągną na spód rzeki, gdzie są pałace złote i koralowe. W noc pogodną wiosenną czy letnią, zwłaszcza przy *nowiu* lub *pełni* miesiąca, ująwszy się za ręce, płasają po Wiśle *topielnice*. Rozpuszczone ich złociste warkocze po fałdach rzeki wydają dźwięk taki, jakby kto przygrywał na dudzie, skrzypkach i fujarkach: wtedy słysząc ich śpiew melodyjny, którym wabią młodych flisów i parobczaków dziarskich z lądu. Zwabiony idzie po wierzchu wody jakby po ziemi, dopóki nie dotknie ręką topielnicy; wtedy z nią razem zapada na dno Wisły i znika bez śladu.

Zaginęły pieśni flisowskie, o których dawni nasi mówią pisarze, zarówno jak i orylskie śpiewki, co wtórzyły radośnie w takt bijącym drygawkom na tratwach płynących.



The following text is extremely faint and illegible. It appears to be a list or a series of entries, possibly a table of contents or a list of references, but the specific content cannot be discerned due to the low contrast and blurriness of the scan. The text is organized into several vertical columns, suggesting a structured format like a table or a list with multiple fields.

OSTATNI
KULIG STAROPOLSKI.



Czytałem niedawno, już nie wiem po który raz, *Maryję* Malczeskiego. Gdym doszedł do miejsca owéj pieśni kuligu:

My sobie jedziem kuligiem
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie.
Lecim saniami,
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty.

Czy znasz ty Polskie zapusty?—

rozbudzone wspomnienie tém zapytaniem poety stawiło przed oczyma ostatni może prawdziwie Staropolski kulig, w którym uczestniczyłem przed czterdziestą z górą laty.

Było to w roku 1820: od połowy Grudnia spadły ogromne śniegi, tak iż wioski pozasypywały i przerwały na dni kilka wszelki przejazd nietylko po drogach bocznych, ale i na bitych gościńcach.

Od chaty do chaty, od dworu do zabudowań dworskich, w pośród mass śnieżnych trzeba było rozkopywać przejście. W tydzień później wiatr ciepły powiał, prawie w jednym dniu zasy śnieżne roztajały i znikły bez śladu, bez roztopów: wychyliły się dachy wioskowe i dworskie; a gdy wkrótce mrozy schwytały i znów lekki śnieg przysypał, ustaliła się tak wyborna sanna, jakiej dawno nie było i zima śnieżna trwała niemal do połowy Marca.

Dwór pana starosty leżał wśród leśnej okolicy, o mil dwie od *Brańszczykowskiej* puszczy. Był to dom starowiecki, murowany, z wieżyczką, zabytkiem starego zamczyska; ztąd w sąsiedztwie zwano go zamkiem.

Pan starosta, był to sędziwy już starzec. Pamiętał dobrze czasy Augusta III, w młodym wieku służył pod chorągwią przeszławniej Konfederacyi Barskiej i dotrwał wiernie do końca, dopóki Kazimierz Pułaski od murów Częstochowy, nie opuścił rodzinnej ziemi nazawsze. Po poddaniu świętego grodu pan starosta przywrócony do godności dawniej piastowanych, odznaczył się w usługach obywatelskich; bo téż na żadną potrzebę krajową nie żałował tak krwi swojej, jak i mienia dostatniego.

Trzech dorosłych synów służyło dawniej w wojsku: najstarszy z legijonów przyniósł krzyże legii honorowej i Polski *virtuti militari* ze szlifami pułkownikowskimi, ale zarazem i pięć ran ciężkich, które odebrały mu zdrowie. Dwóch młodszych poległo w Hiszpanii, jeden zginął jako szwoleżer przy zdobyciu wąwozów *Sammo-Sierry*, drugi w szturmie do *Saragossy*. Dwóch najmłodszych, już żonaty, trzymało dzierżawy od ojca.

Pani starościna, poważna matrona, liczyła lat 60, ale jeszcze czerstwa i pełna zdrowia, wyrozumiała dla młodego wieku, chętnie urządzała zabawy w domu swoim lub należała do projektów, jakby wesoło u siasiadów zapusty przepędzić.

To téż téj zimy, zaraz po Nowym Roku, w gronie swéj rodziny podniecana przez dwie młode synowe, wesołe i lubiące tańczyć, ułożyła kulig do państwa skarbników, którzy za puszczą Brańszczykowską we wsi Wierzbowie mieszkali.

Starosta, nie mogąc się oprzeć przywilaniu i prósbom synowych, przystał na wszystko. Pułkownik dla strzaskanéj ręki od granatu nie mógł brać udziału w zabawie, lubo do niéj ochoczo zachęcał.

Po dłużéj przeto naradzie postanowiono zebrać grono sąsiedniéj młodzieży i przyjaciół i w licznój czeredzie napaść niespodzianie dwór państwa skarbnikostwa. Z początku przeznaczono na to dzień Trzech Króli, ale ponieważ potrzeba było do wesela Krakowskiego ubiorów stósownych, odłożono przeto zamiar na koniec Stycznia. Tymczasem sprowadzono z poblizkich miasteczek Żydów - krawców do szycia sukien i tak się zawinięto, że wszystko było gotowe na 20 Stycznia.

Ale trzeba było poprzednio odbyć próbę: pani starościna zaprosiła przeto wszystkich do kuligu należących na dni kilka do siebie. Wystąpił najprzód poważny organista, jeden z synów starosty ze swą żoną jako organiściwą i ognistą wypalili perorę.

Mowa ta, pełna humoru i dowcipu, serdecznie rozweseliła sędziwego ojca i poważnego pułkownika. Tańce udały się wybornie. Na drugi dzień chciano zrobić niespodziankę dla pani starościny. Kiedy się więc zmierz-

chło dobrze, usłyszano we dworze odgłos piskliwych fujarek z bębnami. Gdy oboje starostwo spojrzeli na siebie zdumieni, wbiegła synowa młodsza, a klaszcząc w ręce radośnie, prosiła ich, żeby pozwolili wniknąć Cyganom. I zaraz za nią zaczęła się tłoczyć cała banda, a ze środka jej wysunął się ogromny niedźwiędź bury, białoszyjnik i począł niezgrabny swój taniec przy brzmieniu fujarek i dwóch bębenków.

Starosta pierwszy poznał w przebranych Cyganach swoich znajomych, ale przed żoną utaił swoje odkrycie. Dopiero gdy chórem cała banda dobranemi głosami zanuciła pieśń na cześć gospodarstwa, zerwała się z kanapy i zaczęła całować i ścisnąć urodne Cyganki.

— A bogdajże was Pan Bóg chował zdrowo i szczęśliwie, mówiła wesoło poważna matrona, a toż to ja nie poznałam swoich.

— A ja poznałem, ale mojej dziewczeczce nie mówiłem nic i siedziałem jak trusia, wyrzekł starosta, śmiejąc się serdecznie.

W tę chwilę niedźwiędź wysunął się naprzód, oddał niezgrabny pokłon, pochwycił rękę starościny i pocałował.

— A toż kto? zapytała przestraszona nieco gospodyni domu.

— Cóż to mateczka nie poznała? odezwała się starsza synowa; toć to przecie pan Jacenty.

— Ktoby go tam poznał w tej niedźwiedziej skórze? odrzekła starościna, taki straszny.... a wybornie udawał niedźwiedzia.

Pan Jacenty był to daleki krewniak, zawołany myśliwiec, zawiadujący w dobrach starosty jako nadleśny obszernemi borami.

Po wypoczynku zaczęto robić przygotowania do wyjazdu kuligowego. Dwadzieścia kilka sań napełniło obszerny dziedziniec przed dworem. Wytoczono staroświecką karetę na saniach, którą młodzież zebrana z ciekawością oglądała. Na szerokich łożach, które się na przodzie kończyły ogromną głową Murzyna w pąsowym zawoju, z wyszczerzonymi białymi zębami, umocowane silnie wznosiło się pudło ogromnej karety. Cztery jej rogi stroiły małe brązowe wyzłacane wieżyczki z głośnemi dzwonekami. Drzwi każde zdobiła para malowanych na tle pąsowém białych gołąbków, całujących się dzióbkami. W tych to saniach przed czterdziestą kilką laty jechał pan starosta do ślubu.

Wyobroczone dobrze konie i nazajutrz po śniadaniu postanowiono wcześniej wyruszyć, bo było blisko sześć mil do dworu państwa skarbnikostwa.

Szanownych gospodarzy obu tych domów nazywamy dawnymi, z czasów jeszcze Rzeczypospolitej tytułami godności, które niegdyś posiadali. Stan rzeczy już wtedy się zmienił, młode pokolenie nie znało ani starostów, ani skarbników; lecz chociaż w urzędowym języku nie miały te tytuły żadnego znaczenia, wszyscy je dawali przez szacunek tym, którzy je dawniej w innych, a już odległych czasach nosili prawnie.

Od świtu przed dworem służba dworska i czeladź uwijała się żwawo. Tymczasem pan starosta po długiej naradzie z nadleśnym Jacentym wyszedł w podróżnym ubraniu. Mróz był lekki, powietrze miłe, chociaż chłodne. Słońce czasem wyrzało bladém obliczem z pośród chmur spokojnie wiszących, niepędzonych wiatrem.

Godzina naznaczona uderzyła: zajechały pierwsze saneczki jednokonne, a ciągnął je najlepszy biegun ze

stajni starosty, sławny jednochodnik. Wybiegł arlekin w masce czarnej z drewnianą trzepaczką w rękę, uderzył nią każdego ze stojących na ganku, zarzucił niedźwiedzie i zniknął nam z oczu. On to miał być zwiastunem najazdu kuligowego we dworze skarbnika.

Starosta przeciągał coraz wyjazd, jakby oczekiwał na kogo. Jakoż wkrótce nadjechał pan Jacenty na czele czterestu zbrojnych myśliwych, za nimi nadciągnęły sanie ładowne w kagańce i pochodnie.

Kiedy wszyscy zebrani stanęli na ganku, wtedy wyszedł sędziwy proboszcz miejscowy w komżę przybrany, odmówił głośno modlitwę, przeżegnał obecnych na szczęśliwą drogę i pokropił święconą wodą.

Niedługo wszystkie sanki ruszyły z podwórza, pozostali tylko razem proboszcz i pułkownik.

Dwie mile do puszczy przelecieliśmy w przeciągu niespełna godziny. Przed karczmą dano nieco wytchnąć koniom i rozpytano o pierwsze sanie.

— Ho! ho! proszę jaśnie pana, zawołał gospodnik, już dobry kawał czasu, jak tu był pan jakiś, ubrany jak djabeł Wenecki. Dzieci go się nastraszyły i wszystkie za piec uciekły, a on tylko odetchnął koniowi — i znowu jak wiatr poleciał.

Ruszyliśmy dalej: w puszczy najwyborniejsza sania, a śnieg ubity nieraz pod kopytem ostro kutém iskry wyrzucał. Konie same ochoczo leciały. Szum cichy puszczy, parskanie rączych biegunów, pokrzyk wóznic i gwar wesoły jadących mięszały się w dziwną, a radosną harmoniją.

Pan Jacenty ze strzelcami wyciągniętym kłusem dotrzymywał saniom.

Zmrok w puszczy wcześniejszy; to téż przebywszy trzy mile dobre, cały orszak zatrzymał się w karczmie na uboczy stojącej, by odpocząć koniom i przebrać się, jak należy.

Kiedy w godzinę później siadaliśmy do sani, pan Jacenty po krótkiej na stronie rozmowie ze starostą kazał zapalić kagańce i pochodnie; piérwsze rozdał do każdego sani, drugie strzelcy ujęli w ręce.

Zwolniono kłusa.

— Dlaczego tak wcześnie zapalono pochodnie, zapytała męża pani Adamowa, starsza synowa starostów.

— Gdzie tam widno! nim zajedziemy, to zmrok dobry będzie, odrzekł jój z uśmiechem; ale miał na pogotowiu dubeltówkę skałkową i parę pistoletów za pas założył, położywszy na nogach szturmak nabity.

— Co ty Adasiu tak się zbroisz? może tu są zbójcy, zawołała z przestraczem żona.

— Moja Teofilko, zkąd tu zbójcy? a wieleżby ich potrzeba, żeby nam podołali. Sęk ¹⁾, co tu rozbijał, oddawna zniknął. My robimy przygotowania, bo karczmarz mówił, że pokazały się gromady wilków.

— A to co innego, ja się wilków nie boję...

Przerwał rozmowę małżonków donośny głos pana Jacentego: stój!

¹⁾ Sęk, nazwa zbójcy głośnego w owych czasach tak w puszczy Brańszczykowskiej, jak i w okolicy całej. Rodem był Kurp', słynny z olbrzymiej siły; postronki rwał jak nici, łamał podkowy. Schwytany przez jednego z panów podróżnych, skrępowany leżał już na bryce. Odetchnąwszy ze zmęczenia i bójk, po krótkim spoczynku jak wyprężył silnie ręce, jak szarpnął, pękły postronki, a Sęk zeskoczył i znikł w puszczy. Odtąd już śladu jego nie było.

— Co takiego? zapytał starosta, wychylając głowę z karety.

— Ujrzałem po śniegu, panie starosto, gęsty trop wilczy. Trzeba, żeby sanie jedne za drugimi wolnego truchcika jechały: my otoczmy je do koła. Bartosz z pochodnią naprzód!

I stary strzelec na siwku wysunął się przed pierwsze sanie, potrząsając co chwila gorejącą pochodnią.

Z bitego gościńca zjechaliśmy w lewą drogę, wiodącą krańcem puszczy. Zmrok już gęsty zapadł, dwór pana skarbnika zdala jak na dłoni z pagórka widoczny, bo we wszystkich oknach biła łuna od świec jarzących.

— Adasiu! co tak w tej puszczy ciemnej świeci, jakby świętojańskie robaczki, tylko większe i jaśniejsze?

W tę chwilę zabrzmiał głos pana Jacentego: Bartosz, lepszego kłusę wyciągaj!

I ruszyliśmy rzeźwo, jak z domu wyjeżdżaliśmy.

— Te ogniki, moja Teofilko, odrzekł mąż z uśmiechem, to są ślepia stada wielkiego wilków, któreby nas tu schrupały, gdyby nie pochodnie i kagańce.

— Jezus, Maryja, Józef! zawołała pani Adamowa, bledniejąc, a wasza broń?

— Dobra byłaby na kilku lub kilkunastu, lecz nie na taką chmarę. Ale niebezpieczeństwo minęło, już wjeżdżamy w opłotki wiejskie. Patrz Teofilko, jak błądy pan Jacenty przy tym połysku pochodni; to mężny człowiek, a te ogniki niemało mu *Piotra napędziły*.

— Zgasić pochodnie i kagańce! zabrzmiał głos nadleśnego i w jednej chwili zmrok nas ogarnął. Tylko silniej bijące łuną okna dworu skarbnika rozświecały nam drogę. Wjechaliśmy bramą roztwartą, a muzyka

kuligowa zabrzmiała przy wtórze pieśni ową sławną weselną śpiewankę:

„Ażebyś ty chmielu na te tyczki nie laź!”...

Na ganku zjawił się niespodzianie nasz arlekin i on wprowadził na wielką salę kuligowy orszak. Na progu przy drzwiach roztwartych, trzymając na tacy chleb i sól, sędziwi skarbnikostwo powitali z gronem rodziny swojej oczekiwanych gości. Starosta rzucił się w objęcia skarbnika i dwaj nad grobem stojący starcy radość swoją tylko łąką serdeczną świadczyli, bo ze wzruszenia słowa przemówić nie mogli.

Muzyka kuligowa zabrzmiała, odpowiedziała jej kapela, wcześniej widać przygotowana, lecz w oranżeryi dotąd ukryta przez skarbnika. Radosny wykrzyk dowodził wesela wszystkich.

Pan Jacenty już przebrany ukazał się w sieni, gdy arlekin porwał go za rękę i wciągnął do bocznej alkowy. Wszedłem za niemi. Kiedy przywódzca kuligu zdjął maskę, poznałem dopiero w arlekinie Piotra, akademika Warszawskiego, którego zwano zwykle *Skoczkiem* dla zgrabności w tańcu i lekkości. Był to także krewniak daleki starościny.

— Ach! mój Jacusiu, mówił oddychając całą pierśią, ledwo żyję. Czy wiesz, że mało mnie te bestyje nie pożarły na drodze. Ocalenie moje winienem jedynie rączności dzielnego jednochodnika i przytomności małego Januszka, co nim kierował. Kiedy wspomnę sobie tę chwilę, to mróz czuję w kościach.

— Widziałem ich gromady, odrzekł Jacenty, i dreszcz mnie przeszedł, lubo ufałem w pochodnie i kagańce.

— Uważał pan Adam, żeś pan pobladł nieco, dodałem, gdy kazałeś w opłotkach gasić pochodnie.

— A zkadże wiesz o tém? zapytał chmurno nadleśny.

— Siedziałem w saniach państwa Adamostwa, obok woźnicy i słyszałem całą ich rozmowę.

— Było czego téż blednąć, mój chłopcze, mówił pan Jacenty, marszcząc brwi ponuro. Jak żyję i jestem myśliwym, takięj émy djabelskiej wilków zebranęj razem nie widziałem nigdy; ślepią ich błyszcząły w gęstęj puszczy, jakby gwiazdy rzucone z czarną chmurą na ziemię.

— Ach! mój Jacusiu, mówił Skoczek, już u mnie była dusza na ramieniu. Wyobraź sobie: na gościńcu mały Januszek kręcił głową, bo poznał gęsty trop wilków; ale zaledwie zjechaliśmy na drogę do Mieszkowa, stanął w sankach i rzekł do mnie zcicha: „Trzymajmy się krzepko w saniach, bo jeżeli nie uratuje nas białonózka, to zjedzą nas bestyje.“ Myślałem, że chłopak żartuje, ale spojrzawszy wokoło, zadrżałem, kotłowało się tylko w zaspach śniegu od rozrzuconych gromad wilków, co zbierały się w jedną chmurę. Januszek nacisnął czapę, świsnął i potrząsnął lejcami, a białonózka jak wiatr pomknął. Droga jak po stole, to téż lotem sokoła przelecieliśmy pod opłotki wiejskie, zanim nam wilcy mogli zastąpić. Kiedy wpadliśmy do wsi, byliśmy obaj spoceni do nitki, nie mówiąc już o dzielnym białonózce. Januszek wstrzymał konia, przeżegnał się, a odwracając głowę: „Patrz pan, zawołał, i przelicz gromadę tych bestyj.“ Zajechaliśmy do karczmy: parę kieliszków anyżówki dopięro przywróciło mi zmysły. Zmrok już zapadał, co prędzej wjechaliśmy na podwórze, nie uważając, że dwór cały jaśnieje od rześistego światła. Zwy-

czajem dawnym zrzucam niedźwiedzie, wpadam na salę, zaczynam skakać po krzesłach i stołach, krzyząc: „Kulig, kulig jedzie.“ Za odpowiedź jak utnie kapela krakowiaka, to ja w nogi i na sanie, zamiarkowawszy, że skarbnikostwo już wiedzieli o naszym najeździe, ale nie wracałem już do was, tylko napowrót do karczmy. Dopiero z Januszkiem zaczęliśmy o was myśleć. Chłopak dodawał mi nadziei, że tak liczny kulig nie zaczepią wily, że tam będzie pewnie pan Jacenty.

W tę chwilę kapela zabrzmiała poloneza Kościuszki, wszyscy ruszyliśmy do sali.

Na czele długiego szeregu par stał pan skarbnik, wiodąc za rękę starościny; w drugiej parze postępował starosta ze skarbnikową. Dwaj ci sędziwi starcy z poważnymi matronami, wiodąc rej w tym Polskim tańcu, stanowili główną jego ozdobę. Przybrani w granatowe kontusze, w perłowe żupany i bogate srebrem i złotem przerabiane pasy, postępowali wolnym krokiem w takt tańca, a za nimi w ich tropy rozwijał się długi korowód par statecznych i młodzieży.

Aby poznać całą powagę i piękność tego tańca, którego tradycją coraz bardziej zatracamy, trzeba było widzieć naszych starych kontuszowców, z jaką gracyją wiedli swoje damy; z jakim uszanowaniem pochylali siwe głowy przed niemi, gdy zataczali kołem w inną stronę; z jaką energiją i życiem przytupywali w taktowym, posuwistym chodzie; z jakim wdziękiem i z jaką składnością to ujmowali się pod bok ręką, to pokręcali sumiastego wąsa, z jaką wreszcie *attencyją* i *rewerencyją* tanecznicę swoje odprowadzali na miejsce i dziękowali

ucałowaniem ich rączek, że raczyły towarzyszyć im w tańcu.

Na dany znak umilkł polonez. Starosta ze skarbnikiem i z podżyłymi przyjaciółmi i krewniakami przeszli do bocznego pokoju, gdzie na tacy zastawiono kieliszki i butelki opleśniałe z węgryzmem; starsze wiekiem matrony pozostały w sali, patrząc na wesołą młodzież, jak się zabierała do ochoczych tańców.

Kulig miał dawniej do siebie przywiązane pewne tylko tańce: do nich należał polonez, mazur, oberek, krakowiak i drabant. Znane i upowszechnione u nas wówczas, jak: walc, kotylion, anglez i kontredans wywołane były ze Staropolskiego kuligu.

W gronie gości skarbników, których zastaliśmy w ich domu, zwróciła uwagę moją postać poważnej matrony, lat może czterdziestu, ale czerstwój jeszcze i dorodnej. Przy niej nieodstępną towarzyszką było młode dziewczę, lat 16, z anielskiem spojrzeniem i uśmiechem. Uważałem, że pan Jacenty ciągle towarzyszył tej parze, bawił rozmową poważną damę, a z wielkiem wzruszeniem spoglądał na piękną panienkę.

Korzystając z chwili, gdy wyszedł do bocznego pokoju, zapytałem:

— Kto to jest, panie Jacenty, ta dama i ta śliczna panna?

— Starsza, *panna-wdowa*, a ten śliczny, jak dobrze mówisz, aniołek, to panna Hanna, córka kapitana, co w sąsiedztwie mieszka. Ale chodźmy na ganek, noc pogodna i jasna; ochłodzę się nieco po tańcu.

Rzeczywiście noc była przecudna; blask księżycy jeszcze jaśniej odbijał od białego śniegu; puszcza ciemna nabrała jakiegoś jaskrawego połysku: to szron zawie-

szony na gałęziach sosen promienie księżycy brylantowemi odbijał ognikami.

— Patrz tam, rzekł Jacenty, na prawo, już w czystém polu, na tém wzgórzu ocienioném wieńcem gęstym starodrzewu; to dwór w Dębowej-Wólce kapitana, ojca tej panienki, a na uboczy drewniany kościółek ubogijej parafii.

— Czy kapitana tu nie ma w naszém gronie?

— Nie, żona nieco słaba, wysłali córkę z krewną swoją, panną Brygidą.

— Dlaczegożeś mój Jacusiu, nazwał ją panną-wdową?

W tę chwilę kapela zabrzmiała dziarskiego mazura. Zerwał się pan Jacenty.

— Zamówiłem kapitanównę; po tańcu wszystko ci opowiem.

Wróciliśmy na salę.

Trzeba było widzieć, jak on tańczył mazura z piękną Hanną. Słynął też niedarmo na całą okolicę. Trudno dziś zobaczyć równie energiczny, dziarski i rycerski taniec, jakim bywał mazur w owe czasy. Teraz młodzieniec z hardą i zuchwałą miną dzielnie się zwija, ale mniej dba o swoją tancerkę, sam sobą zajęty; dawniej tancerz rozwijając całą dzielność mężką, na chwilę nie spuścił z oka swęj towarzyszki. Kiedy z miejsca poskoczył z wydatną piersią, z głową podniesioną, wznośząc lewą rękę w górę, uderzając podkówkami silnie, aż okna zadrżały, to jakby z całym zapalem uderzał w otwartym boju na nieprzyjaciela.. Ale po chwili, gdy spojrział na swą tanecznicę, co drobnemi nóżkami podążała w jego ślady, to już od jęj oblicza, od jęj postaci nie odwracał oczu. Po pierwszym junackim ruchu zwraca

całą troskliwość na miłą a piękną towarzyszkę, wiedzie ją z wdziękiem, staje, pochwyca w pól, a ona wokoło niego okręca się, jak bluszcz zielony około dębu silnego, gotowego do łamania się z burzą życia i losów nieprzyjaznych.

Zawiodło dwanaście par wielkie koło i skończył się mazur.

Jacenty usiadł zmęczony w końcu sali przy mnie, a odetchnąwszy swobodnie, tak ciągnął dalej przerwane poprzednio opowiadanie.

— Dziwiłeś się, żem pannę Brygidę, opiekunkę kapitanówny, nazwał wdową. Opowiem ci jęj krótkie a smutne dzieje. Jest to krewniaczka daleka kapitana, była zaręczona z jego rodzonym bratem starszym, panem Janem. Dzień ślubu już był oznaczony, kiedy go dawni towarzysze broni wezwali do legijonów Włoskich. Pan Jan, dawny z Kościuszkowskich czasów wojak, stanął przed swą narzeczoną smutny i blady, pokazał wezwanie i jedno tylko wyrzekł słowo: „jadę.“

— Jedź, o jedź mój drogi, przemówiła drżącym głosem młoda wówczas i piękna Brygida; ale chodźmy może raz ostatni wysłuchać razem mszy świętej!

Właśnie dzwonek z drewnianego kościołka, który ci pokazałem, wzywał wiernych do modlitwy. Klęcząc przy wielkim ołtarzu, wysłuchali nabożeństwa, a sędziwy proboszcz, uwiadomiony o powodach ich rozłączenia, pobłogosławił pochylonych ze łzami u stopni ołtarza.

— Ja ci przysięgam, Janie, że będę czekać twego powrotu i że innego nie będę żoną.

Wojak podaną rękę ucałował, a ściskając ją, wyrzekł wzruszonym głosem:

— A ja przysięgam, że będę ci wiernym do śmierci!

Dosiadł konia i wkrótce znikł z oczu Brygidy.

Odtąd wiele lat upłynęło, rzadkie o wojaku przynosząc wieści. W boju, wszędzie narzeczony panny Brygidy odznaczał się dzielnie, został szefem batalijonu, a potem..... zginął w górach Włoskich, w wyprawie partyzanckiej.

Kiedy kapitan ciężko ranny powrócił do rodzinnej wioski, na samotnym ganku skromnego dworu ujrzał stojącą Brygidę.

— Twój Jan zginął, jak na mężnego przystało. Oto po nim pamiątki, które ci składam.

I doręczył jej krzyż legii honorowej, krzyż Polski i szlifę skrwawioną.

— Te szlifę zmaczałem we krwi jego; ostatnie słowa, które wymówił, były: ojczyzna i twoje imię!

Brygida upadła na kolana i przyjęła te pamiątki jak drogie relikwije.

Kapitan wtedy wyrzekł ze łzami:

— Miałaś być moją bratową, Bóg inaczej rozporządził, ale przyjął wasze śluby. Oboje, wierni przysiędze, dotrwalicie razem. Powstań Brygido, odtąd uważam cię jako wdowę po moim bracie!

— Tak, jestem wdową! odrzekła.

I pozostała wierną pamięci swego Jana!

Pan kapitan się ożenił. Po urodzeniu Hanny, Brygida ją wykołysała, a dziś razem z matką czuwają nad nią troskliwie, jak nad pięknym a wątłym kwiatkiem.

Z czcią i uwielbieniem patrzyłem odtąd na panią Brygidę.

Trzy dni trwała wesoła zabawa. Powtórzyła się tu znowu scena bandy Cyganów, tylko już pan Jacenty nie przedstawiał niedźwiedzia, bo zastąpił go jeden ze

zwinnych parobczaków folwarcznych. Przybył do téj bandy jeszcze tur i żuraw' z gromadą wiejską, która po odśpiewaniu pieśni kolędowych hojnie uraczoną została.

Na czwarty dzień *Skoczek* przebrany za arlekina, pod wieczór wyruszył swojemi saneczkami do dworu państwa kapitanostwa z zapowiedzeniem kuligu. Mieliśmy bowiem nazajutrz napaść ich skromny dworek.

Kiedyśmy oczekiwali z utęśchnieniem jego powrotu, w miejsce Skoczka naszego zajechał stary wiarus Maciek, i zatrąbiwszy na pobudkę wojskową, na której odgłos wszyscy wypadliśmy na ganek, wręczył panu skarbnikowi pismo w formie urzędowej z wielką pieczęcią.

Pismo na wielkim arkuszu było téj treści:

„Ja niżej podpisany z polecenia JW. Starosty i Skarbnika, przybywszy do dworu Wielmożnego Kapitana, wedle przyjętego zwyczaju, po wyskoczeniu z sanek wbiegłem do pierwszego pokoju i zacząłem krzyżeć: kulig! kulig! Ale kiedy po skończeniu mojej missyi chciałem wrócić do sanek, Wielmożny Kapitan z gołą szablą zastąpił mi drogę i kazał się poddać, oświadczając, że bierze mnie *w jassy*! Tak mając do wyboru śmierć lub niewolę, wybrałem ostatnią. Siedzę w lochu pięć sążni głębokim, wilgotnym, zagrożony głodem, gdyż postawiono mi kubek wody i wiązkę siana! Wzywam prędkiej pomocy Prześwietnego Kuligu, ażeby raczył wyzwolić z ciężkiego *karceresu* wiernego

Skoczka arlekina.

Pan Jacenty po przeczytaniu tego pisma zawołał groźnie:

— Starego Maćka porwać jako zakładnika i związać, a jeżeli nie wróci zaraz *Skoczek*, powiesić na lipie!

— To parlamentarz, nietykalna jego osoba!

— To poseł od sąsiedniego państwa, ktoś zawołał, a drugi dodał:

— Co on winien? Poseł, to jak osieł, co na niego włożą, to dźwiga.

Pan skarbnik dobył dukata obrączkowego i wsunął go w rękę siwego Maćka; pan starosta dodał drugiego. Kobiety obstały go kołem i prosiły, ażeby nie zamorzono biednego Skoczka.

— Ma się on tam zpyszna, odrzekł z uśmiechem Maciek, dosiadł sanek, a po otrąbieniu pobudki odjechał szybko.

Nazajutrz rano wyruszyło kilka sań ładownych dobrze w stronę dworku kapitana z kucharzem i kuchtami. Sterczały z nich baryłki wina, miodu i wystawego piwa, trzy sarny, dwa dziki, a ptastwa dzikiego i swojskiego co nie miara.

Przy zmierzchu wieczornym ruszył nasz kulig cały, powiększony gronem rodziny skarbników. Pani Brygida z Hanną już od dwóch dni wyjechały.

W mgnieniu oka przesunęliśmy się po ubitej drodze, ale zaledwie wjechaliśmy w opłotki, huk wystrzałów z moździerzyka i ręcznej broni odbił się głuchym echem w ciemnej puszczy.

Na ganku oczekiwali już kapitan, pani Brygida i Hanna. Kapitanowa nieco słaba pilnowała naszego więźnia. Starosta ze skarbnikiem uściskali serdecznie wszystkich i prosili o uwolnienie Skoczka.

— Złożyliśmy już haracz należny, mówił skarbnik. Jako mieszkańcy puszczy, nie mamy złota ni srebra.

Dlatego proszę przyjąć trofea myśliwskie i miodek z naszej leśnej pasieki.

— A czy to się godzi, mości skarbniku, tak ubogą moją chatę obsypywać!

— Chodźmy zobaczyć, czy żyje jeszcze nasz uwięziony arlekin.

— Prosimy! prosimy.

I weszliśmy do wielkiej izby; za stołem siedział nad resztkami pieczeni huzarskiej dobrze podpojony i śpiący Skoczek: wypróżnione dwie opleśniałe butelki po węgryźnie stały przed nim. Sędziwa kapitanowa z macierzyńską troskliwością ocierała pot kroplisty z jego czoła. Stał jednak przy nim i kubeł wody i leżała wiązka siana. Pan Jacenty, stanąwszy przed śpiącym załamał ręce niby z rozpaczą i rzekł:

— Otóż przyszedł ci koniec, dzielny nasz towarzyszu! Śpij, śpij spokojnie!

Kapitanowa przeprowadziła nas do saloniku od ogrodu.

Że bawiliśmy się ochoczo, że dokazywał wesoło Skoczek rozbudzony, nie potrzebuję dodawać. Dwa dni były przeplatane to radosną pohulanką, to chwilowym spoczynkiem.

Pan Jacenty tańczył tylko z panną Hanną — nikt do niej dobić się nie mógł. Trzeciego dnia, kiedy już sianie nasze zajechały, kapitan na klęczkach uprosił do pozostania jeszcze dzień jeden. Skarbnikowa i starości na pierwsze mu przyrzekły, że zostaną, reszta drużyny poszła za ich przykładem. Jacenty zacierał ręce z radości; śnać spodziewał się jakiegoś szczęścia dla siebie.

Po sutym obiedzie, kiedy wniesiono puhar staro-

świecki, starosta, napełniwszy go, powstał, a prosząc o głos, w te odezwał się słowa:

— Mościwi, a mnie wielce miłościwi panowie bracia i przezacne damy! Używając w domu tym szanownym takięj Staropolskięj gościnności, pozwolicie, że wnoszę i powtórzę raz jeszcze zdrowie gospodarstwa, ich dorodnej córzy i zacnej pani Brygidy!

— Niech żyją! zawołało do stu głosów.

— Pijąc zdrowie to szanowne, wspomnieliśmy o pięknej a dorodnej córce wielmożnych kapitanostwa...

Jacenty drżał cały od wzruszenia, zbladł i lży stanęły mu w oczach.

— Owóż dobra pora, jako baczymy, ażebyśmy wnosząc jęj zdrowie, wstawili się zarazem za naszym miłym krewniakiem, panem Jacentym, który oddawna stara się o jęj affekt i teraz przez moje usta prosi o jęj rękę.

Jacenty z głośnym płaczem upadł do nóg kapitanostwa.

— Pewnym będąc approbaty, projektuję, abyśmy dziś pozostawszy, zaręczyny młodej pary odbyli...

Kapitan hamując wzruszenie głębokie, wyrzekł tylko:

— Na tak poważne życzenie z chęcią się z moją żoną zgadzamy.

— Vivat! zawołał starosta ze skarbnikiem, vivat! powtórzyło uradowane całe koło.

Przyniesiono pierścionki na tacy, ksiądz proboszcz miejscowy, co pobłogosławił Brygidę i Jana przed laty, poświęcił je; radość Jacentego była nie do opisanania.

Kiedy młodzież hulała rażno i wesoło, w bocznej alkowce siedzieli starosta, skarbnik i kilku poważniej-

szych. Kapitan dolewał starego węgryzna w opróżnione kieliszki. Zajmująca gawęda tych starców, co pamiętali tak dobrze dawne czasy i sami mieli w nich udział nie-mały, przywabiła mnie do ich grona.

Wspomniano Konfederację Barską. Gospodarz dał znak chłopcu, ten przyniósł szkatułkę, a z niej kapitan wyjął skrzypce swoje.

— Panie starosto! mości skarbniku, posłuchajcie, zagram wam piosenkę dobrze wam znaną. Grywałem ją we Włoszech i śpiewaliśmy ją razem z Janem w wigili-ją śmierci jego!

I pociągnął smyczkiem, tęschne a rzewne tony poruszyły obu starców. Kapitan jakby nie zważając na ich wzruszenie, wtorował sobie słowami, z których dosłysza-łem tylko te trzy wiérse:

„*Drewiczowe* nogi
 „Już nie będą przestępować
 „Pułaskiemu drogi!

Skarbnik i starosta porwali się z miejsc swoich ręce ich prawe spoczęły nagle na lewém biodrze, jakby szukały rękojeści szabel, ale zaraz rzucili się w objęcia wzajemne i głośno zaszlochali.

O był to widok, który się zachowuje wiernie do grobu w pamięci! Płacz starców roztkliwił wszystkich obecnych. Padały łzy kapitana gęstymi kroplami na skrzypki, a on grał, dopóki nie dograł piosenki całej.

Tak się skończył kulig Staropolski!

W wiele lat potém konno w roku 1831 przeby-wałem tę okolicę. Dwór wspaniały skarbnika stał w pło-

mieniach, wioska pusta: przeszła tędy straszna pożoga wojenna.

Starostwo oboje, równie jak skarbnikostwo oddawna spoczęli w grobie. Niedługo ich przeżyli kapitan z żoną.

W tym samym dworku *Dębowej-Wólki* mieszka Jacenty z ukochaną żoną: dziatwa dorosła, trzech synów i dwie córki; wszystko żonate, zamieszkało w innych stronach Królestwa. Tylko pani Brygida, przeszło osiemdziesięcioletnia matrona, jeszcze modli się w tymże samym kościółku drewnianym, na tych stopniach ołtarza, gdzie ślubowała miłość i stałość walecznemu legijoniście.



The first part of the paper discusses the importance of the
second part of the paper discusses the importance of the
third part of the paper discusses the importance of the
fourth part of the paper discusses the importance of the
fifth part of the paper discusses the importance of the
sixth part of the paper discusses the importance of the
seventh part of the paper discusses the importance of the
eighth part of the paper discusses the importance of the
ninth part of the paper discusses the importance of the
tenth part of the paper discusses the importance of the

STARY WIARUS.

STARY WIAJUR

Znikają coraz tak w kraju naszym jak i w Warszawie te wyraziste postacie starych żołnierzy Polskich, którzy przybrali właściwą a wyłączną sobie nazwę *starych wiarusów*. Każdego z nich czyto oficera, czy żołnierza rozpoznasz na pierwszy rzut oka. Zwykle postaci wyrostłej, smukłej, pomimo szronu wieku i lat z nasypką kopy wyprostowanej jak sosna. Twarz czerstwa, oblicze nieraz oprócz zmarszczek poorane bliznami szabli, bagneta, lancy lub karabinowej kuli. Spojrzenie śmiałe, ruchy swobodne i dziwnie szlachetna powaga. Wielu przechowało pamiętkę pierwszych lat Napoleona Igo, kulczyk w uchu, którym się jakby cechowali Legijoniści nasi, a następnie i wielu z wojsk Księstwa Warszawskiego.

Są to ostatnie ogniwa dogaszające, co wiązą wspomnienia jeszcze Rzeczypospolitej naszej z dzisiejszemi czasami. W ich to bowiem zastępie szczuplejszym rok

rocznie miałeś wojaków, zaczawszy od tych, co walczyli pod Kościuszką, zabytki z legijonów Włoskich, z armii Księstwa Warszawskiego, a w ostatku Królestwa Polskiego. Tę różnorodność starych wiarusów określił Lucyjan Siemieński w jednej ze swych opowieści:

Kiedy bywało wystąpią Rejmenta,
 Że aż strach spojrzeć, same stare *wygi*;
 Ten Pułaskiego ruchawkę pamięta,
 Ów kresę dostał nad brzegiem Adygi!
 Tego zna Egipt, owego przekłeta
 Ziemia Murzyńska, kędy rosną figi:
 Zgoła na twarzach miałeś jeografią!
 Oho!... dzisiejsi tego nie potafia!

Charakterystyka tych dzielnych ludzi godna uwagi i bliższego zbadania: w niedługim bowiem czasie śladu po nich żywego nie pozostanie na ziemi naszej.

Kiedy *stary wiarus* u nas powstał, łatwo ten czas oznaczyć: bo początek jego sięga r. 1797.

Pierwsze ich szeregi w legijach Włoskich wypełniali już Konfederaci Barscy, wojownicy z pod chorągwi Kościuszki, a następnie młodzież z całych obszarów starożytnej Polski. Dziesiątkowani w morderczych bojach to we Włoszech, to w szczątkach zaledwie powróceni z zabójczej wyprawy na *San Domingo*, na nowo zmarłychwstały liczne znów zastępy tak z młodzieży krajowej, a więcej jeszcze z Polaków, służących w wojsku Austryjackim.

Te legijony następnie wsiąkły w armię wojsk Księstwa Warszawskiego, które w większej połowicznie zginęły w wyprawie 1812 r., reszta przeredzona w krwa-

wych bojach, zaledwie w małej części powróciła do ojczyźtęj ziemi.

Stary wiarus przeto przeszło przez lat 30 odbierał wychowanie obozowe: a większa część wbiegła pod nowe chorągwie; byłato młodzież, co tylko miała piérwsze początki nauk w domu lub opuszczała szkolne ławki przedwcześnie. Twarda szkoła obozowa, ustawne marsze, walki niemal codzienne bez odpoczynku dłuższego, hartując owęj młodzi siły i zdrowie, nauczały lepiej niż z książki nauki życia i doświadczeniem rozwijała umysł, który się dzielniej wykształcał i prędzej dojrzewał, jak w zwyczajnym pożyciu domowym i szkolnym. Ztądto w legijonach Włoskich, następnie w armii Księstwa Warszawskiego i później zjawiło się tylu zdolnych w kwiecie wieku wojowników: ztąd z prostych kmieci Polskich wyszło tylu odznaczających się wyższych nawet oficerów.

Mundur wtedy równał stany: waleczność, odwaga i zdolności otwierały jednakowo każdemu wrota do zaszczytów i chwały. Wyobrażenie wysokie, podniesione do poezji, honoru wojskowego wielce uszlachetniało naszych wiarusów. Przywiązanie do chorągwi pułkowej było nad wszelki wyraz: dla nięj i za nią szedł wszędy, mniej bacząc na trudy, gotów w każdęj chwili oddać krew i życie własne w ofierze.

Lubo armija Francuzka Napoleona głównie się brakiem religijnego uczucia odznaczała, wódz ten zastąpił je wszczępieniem do ideału posuniętego wojskowego *honoru*. Ideałem tego honoru, który schlebiał miłości własnej, godził rozmaiłość narodowości w swojej armii i kierował dla własnych widoków. Wszakże żołnierze Polscy wynieśli z chat słomianych chłopskich,

jak z dworków szlacheckich, przez matki Polki zaszczone w młodych, w dziecinnych latach, uczucie religijne. Wybiegli oni z nich z pacierzem, z modlitwą i pieśnią nabożną niejedną, jak i piosnkami światowemi, które wówczas upowszechnione były. Te im słodziły chwile tęsknoty po trudach wojennych, a pacierz i modlitwy były pociechą, gdy zagrażało niebezpieczeństwo, gdy w niewoli długie dnie i lata przebywać musieli.

Wszyscy niemal starym obyczajem nosili szkaplerze od matek włożone: w morderczych walkach w Hiszpanii niejednego szkaplerz taki ochronił od śmierci, jak modlitwa ocalała życie.

Przykładów na to nam nie brakuje, bo są bardzo liczne. Jeden z naszych wiarusów złamany chorobą, przy nagłym marszu zostawiony w domu Hiszpańskiego wieśniaka, przeczuwał, że w tej ziemi, w samej sile wieku, złoży kości swoje. Przecucie to wprędce się ziściło: następnej nocy napadła banda gierylasów: łatwo odkryli schronienie żołnierza tej armii, którą wytępić poprzysięgli. Wpadło kilku z nich do chaty, obdarli z niego okrycie i już chcieli go zamordować, gdy ujrzeli szkaplerz, który w tej chwili nasz wiarus do ust przyciskał. Na ten widok ochłonęli z wściekłości, okryli go odzieżą napowrót i żadnych nie dopuszczając się zniewag, w spokoju go zostawili. Odtąd rodzina wieśniaka z całą nad nim czuwała troskliwością, a gdy sił nabrał i odzyskał zdrowie, sam go gospodarz odwiózł do forpoczty Francuzkich.

Drugi rodem z nad Pilicy, z patrolem zostawał w jednym z zamków granda Hiszpańskiego. Gierylasy i służba czekali tylko nocy, aby wszystkich wymordować zdradziecko. Nasz wiarus wpół wieczór usłyszawszy

dzwon kaplicy zamkowej, ukląkł w zaciśy i serdecznie odwoił: *pod Twoją obronę*. Przyszła noc, sen kleił mu powieki, zdrzymał się chwilkę, gdy nagle poczuł się pochwyconym, silnie skrępowanym i usta zawiązane chustą, by żadnego krzyku nie wydał. Pewnym był ostatniej godziny życia, gdy nagle ujrzał przed sobą poważną matronę, która kilka słów przemówiła do służby. W okamgnieniu rozwiązano mu ręce, zdjęto chustkę, a ta sama pani wyrzekła doń te słowa: które, umiejąc już język Hiszpański, dobrze zrozumiał: „Widzę, żeś katolik dobry, widziałam cię z okna zamkowego, jakieś się modlił, gdy głos dzwonu wezwał wiernych do modlitwy. Idź w pokoju, jesteś wolny, a nie pytaj o swych towarzysów.“ Wybiegł z izby przez okno i drzwi otwarte przy latarniach jakby umyślnie zostawionych, ujrzał w bocznej oficynie ciała swoich towarzysów, zbroszone we krwi: przejęty strachem i grozą, uszedł co rychłej z tego zamku.

Zaszczytny tytuł *starego wiarusa* nie lekko i łatwo przychodzi; ażeby go uzyskać pomiędzy współtowarzyszami broni, oprócz odznaczenia się w boju odwagą i zimną krwią musiał pokazać pewną wyższość czy moralną, czyto siły fizycznej, czy zdolności wojskowych, wielkiej przytomności umysłu, a nieraz dowcipu. Każdym z tych przymiotów zyskiwał miłość i poszanowanie u swych towarzysów, a gdy wspomniano go, zaraz koledzy odzywali się jednogłośnie: „*to tęgi wiarus! to stara wiara!*“

Oficerowie nasi w najtrudniejszych zdarzeniach nieraz otrzymywali niespodziewaną radę skuteczną lub pomoc od takiego starego wiarusa.

Przywiedziem tu parę przykładów:

W początkach Księstwa Warszawskiego od r. 1808 do 1811 zaczęto brać Żydów do wojska. Józef Pluciński, porucznik, stał właśnie z kompaniją w jedném z naszych miasteczek, gdy rano wbiega do niego podporucznik, towarzysz jego, zaperzony, pomieszany i rzucający się na sofę, zawołał:

— A kolego! już dłużej nie wytrzymam, oszaleję, dalibóg oszaleję.

— I cóż się stało? Może ci kochankę porwano? może rodzice nie chcą już płacić dłużków? co?

— Kiedy bo ciebie się żarty trzymają, a ja tu zmęczony, zgniewany, mało mnie djabli nie biorą.

— No! gadajże kochany trzypocie.

— A to bieda z temi Żydami, utrapienie! ucz, pokazuj, wszystko napróżno, jakoby groch na ścianę rzucał.

— Dawna piosnka, codzień słyszę to samo, przestałbyś marudzić, a lepiej wziął się do pracy.

— Alboż się jeszcze mało napracuję? Niechno by ci kazano uczyć musztry Żydów, dopióro byś zobaczył! Z niemi i sam djabeł do końca nie trafi. Tyle się namęczyłem, nimem ich jako tako maszerować i robić bronią nauczył, dzisiaj ot nowa bieda; chcę ich uczyć strzelać, a ci strzelać nie chcą: przemawiam, rozkazuję, grozę, wszystko daremnie, nie chcą i nie chcą.

— Jakto nie chcą, a od czego subordynacyja? kiedy nie chcą, to ich zmusić do tego.

— Łatwo powiedzieć, ale jakże zmusić, kiedy na sam widok prochu drżą ze strachu, boją się dotknąć panewki. Zmiłuj się, pójdź, zobacz, może co poradzisz.

I pociągnął z sobą Plucińskiego, zmierzając ku miejscu, gdzie się odbywała owa musztra Żydowska.

Zabawna to była zaiste scena patrzeć na biednych Żydków, jak się pocili ze strachu, gdy im młody podporucznik kazał broń nabijać i strzelać. A gdy mimo kilkukrotniej komendy żaden z nich nie odważył się dać ognia, zniecierpliwiony przyskoczył i stojącemu z brzegu pociągnął za cyngiel. Rozległ się strzał, lecz zarazem i trzymający karabin Żydek, wrzasnąwszy *aj waj!* padł jak długi na ziemię.

— No i cóż tu z temi tchórzami robić? — krzyknął podporucznik, załamując z rozpaczą ręce.

Ej! głupstwo! nie ma nad czém suszyć głowy, jakby to co wielkiego tych kpów nauczyć strzelać.

Temi słowy odezwał się stary wiarus, stojący na boku i przypatrujący się bacznie niefortunnym usiłowaniom podporucznika: mowa ta ubodła miłość własną jego, że aż podskoczył oburzony przymówką wiarusa.

— O tak! tak! u was starych legijonistów to wszystko fraszka, wyście wszystkie rozумы pojedli, my młodzi nic nie umiemy zapewne!

— Ale z przeproszeniem, niech się pan podporucznik nie gniewa, bo Bóg mi świadkiem, nie chciałem pana obrażać: korciło mnie tylko widząc, że W. pan z tém tałatajstwem nie możesz dać rady.

— A ty dałbyś radę?

— Czemu nie? — odparł poważnie wiarus, pokrecając wąsa!

— Słuchajno stary, ze mną drwin nie masz, trzymam cię za słowo! podejmiesz się więc nauczyć tych Żydów strzelać?

— Choćby jutro zaraz.

— O zakład?

— O zakład!

— Dobrze! stawiam pięć dukatów, jeżeli dokażesz... a jeżeli nie, to co?

— To skórą własną odpowiem, dam sobie wyliczyć dwadzieścia kijów. Czy zgoda panie podporuczniku?

— Zgoda!

Nazajutrz stawił się wiarus, a odebrawszy pod swoją komendę owych rekrutów Żydowskich, pomaszewował z nimi na pobliską łąkę. Snać stary wyga zmówił się był ze swojemi *kamratami*, bo kilku z nich z bronią na ramieniu czekało go już na łące. Co tylko żyło, pobiegło, aby być świadkiem, czyja będzie wygrana. Stary wiarus uszykował Żydków, kazał im robić bronię i szło to dość składnie; ale gdy zakomenderował tuż! cel! pal! ani rusz dalej, Żydki sza, jakby ogłuchli, nie myśleli i słuchać nawet.

— Aha! a co? kuso będzie z waszeczją! wykrzyknął tryumfująco podporucznik.

— Cierpliwości! odrzekł spokojnie wiarus, a obracając się do swych kamratów, co to już na niego byli czekali na łące:

— Hej bracia! — zawoła — pójdźcie no do roboty.

Środkiem łąki wiała się mała, ale bardzo głęboka rzeczka, przez którą zarzucona była wążka kładka. Po obu stronach zajęli miejsca żołnierze. Wiarus zakomenderował marsz! i wprowadził Żydków na kładkę.

— No! a teraz bacność na komendę! strzelać mi gładko, równo. A wy kochani koledzy, — rzece obracając się do żołnierzy — patrzajcie a dobrze; jak mi który z tych Żydków skrewi i nie da ognia, to go kolbą do wody.

I o dziwo! musztra poszła jak z płatka: Żydzi strzelali wybornie, strzelali więcej godziny, żaden z nich ani zemdlał, ani drgnął nawet. Rzeczka była głęboka, a nasi wojacy nie mieli ochoty próbować niebezpiecznej kąpeli.

Stary wiarus wygrał zakład: w dodatku podporucznik wyprawił sutą ucztę, na której tak go uraczono, tyle spełniono wiwatów, że się aż stary jak bóbr rozplakał.

W pułku 12 piechoty wojsk Księstwa Warszawskiego był 50 letni legijonista *Jabłoński*, z zaszczytnym tytułem *piérwszego grenadyjera*. Kiedy dywizyja generała Dąbrowskiego po oblężeniu Gdańska ruszyła szybkim marszem ku *Friedlandowi*, znalazła całą okolicę zniszczoną. Płomień zamienił w gruzy wsie i miasta: wśród pośpiesznego pochodu głód dokuczać zaczął, nie było do czego rozpalać ognia. Stanęli żołnierze, by spocząć po całodziennym marszu w dniu skwarnym. Równy ze świtem wojska ruszyły z noclegu: pułk 12, zmęczony pochodem i głodem, leżał prawie bezwładny, gdy rozkaz przybył, aby stawać do marszu. Oficerowie powstałi, zachęcając do drogi żołnierzy, a ci błagali prawie liłości, prosząc o chwilę jeszcze spoczynku. Dowódca pułku nie wiedząc już sposobu poruszenia żołnierzy, woła Jabłońskiego na bok i mówi mu:

— Widzisz, że już korpusy ruszają się, a my jeszcze jesteśmy na miejscu, przemów ty do swoich kolegów, bo ja już nie mogę nic więcej powiedzieć, widząc ich tak osłabionych.

Jabłoński zbiera siły, bierze na siebie tornister i broń w rękę, a stukając o ziemię kolbą, woła:

— No! kamraci! cóż to do milion kroć sto tysięcy batalijonów, czy nie wstaniecie?

A gdy widzi bezskutecznym i swój przykład i wzwanie, dodaje:

— No! kiedy tak... to ja, chociaż stary jestem, bo mógłbym być waszym ojcem, to was będę po jednemu przenośli.

Mówiąc te słowa, bierze za rękę dobosza, małego chłopca, na tornister go sobie zasadza i udaje się drogą ku Friedlandowi.

Z początku powstał śmiech ogólny, ależ w tej chwili wszyscy jakby mocą czarodziejską poruszeni i wskrzeszeni nowemi siłami, powstali i poszli za nim.

I rzeczywiście głos starego wiarusa i jego przykład więcej nieraz działał, większy miał wpływ niż oficerów; ci też ubiegali się o to, aby w kompanii było zawsze kilku starój wiary.

Wieloliczne przykłady ich zdrowej rady, wielkiej przytomności umysłu i dowcipu nawet dają wymowne dowody, jak nieoceniony jest ów *chłopski rozum*, który jest jednym z najwydatniejszych przymiotów Polskiego chłopka. Wszystka *stara wiara* wyszła z pod strzechy chat wiejskich, odznaczając się świetnie w walkach Napoleona I, dochodziła nieraz stopni oficerskich i wyższych nawet, majorów i pułkowników. Znałem ich wielu i co za piękny przykład zostawili, że żaden z nich swego nie wstydził się pochodzenia.

Chłopek Polski, *Komorck*, za odznaczenie się świetnie doszedł do stopnia kapitana i mianowania kawalerem legii honorowej. Na jednym przeglądzie przed księciem Józefem Poniatowskim po kampanii 1809 r. kompanija, dowodzona przez Komorka, zyskała ogólne pochwały.

Książę, który go znał dobrze, nie mogąc dłużej ukrywać swęj radości, dziękował wszystkim oficerom, a wzięwszy go pod rękę, rzekł mu:

— Panie kapitanie! oddawna swojém honorowém postępowaniem zyskałeś mój szacunek i przyjaźń, oddawna chciałem ci powiedzieć to, co ci dziś powiem. Na polu walki dosłużyłeś się stopnia kapitana, odniosłeś kilka blizn chwalebnych i otrzymałeś krzyż legii. Dla mnie, dla tych, co cię bliżej znają, to dosyć, aby cię kochać i zostawać z tobą w zażyłości; ale dla świata to niedosyć, bo świat hołduje częstokroć nie zasłudze, cnocie, lecz czczym uprzedzeniom majątku lub urodzenia, a na tém ci właśnie zbywa. Familija twoja biedna, nieznaną, przyjm więc ode mnie radę jak od przyjaciela: porzuć rodzinne nazwisko, przezwij się Komorowskim, a ja ci wyrobię szlachectwo.

— Nie Mości Książę, odparł żywo nasz chłopek-kapitan, nigdy się nie rozstanę z nazwiskiem, które na świat z sobą przyniosłem, bo nie chcę, aby się tém szczycił Komorowski, na co sobie Komorek zasłużył.

Zdziwiony, ujęty, rozrzewniony tém ksiązę Poniatowski, z uwielbieniem uściskał Komorka. Współtowarzysze znaleźli w tym szlachetnym sposobie myśli nowy powód do szacunku dzielnego wojaka.

Stare wiarusy, tędry w boju, wyborni do porady nie pojowali znaczenia wyrazu, co to bojaźń: w obrzydzeniu i ohydzie mieli każdego tchórza. Biada żołnierzowi i oficerowi nawet, gdy w boju okazał tchórzostwo. Nie było obelgi, którójby nie doznał; a jeżeli uchoodził z pola bitwy w popłochu, stara wiara brała go na cel i posyłała za nim kulki: były wypadki, że od takich strzałów w ucieczce ginął, otrzymywał rany od własnych

żołnierzy. Szczęśliwy, jeśli uszedł cało. W takim przecie razie już nie mógł się w tym pułku pokazać.

Długie lata bojów i marszu, poznanie tyłu krajów hartowały ich ciało, równo jak rozwijały umysł i wzbogacały go doświadczeniem.

To też *stary wiarus* umiał sobie zawsze poradzić tam, gdzie głupiał rekrut i oficerowie młodzi tracili głowy. Nikt lepiej od niego nie wyszukał w głodzie żywności, nie zaopatrzył się wcześniej na wszelkie przygody. Stary wiarus wyszukał z pod ziemi, co zapotrzebował; dlatego oficerowie nasi nie mogli wychwalić dość ich przeczności i pomocy, jakiej nieraz doznawali.

Wyprawy Napoleona I nie straciły jeszcze cechy okrucieństwa: wypadki rabunku wsi, miast i fortec zdobytych nieraz się powtarzały. Kiedy po zdradzieckim wymordowaniu naszego patrolu generał Henryk Dąbrowski dał rozkaz do wzięcia szturmem *Tczzewa* (Dirschau) nad Wisłą, mieszkańcy wzięli udział w zaciętej obronie. Generał dozwolił rabunku przez dwie godziny. Zdobyto fortecę i nie obeszło się bez rozlewu krwi i gwałtów, bo żołnierz wszędzie mieszkańców znalazł uzbrojonych i walczących przeciw sobie. Strzały ich celne z okien, zaułków, z podwórzy, z dachów raniły i kładły trupem po ulicach. Rozbici wyginęli lub ujęci do niewoli zostali. Zaczęto rabunek: rekruci, aby otworzyć zamki, łamali bagnety u karabinów: stary wiarus odstąpił tylko kilka kroków, jak wyciął kulą w zamek, puszczał od razu. Dopadłszy piwnic z kufami, tym samym sposobem sobie radził i wystrzałem toczył z nich wino, porter i wino Angielskie. Kiedy rekruci chwyтали czepki i rupiecie cienkie, kobiece na *onuczki*, starzy wiarusy wybierali koszule i chustki, bo te im się zawsze zdały. Nawykało

z nich wielu do nadmiaru trunku, ale w czasie boju każdy z nich stawał trzeźwo, gardzili nawet opitym, gdy szli do bitwy: upojenie bowiem wtedy przypisywali tchórzostwu. Co godném uwagi, że stary wiarus zrzuciwszy mundur, odznaczał się trzeźwością: rzadki był przykład, aby od nałogu tego nie odwyknął. Znałem wielu, co pozostając w usługach później, czując więcej pociągu, zawsze ostrzegali swoich panów i brali na to pozwolenie, że muszą sobie podchmielić.

Nasz ulubiony poeta Kazimierz Brodziński miał przy sobie starego kanonijera, co często zaglądał do flaszki, przebaczał mu względny, pomnąc na jego przywiązanie. Trafną mu po pijanemu dał odpowiedź. Wracając raz z wieczoru, Brodziński długo dostukać się nie mógł, wreszcie przebudzony kanonijer zaczął drapać i macać po ścianie, nie mogąc do drzwi trafić, bo był dobrze podcięty.

— Ty! ty! pijaku, — zawołał zniecierpliwiony Brodziński, nawet do drzwi trafić nie możesz.

— Nicchno się pan tak jak i ja upije, — odrzekł żartobliwie wiarus, — a zobaczymy, czy łatwo do drzwi trafi.

W przeddzień bitwy było zwyczajem w armii Napoleona, że wojacy przybierali się czysto, jakby na uroczystość jaką. Ten zwyczaj zachowywali starannie stare wiarusy. Jeżeli mieli rekrutów pomiędzy sobą, a ci przywdziewali białe koszule, straszili ich wróżbą, że kładną śmiertelne *żgło* na siebie i zginą niezawodnie w boju.

Po doznanej klęsce młody żołnierz tracił przytomność, tém więcej gdy nie mógł iść *kupa*: stary wiarus doświadczony, wiedząc, że przemienny los boju, choć poszedł chwilowo w marudery, tak się umiał pokiero-

wać, że uniknął nie tylko niewoli, ale się bocznymi drogami szczęśliwie znów do swoich dostał. Umiał on, przyłożywszy ucho do ziemi, rozpoznać pochod jazdy od piechoty i rozróżnić głucho tętnienie ziemi pod kołami armat. Czujne oko jego bystrzym sokolym spojrzeniem zdawało dokładnie przedmioty rozpoznać umiało, czujny słuch objaśnił go w tym, czego wzrokiem nie przejrzał. Odważny, pełen otuchy i nadziei, w największym niebezpieczeństwie szukał najprzód ocalenia mężstwem i dzielnością; lecz gdy te widział daremne, w jednej chwili znajdował jeszcze sposób ratunku. Jeżeli los zrzucił, że dostał się do niewoli, wtedy chwilowo wpadał w rozpacz, ale tął swoją boleść i łzy nieraz rzewne. Wprędce godził się ze smutnym losem, dumnym szlachetnie okazywał się swoim wrogom i znosił z dziwną odwagą ich urągania, a nieraz pastwienie się nad sobą.

Stare wiarusy życie żołnierskie kochali i wielu było, co, dopóki siły starczyły, nie opuścili swojej chorągwi. Smutną ich była starość, bo po większej części, gdy nie znaleźli służby, szli w dziady na zebranie. Niedawne lata, kiedy Warszawa liczyła ich zastęp niemały, chodzących po ulicach miasta; dziś już spoczęli w mogiłach. Wielu z nich po upadku Napoleona, w sile jeszcze wieku, wróciło do dawnego zajęcia rolniczego, ochotnie w miejsce broni pochwycając pług i kosę. Tacy w każdej wsi odznaczali się wydatnie postawą żołnierską, prostą jak sosna, obejściem szlachetnym i wzorowym gospodarstwem. We wsi używali powszechnego szacunku; oni rej wiedli w karczmie, sadzani na pierwszym miejscu i przy wszelkich uroczystościach; ich zapraszała młodzież w swaty lub gospodarze w kumy. Zawsze staranni w ubiorze odznaczali się jego czysto-

ścią, bo stary wiarus dbał równie o swój sukman i buty, jak dawniej o mundur.

Charakterystycznym rysem starego wiarusa, a wydatnym była uległość, jaką dla swój żony okazywał. Wiadomo, że rzadkie u chłopów naszych małżeństwo, nawet najlepiej z sobą żyjące, żeby się choć raz w życiu nie pobiło. Jeżeli *kobieta* nie odważyła się bronić albo pierwsza nie uderzyła, to znosiła z pokorą razy rozgniewanego męża. Stary wiarus nigdy ręki zgrubiałej i silnej nie śmiał podnieść na swoją żonę. Znosił sam raczej cierpliwie w uniesieniu wyrzeczone jój słowa obelżywe, a nawet i razy, ale odwetu nigdy nie szukał, ustępując jój z oczu.

Na starém Podlasiu we wsi *Porosiukach*, nad rzeką *Krzyną* położonej, co oblewa ruiny zamku Radziwiłłowskiego w Białym, znałem *Stanisława Huczkę*, chłopka Rusina, co wzięty w rekruty, dosłużył się stopnia sierżanta i krzyża wojskowego. W sile wieku osiadł na ojcowskim zagonie; a piękny to był mężczyzna w całym znaczeniu tego wyrazu. Wysokiego wzrostu, oczu czarnych, pociągłej twarzy, jeszcze czerstwój i rumianój. Służył w grenadyjerach bermycznym, to też go zwano „*grenadyjerem cesarskim*.“ Opuszczone gospodarstwo pracą i staraniem prędko podniósł, a upodobawszy sobie dorodną ze wsi sąsiedniej *Sławacinka* dziewczkę, z nią się ożenił. Ale pani Huczkowa nie była cierpliwą i z latami coraz jój żywość charakteru więcej wybuchała. Od słów powoli przychodziło, że nieraz i dobrze wygrzmociła cesarskiego grenadyjera. Sąsiedzi śmiali się z niego, że daje przewodzić tak babie; ale Stanisław milcząc, nic nie odpowiadał, tylko szedł albo w pole albo do swój pasieki, którą sobie założył. Że to było

do puszczy Bialskiej po drodze, często wstępowałem do niego, bo brat jego młodszy furmanił mi nieraz. Ten w pogawędce na drodze piaskowej prosił mnie, abym to grenadyjerowi przedstawił, jak sąsiedzi żartują sobie, że go baba bije. Poprowadziłem więc, przybywszy do Porosiuk, Stanisława do pasieki i opowiedziałem mu wszystko. On smutnie poruszywszy głowę, rzekł do mnie:

— Proszę wielmożnego pana, żeby mnie to zrobił chłop drugi, toby już po świętej ziemi nie chodził. Spójrz pan na te ręce, narobione od karabina i sochy. a silne; jakbym ją uderzył raz, tobym zabił. A to pomimo częstego gniewu poczciwa kobieta i matka moich dzieci. Czyżby to pięknie było, proszę wielmożnego pana, żeby taki stary jak ja wiarus, z krzyżem wojskowym, bił i kogo? swoją kobietę. Nie powiedzą, że tchórz, ale zresztą niech sobie gadają.

Uściskałem poczciwego wiarusa, zdziwiony prawdą i szlachetnością słów jego.

W pośród całej gromady wiejskiej, w kościółku zebranej, odróżniłeś zaraz starych wojaków, tak się uwydatniali ruchem każdym i postawą, jak zarówno obliczem i spojrzeniem. Pomędzy temi pełnemi szlachetności i honoru wojakami kradzież nie była znaną: złodziejstwo bowiem uważali za najohydniejszą zbrodnię i plamiącą ich godność. Kiedy szedł marszem zwyciężkim, stary wiarus brał otwarcie, co zapotrzebował.

Osiadłszy w chacie rodzinnej, szanował jak świętość cudzą własność. Przyprawiono raz do mnie takiego wiarusa-rolnika, posądzonego o kradzież w spichlerzu przez sąsiada. Poszkodowany dowodził, że nie kto inny, tylko Paweł (tak mu na imię było) ukradł mu pół korca żyta i korzec grochu, bo to, jak dowodził, sprytny

naród te stare *wygi*, oni dobrze za morzem kraść się nauczyli.

Paweł blady, drżący z gniewu i oburzenia, milczał, a na całym obliczu jego malowały się boleść i wzruszenie głębokie.

— Proszę wielmożnego pana, — rzekł poważnym głosem, — jeżeli to głupie chłopisko tak znieważa *naszą wiarę*, to mu przebaczam, bo to głupie. Aleć wielmożny pan zna dobrze, gdzie my byli i czy kradli? Panie (to mówiąc, dobył z zapazuchy krzyż srebrny wojskowy, w płatku zawinięty, a pocałował go ze łzami), panie, człowiek, co to nosił, czy może być złodziejem? I zaszlochał na głos jak dziecko.

— Ja za niego ręczę, że tego zrobić nie mogłem, — powiedziałem zebranej gromadzie, co zeszła się do dworu na tę sprawę. — Co ci zginęło, to zwrócę ze swego spichrza, a złodzieja prawdziwego wynajdziem!

Paweł upadł na kolana, wznosił oczy w niebo jakby się modlił, a podnosząc się, już spokojniejszym głosem wyrzekł:

— Na rany Chrystusa Pana! przed wielmożnym panem i całą gromadą przysięgam, że nie tylko nie wziął tego żyta i grochu, ale nigdy złej myśli nie miał, aby sąsiadowi jaką szkodę zrobić.

I prawda wkrótce się okazała: syn chrestny owego gospodarza zakradł się do spichrza i zabrał to zboże, sam pierwszy nastając na Pawła.

Poznałem przed parą laty starego grenadyjera, co mieszkał na *Solcu*: znalazł on przytulisko u swego kamrata, co się ożenił z dobrą i pracowitą kobietą. Dostatek był zawsze w ich domu: żona zarabiała praniem i szyciem, mąż siekierą albo łodzią i siecią na Wiśle,

bo znał się na rybołówstwie i zręcznie robił wiosłem, jako zrodzony nad Narwią. Dwoje dziątek kilkoletnich zdrowo wyrastało. Nasz grenadyjer przyciśniony wiekiem, ciężko ranny, pomagał, czém mógł, tój zacnej rodzinie. W 1852 r. w czasie grasującej cholery zmarła żona wyrobnika i dwoje dziątek: on sam ciężko ze zgryzoty zachorował. Dostatek niedawny ustąpił nędzy. Grenadyjer pilnował go jak syna: w dzień wychodził, nie mogąc zarobić, na żebranie; noce przepędzał bezsenne. Doktor, którego sprowadził, zalecił choremu rosół z kury, ale zkąd jój wziąć? Grenadyjer ukradł ją i ugotował rosół. Chory zbudzony w nocy spojrział na komin, na palący się ogień i stojącego przy garnku kamrata.

— Co ty robisz?— zapytał zcicha.

— Gotuję rosół z kury dla ciebie!

— Toś ją chyba ukradł! — zawołał z wyrzutem.

Grenadyjer słowa nie odrzekł, ale te słowa jak kamień padły mu na serce. Wyrobnik w kilka dni umarł, a nasz wiarus po pogrzebie przyjaciela, z płaczem wspominając go i opowiadając, jaki to był dobry człowiek dobrowolnie przyznał się do tój kradzieży.

— Prawda! mówił,— że to nie przystało dla starego wiarusa. Bóg mi przebaczy, aleć skradłem dla ratunku przyjaciela.

W Warszawie wielu ze starych wiarusów mieściło się w służbie, jak mogło. To przy uniwersytecie Warszawskim za stróży, w laboratoryjach, to w aptekach, u rzemieślników, we władzach rządowych różnych za woźnych i posługaczy, w drukarniach i w prywatnej służbie. Jeszcze mamy choć szczupłe tego rodzaju zabytki. Wszyscy odznaczali się pracowitością i wiernością.

Gdy Warszawa nie miała oświetlonych latarniami ulic, wielu służyło za latarników; gromady ich widziałoś to przed teatrem narodowym, to przy salach redutowych, to w miejscach liczniejszych zebrań i balów publicznych. Zniknęli oni już z naszego grodu, zostawivszy słabą pamięć w wspomnieniach mieszkańców Warszawy. Usłużność ich i poczciwość znaną była powszechnie.

W mnogięj warstwie robotników, osiadłych w Warszawie, mamy jeszcze zabytki starych wiarusów. Niemało krzepkich siwoszów chodzi z piłą i siekierą do tarcia i rąbania drzewa. Poznasz ich łatwo po wyprostowanej postaci, po obliczu poważném, po mowie pełnej przyzwoitości i godności. Kiedy się ich kilku zbierze razem, przy spoczynku w obiadową godzinę posłuchaj ich rozmowy, a usłyszysz ciekawe opowieści o dowcipie starych wiarusów naszych.

Niedawno trzech ich zasiadło razem i każdy z przyniesionych dwojaków spożywał strawę swoją. Jeden z nich jakoś się uprząłnął najpierw z skromnym obiadem i zaczął po drugich poglądać, jakby patrzył, czy po którym resztek nie zostanie.

— Widzisz-no go! rzekł z uśmiechem najstarszy wásacz, — onby jeszcze wołu połknął, na masz (i to mówiąc, rzucił mu drzazgę), włóż w garczek, naléj wodą, to będziesz miał doskonały rosół kanonijerski albo grenadyjerski.

O! to mi mądrała!— odpowiedział nieco pochmurnie młodszy, — czy kto widział z drzazgi rosół zgotować.

— Posłuchajta kamraci, to ja wam opowiem, jak się to robi.

„Było i chłodno i głodno, wszedł nasz kanonijer do wioski na kwatere, a choć nosił kulczyk w uchu, ale były pustki w brzuchu. Wita gospodynię bardzo grzecznie, przypytuje o jadło, a ta mu wręcz powiada, że *wszycko* wyjedli piechury. Nasz ogniomistrz łbem pokiwał, ale rezonu nie traci. Prosi gospodyni, ażeby mu ze stariej brony zęb przyniosła i wody w garnku nastawiła, to jěj pokaże, jak to w biedzie radzić sobie umie człowiek. Kobieta zaciekawiona, przyniosła zęb drewniany, nastawiła w garnku. Kanonijer zagadując to o tém, to o owém, narzyna gęsto zęb brony: włożył go do garnka, okrył się fartuchem, żeby się nie zatłuścił, i stanął z warzechą w ręku przy kominie, ostrzegając gospodynię, że musi szumować, bo z niego będzie tęgi rosół. Kobieta z niedowierzaniem wsparła głowę na ręku i wlepiła oczy w garnek. Tymczasem stary wiarus zagarnawszy niby szumowiny, pokosztował warzechą.

O! już zaczyna nabierać smaku, zaraz się będzie pienieć; żeby to była jedna, druga garsteczka kaszy, fu! fu! fu! coby to był za smak, bo jakoś na dobry zęb natrafiliście.

— A jest kasza, ja zaraz przyniosę.

— To, to, to, zobaczycie, co to będzie.

Przyniesioną kaszę kanonijer przepłukał, wsypał do garnka i pokazał gospodyni, że się rosół pienieć zaczyna na prawdę. Potém znowu skosztował.

— Oho! zaraz inaczej, skosztuj tylko wasani.

Gospodyni skosztowawszy, mówi:

— A dyć to jakby był krupnik, tylko niesłony.

— Oj! prawda, zagadałem się i zapomniałem, muszę poszukać, czy nie mam w tornistrze prochu, bo soli zapewne nie macie?

— Znajdzie się trochę.

Osolono krupnik, kanonijer skosztował i rzecze:

— Żeby to jeszcze kawałek słoninki, kawałek wędzoneczki, toby to był królewski krupnik.

Gospodyni rozciekawiona, że ząb się z brony tak smaczno rozgotowywa, przyniosła wszystko, czego żądał, bo jeszcze dodała trochę cebuli, pietruszki i kartofli. Wszystko to dobrze rozgotował w garnku, poczem dawszy kilka groszy, wysłał ją po wódkę, ząb brony wyrzucił w ogród warzywny, a wylawszy rosół w misę, zaprosił gosposię na kanonijerską zupę, której się odchwalić nie mogła. Kiedy stary wiarus zdrzymnął się strudzony, kobieta w garnku napróżno szukała zęba brony i opowiadała kumoszkom, jak on się w rosół rozplynął. Tak i ja ci drzazgę rzuciłem (kończył swoją opowieść stary), dodaj do niej tych przypraw, a będziesz miał doskonały rosół kanonijerski, bo u nas w pułku i tak i owak go zwali.“

Cechą ich charakterystyczną jest owa milcząca powaga, z jaką wypełniają swoje obowiązki, a nie lubią wspominać pięknej przeszłości swojej. Jeszcze z *kamratem* jak się spotka stary wiarus, to pół-słówkiem czasem ją sobie przypomną, a temu wspomnieniu towarzyszy bolesne westchnienie.

Ze starszym zwierzchnikiem swoim nigdy się nie poufała; jeżeli spotka dawnego z jednych szeregów oficera, to radość niezwyčajna wybija na jego oblicze. Nietylko że mu się kłania zdala, ale z dziecięcą prostotą biegnie, o ile siły starczą, i całują w ręce. Niechże mu ten wspomni o jakiej walce zwyciężkiej, o jakim jego czynie walecznym albo szlachetnym, siwy wąsacz prostuje się, oblicze jego dumnieje, zapał roziskrza za-

mglone oczy. A tę zmianę wywołuje wspomnienie czynu, z którym się tai jak ze skarbem swoim. Odgłos bębna lub trąby wojskowej albo muzyki zawsze elektryzuje tych starców, lubią patrzeć na musztrę, na strzały do tarczy, a wtedy w obliczu każdego z nich wyczytasz zadowolenie lub błąd, jaki dostrzegł ten bystry dostrzegacz.

Byłem świadkiem strzelania z dział do tarczy, huk strzałów rozległ się daleko. Na galarach, stojących na Narwi, pełno było flisów i orylów, między temi siwosz wysoki a krzepki zwracał uwagę tak postacią jak obliczem czerstwem i ogromnemi wąsami. Ten nie pożałował nóg swoich i ruszył do *poligonu*. Stanąwszy na uboczy, przypatrywać się zaczął pilnie i uśmiechał się za każdym nietrafnym strzałem. Po kilkunastu wystrzałach stała tarcza nietknięta. Oficer dowodzący gniewał się i zżymał daremnie: dostrzegłszy starego wąsacza, kręcącego głową i mrużącego wcześniej „nie trafią“, spojrzął nań z uwagą. Pomimo podartego płaszcza szarego, jaki miał na sobie, uderzyła go jego postać.

— I czegoż łbem kiwasz? czy może lepiej trafisz do tarczy?

— A może i trafię, proszę pana kapitana.

— Dam ci 10 rubli, jak raz w trzech strzałach trafisz do tarczy i pokażesz tym niezdarom moim.

— Dobrze panie kapitanie.

— A jak nie trafisz?

— To 50 płazów przyjmę.

— Zgoda.

Był to stary nasz kanonijer, czterdzieści lat służył w artylerji Polskiej. Przystąpił do dział, obejrzał go troskliwie, kazał nabić, wycelował i zapalił lontem.

W trzech strzałach dwa w sam środek trafiły, jeden wyrwał bok tarczy. Zdziwienie oficera było nieopisane, dał mu obiecaną nagrodę i suto w dodatku uraczył.

Stare wiarusy mają w charakterze swoim dużo dumy rycerskiej. Świadkowie olbrzymich walk i uczestnicy, żołnierze największego wodza w świecie, lekce ważyli zawsze, oprócz Francuzów, inne wojska. Zyskiwały przecież sprawiedliwy sąd te dzielne zastępy, które czy nad Berezyną lub na polach Lipskich stawały im murem nieprzebitym.

— Dzielnie się bili (mówią), aleśmy ich rozbili, albo się cofnęli sami.

Żołnierze ci, co cały swój żywot temu jedynie i wyłącznie poświęcili zawodowi, z uśmiechem słuchali Konfederatów Barskich, opowiadających wyprawy swoje. Napoleońscy wiarusy nazywali to *szarmytlami* albo *furdami* dla określenia ich małego znaczenia.

Stary wiarus przyzwyczajony do walczenia w wielkich massach wojsk, nie mógł cenić bitew podjazdowych, bez piechoty, prawie bez dział, szczupłych chorągwi jezdnych Konfederatów. Byłem raz świadkiem, jak taki Konfederat rozweselony przy zaręczynach swego syna, co z prostego żołnierza dostąpił wyższych stopni, opowiadał, że dwa dni nie mieli co jeść jak tylko kaszę, a to bez omasty i soli nawet.

— A cóżby było proszę jegomości, gdyby przez dwa dni nie było, co jeść, a trzeba było maszerować albo żywić się szczurami, końskim mięsem i kotami, jak w oblężeniu Gdańska?

Starzec spojrział z podziwieniem na syna, potrząsł głową z niedowierzaniem, a potem dodał:

— Wyście to prawdziwe żołnierze, a my byli sama szlachta, co to wyjechało się w świat, pomachało szablą i znowu wróciło się cicho na zagon domowy.

Tak żołnierze jak oficerowie w głównych charakteru zarysach starych wiarusów niczém się nie różnili, jak tylko wykształceniem naukowém i wychowaniem. Oficerowie odznaczeni się szczególną *galanteryją*, jak zwano grzeczność i uprzejmość dla dam: żaden z nich choćby najstarszy wiekiem, nie śmiał usiąść, widząc stojącą kobietę, za jój cześć, za jój honor, po rycersku się ujmował i nieraz ciężko naznaczył tego, co się považył z lekceważeniem odezwać o niewieście czy dziewicy, godnej szacunku.

Żołnierze nie umieli okazać téj uprzejmości, ale nikt nie był łagodniejszym dla żony swojej nad starych wiarusów, jakeśmy to już mówili

Rok 1809 dowodnie wykazał ich odwagę i przytomność wielką umysłu. Przytoczę tu kilka przykładów.

Po bitwie pod Raszynem wojska Austryjackie zajęły Warszawę, Polskie cofnęły się na Pragę. Austryjacy nocami zabrawszy promy i przewoźników naszych, a do pomocy stróżów z domów miasta, ustawiali ich na czele jako zasłonę od strażów i próbowali, niepokojąc Polskie straże, opanować jakie wybrzeże z prawej strony Wisły. W jednéj takiéj nocy ciemnéj oddział z 30 piechoty z doboszem i oficerem, oraz 15 przewoźnikami i stróżami zcicha podpływał na wybrzeże Saskiej Kępy. Stał tam właśnie na straży stary wiarus-podoficer z dwoma towarzyszami. Mając tylko gołe od działa lawety, znalazłszy pień wypruchniałej wierzby, ułożył go na nie, wysypał bateryjkę i na niéj ustawił ową groźną armatę.

Zdała rzeczywiście ten przybór wyglądał na działo. Jednemu z żołnierzy dał lont zatłony w rękę i czuwał noc całą. Po cichym plusku wioseł, po szmerze wodnym, bystrym słuchem zmiarkował napad. W kilku słowach na ucho dał rozkaz towarzyszom, jak mają postępować. Jeden z nich z bronią na ramieniu, na bateryjce piaszczystej straż zajął, drugi z lontem zapalonym stanął przy działie, stary wiarus dobył pałasza, a rozpoznawszy podpływający galar, zapytał silnym głosem *kto idzie!* Gdy na powtórzone zapytanie żadnej nie otrzymał odpowiedzi, wybiega przed bateryję i do podpływających woła:

— Jeżeli broni natychmiast nie złożycie, jedno słowo, a działo kartaczami nabite zmiecie was wszystkich jak muchy. Chłopcy! (zwracając mowę do przewoźników i stróży) upadnijcie twarzą, bo godzina dla tych wybiła.

Przewoźnicy i stróże niewiele myśląc, skoczyli do płytkiej wody, oficer dowodzący tym patrolem, ujrawszy działo prosto wycelowane, krzyknął z przestraszeniem *pardon!* Żołnierze broń rzucili, stary wiarus z pomocą przewoźników i stróży powiązał nieprzyjaciół, a oficera wprowadził na bateryję swoją, który ujrawszy, czém było owo groźne działo, nie posiadał się z gniewu i wstydu. Stary wiarus otrzymał krzyż z rąk księcia Józefa Poniatowskiego.

Do Szydłowca w Sandomierskiem przymaszerowało do 200 piechoty nieprzyjacielskiej, między któremi niemal połowa była lżej rannych i chorych, z kilkudziesiąt powózkami, na których wieziono przybory wojskowe i osłabionych. Na wzgórzu we dworze swoim hrakia Sołtyk właśnie zabierał się do obiadu, gdy stary wążacz, ułan, przybył i prosił o przewodnika do Szydłowca.

— I pocóż chcesz tam jechać, kiedy mam wiadomość, że całe miasto zapchali Austryjacy.

— Właśnie dlatego — odrzekł stary wiarus — że ich panu wszystkich chcę przyprowadzić.

Sołtyk uśmiechnął się na te słowa, biorąc je jako przechwałkę dziecinną, kazał mu dać przewodnika i nalawszy szklankę wina, podał ułanowi. Ale ten po żołniersku podziękował.

— Jak ich tu przyprowadzę wszystkich, to się wtedy napiję.

Przewodnik, mały chłopak, zszedłszy ze wzgórza, ukazał mu poblizki Szydłowiec, a sam uciekł.

Może w godzinę wpada służba hrabiego i daje znać, że od miasteczka tego widać kurzawę i że ów ułan jedzie na czele.

Sołtyk przez perspektywę rzeczywiście ujrzał go jadącego w przedzie, oddział nieprzyjacielski postępował rozbrojony, otoczony mieszczanami z karabinami i ciągnący się długi tabor wozów. Podziwem przejęty także stoły zastawiać i przyjmuje radośnie zwycięzcę.

— Teraz wina się napiję z łaski pana hrabiego, rzekł z dumą nasz wiarus, pokręcając wąsą. — Ani nogą Niemca nie uszła.

— Jakimże to cudem zrobiłeś mój bracie?

— A to proszę pana hrabiego, zrobiło się bez cudu, po prostu. Jak mi chłopak dany za przewodnika pokazał drogę do miasta, a sam uciekł, tak ja powoli sobie podjeżdżam i patrzę. Widzę, że Niemcy porozchodzili się po domach i zaczynają obiadować. A, myślę sobie, będziecie tu zaraz w gorącym rosole. Jak wpadnę na rynek, jak palnę z pistoletu, tego drzewcem i owego, jak krzyknę na mieszczan, hej dalej do pomocy!

jak się żwawo ruszą, tak Niemcy dudy w miech, żaden do broni wziąć się nie śmiał: owóz mamy wszystkich w trokach.

Pod Stopnicę (w dawném Krakowskiém) przybył stary ułan i stanął w karczmie, przy rozstajnych drogach postawionój. Zaledwie nasypał koniom obroku i sam nieco odetchnął, wpada przestraszony Żyd-arendarz donosząc, że wielkie wojsko idzie. Ułan nasz wybiegł na wyżki i dymnikiem dojrzał zbliżający się patrol z czterech huzarów Węgierskich. Co prędzėj zamusztukował konia i kazał go Żydowi drżącemu ze strachu trzymać, sam z najzimniejszą krwią wyszedł przed karczmę z lancą i zaczął wolnym krokiem chodzić, jakby straż trzymał.

Huzary prawie na 50 kroków się zbliżyli, kiedy nasz ułan niby dopiero ich dostrzegłszy, — krzyknął *do broni!* i sam wbiegł do karczmy. Huzary w tył zwrot. Nasz ułan już na koniu ich pędzi: zwała jednego pchnięciem, drugiego drzewcem lancy i obu jeńców przyprowadza do karczmy.

Najgłośniejszego imienia stary wiarus był trębacz *Jaszczołd*, następnie wachmistrz. On to z kilku towarzyszami swemi postanowił ukraść generała Austryjackiego, dowodzącego na Podolu Galicyjskiém, z jego głównej kwatery. Podjechawszy niepostrzeżenie pod ogród dworu z dwoma towarzyszami, wszedł pod sień dworu, gdzie stał ów generał. Widząc szyldwacha chodzącego po niój, kiedy się odwrócił, przyskoczyli: Jaszczołd zawiązał mu usta i w beczce stojącej wody zanurzywszy mu głowę, zadusili. Wtedy sam wszedł do pokoju z odwiedzionym pistoletem. Przechadzał się właśnie rozebrany z munduru generał; na widok Jaszczołda struchlał, ten świ-

snął na swoich: otworzono okno i wyprowadzono jeńca niepostrzeżenie. Już mieli siadać na konie, kiedy Jaszczółd przypomniał sobie, że nie zabrał zegarka złotego, co wisiał na ścianie. Poskoczył więc napowrót do dworu, ale tam już dostrzeżono zaduszonego sztyldwacha, rozruch się zrobił. Spostrzeżono w ogrodzie samego Jaszczółda. Musiał więc zmykać do swoich.

Nie mógł uprowadzić jeńca swego, dawszy mu pamiętkę, puścił go i wraz wszyscy szczęśliwie dostali się do obozu.

Pod Stanisławów (w Galicyi) przybył Jaszczółd w nocy; ale pijąc nad miarę, czuł potrzebę spoczynku: stanął więc z towarzyszem swoim także nietrzeźwym na wzgórzu o kilka staj od miasta, konie przywiązali do szmigi wiatraku, a sami położyli się i twardo zasnęli.

Kiedy słońce zaczęło wschodzić, Jaszczółd obudzony jego blaskiem, powstał i zaczął się wyciągać; zbudził się i jego towarzysz. Nagle słyszą rozruch w Stanisławowie: dosiadają koni, gdy ujrzeli pędzącego co siły młodego chłopca z miasta; ten zdyszały opowiada, że cały Stanisławów pełny był wojska Austryjackiego, ale wszystko ucieka, że zostało zaledwie kilka koni. Jaszczółd niewiele się namyśla, trąbi do ataku i z dobytą szablą z towarzyszem wpada. W karczmie pozostało pięciu huzarów, ci na jego widok broń złożyli.

Wyjaśniła się rzecz wkrótce cała. Kiedy ze wschodem słońca Jaszczółd przeciągał się pod wiatrakiem, równocześnie wypędzono stado owiec z pobliskiego folwarku. Powstała ztąd kurzawa nie dozwalała przedmiotu rozpoznać.

Dwóch ułanów dostrzeżonych pod wiatrakiem na przedzie w strachu będącym przedstawiło w owiej kurzawie

nadchodzące pułki: cała przeto dywizja w popłochu ucho-
dziła i nie oparła się aż w Chocimierzu o mil kilka ¹⁾).

Wiele z tego okresu powstało pieśni, które po-
tworzyli sami wiarusy. Jest pieśń o zdobyciu i obronie
Sandomierza, w której się tak wślawił generał Sokolnic-
ki, jest nawet obrzernych rozmiarów poemat na pół
z Polska, na pół po Słowacku z przekleństwami Węgier-
skimi, którego treść stanowi opowiadanie przez huzara
Węgierskiego całej téj kampanii 1809 r.

Dużo tu jest humoru i dowcipu starych wiarusów
i wiele szczegółów ciekawych. Poemat ten długo krążył
po naszych straganach pod kościołami, dziś już należy
do rzadkości biblijograficznych.

Zebrane krążące między temi starcami dykteryjki
żołnierskie dodałyby nam wiele do nich charakterystyki
zarysów, ale wiarusy nasze, równie jak lud, nieskorzy
są do rozmowy i udzielenia czyto podań, pieśni swo-
ich lub wspomnień z życia. Trzeba ich nieraz podślu-
chać, zręcznie wywabić na słówko, zanim dobędziesz
z nich żądanej wiadomości.

Przed kilkunastu laty weterani nasi, a wszyscy to
byli stare wiarusy, utrzymywali warty w ogrodach Sa-
skim i Krasieńskim w Warszawie. Śmierć tak przerzadziła
ich szczupły zastęp, że obecnie już żadnego z nich nie
ujrzesz. Rok, dwa jeszcze, i ślad po nich zniknie, a warci
są naszego wspomnienia i pamięci potomnych.

¹⁾ W roku 1809 podporucznik Wilczek z trębaczem zabrał
w niewolę patrol Austryjackiej jazdy, z 30 żołnierzy i ofi-
cera złożony. Mamy tę wiadomość od śp. pułkownika Au-
gustyna Zawadzkiego, dowódcy 7go pułku ułanów, w któ-
rym służył pomieniony waleczny oficer. Za czasów Kró-
lestwa wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie.



SPIS RZECZY.

	Str.
Do Mojego Przyjaciela	3
Stanisław i Janusz książęta Mazowiecy 1518—1526. Ostat- nia karta z dziejów udzielnego Mazowsza	7
Charakterystyka dawnych Mazurów	41
Książę Biały	69
Jan Karol Chodkiewicz w rodzinném życiu	87
Bartnictwo w dawnéj Polsce	123
Kazania Szlacheckie	141
Flis na Fryjorze	155
Ostatni Kulig Staropolski	178
Stary Wiarus	201

